

E. CH. A.

KRÓL SZPIEGÓW

POWIEŚĆ

z czasów konsulatu Napoleona Wielkiego.



LWÓW

Nakładem Księgarni „Maniszewski i Meinhart“.

Warszawa: E. Wende i Sp.

1909.

Z DRUKARNI „WIEKU NOWEGO“ WE LWOWIE.

419

Handwritten signature in red ink

JÓZEF KOLEZAŃSKI

CZEŚĆ PIERWSZA.

I.

Dnia 10. września 1800 roku afisz teatru Narodowego, jak się wówczas nazywała Opera, zapowiadał przedstawienie „Kalifa z Bagdadu“, muzyka obywatela Boildieu z współudziałem obywatelki Gracini.

Nie mówiąc już o utworze kompozytora, który od pół roku cieszył się zasłużoną sławą, samo nazwisko Gracini powinno było ściągnąć liczną publiczność do teatru.

Publiczność paryska zachwycała się śpiewaczką z trzech przyczyn: po pierwsze i przede wszystkim dlatego, że posiadała talent, wychodzący po za zwykłą powszedniość; po drugie, ponieważ była bardzo piękną, a po trzecie, ponieważ kronika skandalicznych czasów nazywa ją kochanką człowieka, którego imię tem więcej dziwiło stolicę, iż nikt nie przypuszczał, aby surowy syn Marsa mógł być do tego stopnia pokonany przez smarkacza Kupidyna.

Śpiewaczka miała wtedy lat dwadzieścia trzy, a jej nazwisko na afiszu zapewniało już z góry powodzenie.

Wobec tego, gdy tylko otwarto bramy teatru, zappełnił on się w przeciągu kwadransa tak szczelnie od góry do dołu, że i szpilki nie było gdzie wtknąć.

W czasie tym reporterka nie była jeszcze tak silnie rozwinięta, jak nią jest dzisiaj, a właściwie nie istniała wcale, gdyż i dzienników było bardzo mało: istniało ich wszystkiego tylko cztery.

Cała śmietanka ówczesnego paryskiego towarzystwa zebrała się w sali teatralnej.

W jednej z łóż na prawo siedziało dwóch konsulów: Lebrun i Cambarcères.

Gdyby który z przybyszów z prowincyi chciał się dziwić temu, iż tryumwirat nie znajdował się w komplecie, to nie uczyniłby tego nigdy Paryżanin czystej krwi; rozumiemy pod tem Paryżanina, obznajomionego ze wszystkimi plotkami stolicy; ten wiedziałby bowiem, iż w małej łoży obok sceny, do której nie można było zajrzeć wskutek gęstej siatki, musiał się ukrywać ten, którego brakowało w trójce, i który, o ile pogłoskom wierzyć można, znajdował się w bardzo bliskich stosunkach z piękną Gracini.

Jednem słowem opinia publiczna twierdziła, iż generał Bonaparte jest kochankiem śpiewaczki. A ta opinia publiczna, która tak często nie ma słuszności, tym razem nie myliła się.

W łoży, znajdującej się naprzeciwko łoży dwóch konsulów, siedział człowiek o szczególnym wyglądzie. Niskie czoło, szerokie usta o wąskich wargach i oczy prawie zupełnie zakryte przez spuszczone powieki.

Takimi były główne rysy tego człowieka o ponurej i jakby sennej twarzy, ale z pod jego powiek tryskał sprytny i surowy zarazem wzrok.

Pochyliwszy się cokolwiek w głąb łoży, rozmawiał poufnie z człowiekiem, który oparł się o poręcz jego fotelu.

— A więc, mój kochany de Riz — mówił dziwnie uprzejmym tonem — nie chcesz pan spędzić tego wieczoru ze mną?

— Powtarzam panu, obywatelu ministrze, że przyjechałem do teatru z przyjaciółmi.

— Ale... zdaje mi się... iż ja także byłem pańskim przyjacielem...

— Co to znaczy „byłem“?

— Eh, mój drogi Klemensie, nie przysięgniesz chyba, iż przyjaźń, która nas dawniej łączyła, pozostała do dnia dzisiejszego tą samą!

De Riz wzruszył lekko ramionami, a potem odparł trochę przeciągłym tonem, w którym czuć było pewne zdziwienie:

— Jakież dyabeł, mój kochany Fouché, poddał ci tę myśl, iż jestem dla ciebie wrogiem? — Czy może przyczyną tego jest, iż nie chcę pozostać w pańskiej łóży? Przyznaj pan sam, iż jesteś zbyt wymagający.

Fouché, gdyż lożę zajmował ów straszny minister policyi, wstrząsnął głową.

— Zdaje mi się, iż nie czyniłem panu wyrzutów, iż stałeś się dla mnie wrogiem!

De Riz nie odpowiedział na to nic, a Fouché ciągnął dalej:

— Obawiam się jednak, iż to się niezadługo stanie...

— Stanowczo powinienem pana opuścić, obywatelu ministrze, gdyż przysięgam na honor, jesteś pan dzisiaj w kwaśnym humorze i jakby naumyślnie szukasz jakiejś sprzeczki.

Rzekłszy to, Klemens de Riz odwrócił się, chcąc wyjść.

— No... nie rozstaniemy się przecież w ten sposób — rzekł minister policyi. — Masz pan słuszość, nie jestem dzisiaj w humorze.

Klemens de Riz odwrócił się. Chciał coś odpowiedzieć, ale nagle, spojrzawszy machinalnie na salę, roześmiał się głośno.

— Aj do dyabła! Teraz pojmuję przyczynę pańskiego złego humoru!

— Ba! A cóż to za przyczyna?

— Właśnie naprzeciwno siedzi największy pański przyjaciel!

— Któż to taki? Czy może jeden z konsułów? — zapytał Fouché, spoglądając ze zdumieniem na salę.

— Ale gdzie tam! Nie w łoży konsułów, ale cokolwiek na prawo... w trzeciej łoży... Nie sądzę, aby osoba, która siedzi w tej łoży, zajmowała jakieś miejsce w pańskim sercu.

Usta ministra drgnęły zlekka, a oczy jego cisnęły błyskawicę nienawiści, ale odparł najzupełniej spokojnie:

— Mówisz pan o obywatelu Dubois, nowym prefekcie policyi. Dlaczego pan sądzisz, iż go nie lubię? Przeciwnie, Dubois jest człowiekiem bardzo dzielnym i rozsądnym, który najzupełniej usprawiedliwia wybór pierwszego konsula, aby ulżyć mi trochę w pełnieniu mych ciężkich obowiązków. Upadałem wprost pod ciężarem ministerstwa policyi całego kraju. Bonaparte postanowił dopomóc mi, wyłączając z mej pracy policyę Paryża i utworzył stanowisko prefekta, które otrzymał Dubois. Wierzaj mi pan, iż zamiast skarżyć się, jestem nim zachwycony; Dubois załatwia się z Paryżem, mnie pozostaje cała Francya... Czyż przypadająca na mnie część pracy nie dobra, nie zaszczytna może?

I Fouché westchnął z miną człowieka, który z największym zadowoleniem złożył część swej ciężkiej pracy na barki drugiego.

— Napróżno udajesz — pomyślał de Riz, przeczuwając, jaką nienawiścią pałał Fouché do tego człowieka, który go pozbawił części jego władzy.

Tymczasem minister policyi zajął na nowo poprzednią postawę i wznowił przerwana na chwilę rozmowę.

— A więc, drogi Klemensie, nie możesz mi pan poświęcić dzisiejszego wieczoru, to przynajmniej zachowaj pan dla mnie jutrzejszy. Będzie u mnie na obiedzie kilku bliskich przyjaciół, stańże i pan w ich rzędzie.

— To niemożliwe — odparł de Riz.

Czoło ministra schmurzyło się, ale zapytał z całym spokojem:

— Dlaczego, mój przyjacielu?

— Jadę jutro do siebie na wieś, gdzie przepędzę cały miesiąc. Otrzymałem urlop od senatu.

— Prawda, masz pan zamek w Turegnes, niedaleko od Langers, tak mi się zdaje... Czy pan naprawdę jedziesz jutro? — pytał uporczywie Fouché.

— Nic pewniejszego, jak to. Jutro o tej porze będę już daleko od Paryża. Przyszedłem nawet po to do pana, aby się pożegnać.

— W takim razie szczęśliwej podróży — rzekł Fouché, podając Klemensowi po przyjacielsku rękę.

De Riz podał mu swoją, ale poczuł, iż minister go zatrzymuje.

— Mój kochany — rzekł cicho minister — nie możecie przed odjazdem dać mi cośkolwiek... albo innymi słowy... zwrócić...

Obaj spojrzeli sobie bystro w oczy, a de Riz odparł z lekkim szyderstwem:

— Oho! Jakże to, mój kochany Fouché, pan, taki rozumny, ostrożny i sprytny człowiek, możesz żądać od drugiego, aby się przestał starać o swoje osobiste bezpieczeństwo?

— To pańskie ostatnie słowo? — zapytał sucho Fouché.

— Tak jest, ostatnie — tak samo sucho odparł de Riz, otwierając drzwi łoży.

W chwili, gdy wychodził, w sali rozległ się straszny krzyk, hałas, tupanie nogami, co świadczyło o nadzwyczajnym rozdrażnieniu publiczności.

Gdyby Fouché nie był tak zatopiony w rozmowie z senatorem de Riz, byłby zauważył, iż powoli nadciągnęła burza, która w tej chwili zerwała się w sali.

Na krótko przed podniesieniem kurtyny zebrali się w orkiestrze muzykanci. Każdy stroił swój instrument na swój sposób, czekając na trzy tradycyjne uderzenia, które dawały znak rozpoczęcia przedstawienia. Minęło jednak pięć minut, kwadrans, pół godziny, a z za kurtyny nie słychać było zwykłego sygnału.

Publiczność przeczekała spokojnie pięć minut, cierpliwie jeszcze dziesięć minut, poczem niektórzy z nerwowych widzów zaczęli zlekka tupać nogami, inni nie omieszkali pójść za ich przykładem, wkrótce przyłączyła się do nich cała sala i rozległy się okrzyki :

— Kurtyna! Kurtyna!

A ponieważ kurtyna pozostała głucha na te wołania, krzyki zmieniły się w jakiś dziki ryk.

Wśród tego straszego hałasu i zaraz po wyjściu senatora z łoży ministra policyi, wydarzyła się w łoży scena z szybkością błyskawicy. W niewielkiem okienku we drzwiach ukazała się głowa jakiegoś człowieka, który, zdawało się, przyglądał się sali. Uderzył kilka razy laską we drzwi. Na ten stuk Fouché odwrócił się i wyrzekł tylko jedno słowo :

— Tak.

Głowa zniknęła natychmiast.

Publiczność ryczała i wyła dalej, domagając się podniesienia kurtyny.

Nareszcie bez trzech uderzeń i naturalnie bez muzyki kurtyna poszła w górę.

W głębi pustej sceny ukazał się reżyser, posuwając się z bardzo zakłopotaną miną ku budce suflera.

Zdumienie opanowało wszystkich i w sali zaległa naraz grobawa cisza, tak, iż w najdalszym zakątku można było usłyszeć każde słowo reżysera.

— Obywatele i obywatelki! Znajdujemy się w smutnej konieczności zawiadomienia was, iż niemożliwym jest dla nas wystawienie dzisiaj „Kalifa z Bagdadu“, gdyż obywatelka Gracini dotychczas jeszcze nie pojawiła się w teatrze. Wobec tego niesumjennego spełniania swych obowiązków przez artystkę jesteśmy zmuszeni zamiast „Kalifa...“

W tej chwili z za kulis rozległ się głos przenikliwy:

— To nieprawda! To nieprawda!

Reżyser, usłyszawszy to, podszedł ku kulisom, a będąc jeszcze widzianym dla publiczności, zaczął z kimś rozmawiać; ten ktoś, ukryty za dekoracją, dawał mu bezwątpienia wskazówki co do nieobecności śpiewaczki.

Wiadomo już, iż publiczność była zachwycona talentem i pięknnością Gracini, a co więcej, uważała ją za artystkę, która sztukę stawiała ponad wszystko.

Słowa reżysera wywołały więc zdumienie, które zmieniłoby się może w niezadowolenie, gdyby nie okrzyk, który przerwał przemówienie reżysera. Zrozumiawszy, iż rozmowa w kulisie toczyła się w sprawie ulubionej artystki, publiczność z zaciekawieniem czekała jej końca.

Wkrótce reżyser powrócił przed budkę suflera i powoli zaczął wygłaszać:

— Obywatelki i obywatele! Jesteśmy bardzo szczęśliwi, iż możemy cofnąć nasze poprzednie słowa co do signory Gracini, ale, niestety, nasze zadowolenie, iż możemy jej oddać sprawiedliwość, zatruwa pewien niepokój; dowiedzieliśmy się w tej chwili, iż obywatelka Gracini w oznaczonym czasie wyjechała z domu do teatru... Jaka przeszkoda spotkała ją po drodze, jakie nieszczęście ją powstrzymało od przybycia —

tęgo nie wiemy, ale jej nieobecność, którą przed chwilą nazwaliśmy niesumieniem spełnianiem obowiązków, nakazuje nam teraz obawiać się, iż padła ofiarą jakiegoś nieszczęśliwego przypadku.

Reżyser, skorzystawszy z ogólnego zdumienia, dodał szybko:

— Zamiast „Kalifa z Bagdadu“ będziemy mieli zaszczyt przedstawić balet ze współudziałem obywatelki Klotyldy.

Skłoniwszy się na wszystkie strony, reżyser cofnął się, a kurtyna spadła.

Aczkolwiek Gracini była ulubienicą publiczności, ale i tancerka Klotylda cieszyła się niemałym powodzeniem.

Klotylda, która przez cały czas konsulatu i w pierwszych czasach cesarstwa zajmowała wybitne stanowisko w paryskim półświatku, uchodziła w owym czasie za pierwszorzędną piękność pod każdym względem.

Niedawno wyszła z więzienia, w którym przesiadziała cały miesiąc za to, iż w jednym z miast na prowincyi, gdy kilku młodych ludzi wyraziło powątpiewanie co do czystości jej kształtów, pozwoliła sobie przejechać się w biały dzień po ulicach miasta, mając za całe ubranie rozwinięty wachlarz.

Wypowiedziawszy słowa o współudziale Klotyldy, reżyser sprytnie uniknął zwrotu pieniędzy przy kasie. Zamiast głosem śpiewaczki będą się widzowie rozkoszowali pięknymi kształtami tancerki.

Jeżeli jednak publiczność zgodziła się na zmianę, to nie wynika z tego bynajmniej, aby zapomniała o wypadku z Gracini. Przeciwnie, przez cały antrakt, bardzo długi skutek zmiany przedstawienia, plotki i komentarze tylko furczały w powietrzu, a szły po sobie tem szybciej, iż były ożywione pewnymi okolicznościami, które zaszły w sali i wieściami, które z za kulis dostały się do widowni i na kurytarze.

Na wiadomość o zniknięciu artystki, prefekt Dubois powstał natychmiast; sprawa ta dotyczyła jego, to też wyszedł, aby natychmiast rozpocząć swoją działalność, tem więcej, iż gdyby on sam nie był tego uczynił, to inni byliby się postarali o zmuszenie go do tego.

W chwili, gdy Dubois otwierał drzwi łoży, spotkał na progu generała Berthier, prawą rękę pierwszego konsula, który wyszedłszy z małej łoży z gęstą siatką, zjawił się bezwątpienia w imieniu Bonapartego, aby podniecić chęć prefekta celem odnalezienia zaginionej kochanki konsula.

Oto, co widziała publiczność. Co się tyczy wieści, szerzonych z za kulis przez uprzywilejowanych, którzy mieli tam wstęp, nie wiele objaśniały one to, co się stało. Mówiono, że Gracini porwano, nie uczynił tego jednak żaden zakochany, gdyż zniknięciu jej towarzyszyła ta dziwna okoliczność, że w godzinę po wyjeździe artystki z domu, zjawił się w jej mieszkaniu jakiś człowiek i powiedział służącej, że pani jej niebezpiecznie zachorowała po przybyciu do teatru i żądała, aby służąca przybywała natychmiast.

Fanchetta, dowiedziawszy się o zachorowaniu swej pani, którą bardzo kochała, pośpieszyła natychmiast do teatru. Tak się śpieszyła, iż zapomniała nawet o młodzieńcu, który przyszedł do niej i nie troszcząc się o to, czy on idzie za nią, czy też nie, przybiegła do teatru właśnie w chwili, gdy reżyser wymawiał słowa, obrażające jej panią. Wtedy oburzona w najwyższym stopniu, zawołała z za kulis te słowa:

— To nieprawda!

Następnie opowiedziała o prawdziwym stanie rzeczy.

Nie otrząsnęła się jeszcze ze swego wzburzenia, gdy zawezwano ją do prefekta policyi Dubois, który przyszedł za kulisy. — Opowiedziała mu historię z

człowiekiem, który zawiadomił ją o chorobie jej pani.

W owym czasie mistyfikacje były bardzo w modzie, to też pierwszą myślą prefekta było, iż ktoś sobie zażartował z dziewczyny. Z drugiej strony istniał fakt, że Gracini zniknęła, a służącą usunięto tylko dlatego, aby mózdz ograbić opustoszałe mieszkanie.

Przypuściwszy jednak, iż tak było w istocie, nasuwało się przecież pytanie: dlaczego złodzieje, — jeżeli to byli tylko złodzieje, — uznali za stosowne porwać śpiewaczkę w drodze do teatru, skoro mogli być pewni, że Gracini przed ukończeniem przedstawienia do domu nie powróci?

Prefekt zastanawiał się na tem, ale fakt zniknięcia pozostał faktem i nie licował z wiadomością, przyniesioną przez Fanchettę, gdyż nie można było przypuszczać, aby złodzieje byli na tyle głupi, aby sami dawali znać o zniknięciu śpiewaczki, wysyłając Fanchettę z tą wiadomością do teatru. Tkwiła w tem zagadka, którą trzeba było rozwiązać, a Dubois miał nadzieję, iż dokona tego w mieszkaniu artystki.

— Zaprowadź mnie do swojej pani — rzekł do służącej, drżącej z jakiegoś niewypowiedzianego strachu.

Kazał zawołać dorożkę i w towarzystwie Fanchetty i trzech agentów policyi pojechał galopem do mieszkania śpiewaczki.

Przejazdu nie zakłóciło ani jedno słowo, gdyż tak Fanchetta, jak i prefekt, byli zadumani, każde nad czemś innem. A myśli ich były bardzo nie wesołe.

Fanchetta, serdecznie przywiązana do swojej pani, tak szybko pobiegła do teatru, że zapomniała o swoim kochanku w mieszkaniu, i nie była pewna, czy wychodząc, nie zamknęła drzwi na klucz.

Tego wieczora, gdy pani miała śpiewać w teatrze, Fanchetta przygotowała dla swego przyszłego kola-

cyę — i oto nagle nietylko kolacya poszła na psy, ale w dodatku jeszcze policya znajdzie jej ukochanego, przechadzającego się po mieszkaniu, jak mysz w klatce. Choćby ten „przyszły“ był jak najprzystojniejszym, to przecież mało się znajdzie dziewcząt, któreby się do tego przyznać chciały. Fanchetta do tych ostatnich nie należała.

Aby jako tako dojść do równowagi, starała się przekonać sama siebie, iż jej wzburzenie było tak silne, że mogła zapomnieć i o zamknięciu drzwi; mimo tego jednak wiedziała prawie napewno, iż zamknęła drzwi. Powtarzała też sobie ciągle w duchu :

— Gdzie on się ukryje, skoro tylko usłyszysz nasze kroki po schodach?

Co się tyczy rozmyślań prefekta Dubois, to były one skierowane w zupełnie innym kierunku i bardzo smutne.

Otrzymawszy niedawno nominacyę na stanowisko, utworzone dla niego przez konsula Bonapartego, nowy prefekt starał się wszelkimi siłami dowieść swej zdolności, która dotychczas jakoś nie miała pola do zajaśnienia w całym swym blasku. Prócz tego cała sprawa zanadto obchodziła osobiście Bonapartego, a Dubois pragnął tem więcej wyjść z niej z honorem, iż czuł utajoną ku sobie nienawiść Fouchégo... odebrał ministrowi część jego władzy; chciał za jakąkolwiek cenę dowieść, iż jest godnym być nietylko współzawodnikiem swego wroga, ale w razie konieczności może go także zastąpić.

Pragnienie prefekta odznaczenia się było tem silniejsze, że idąc dowiadywać się u Fanchetty, co się właściwie stało, spotkał się w kurytarzu z ministrem policji, który odezwał się do niego ze swym zwykłym, niedbałym uśmiechem :

— Zniknięcie Gracini, to sprawa czysto paryska i wchodzi najzupełniej w zakres pańskiego działania, tem niemniej nie potrzebuję chyba zapewniać pana,

iz jestem najzupełniej do pańskiego rozporządzenia, o ile tylko mogę panu być w czemś pomocnym.

— Może to on sam splątał tego figla, aby mi dokuczyć? — pomyślał Dubois.

Odpowiedział swemu wrogowi najuprzejmiej, iż nie omieszka korzystać z jego łaskawej pomocy, sądzi jednak, iż i bez niej uda mu się wynaleźć tajemnicę tej zagadki.

Wsiadł więc do karety, pełen zapału, i wczasu cieszył się już powodzeniem, w czasie jazdy jednak rozmyślanie nad tem, co się stało, ostudziło cokolwiek jego szlachetne zapały.

Dokąd mogło go zaprowadzić to tajemnicze zniknięcie?

Powinien był znaleźć kobietę, którą kochał jego protektor...

No, ale dzięki temu, iż ta kobieta była kochaną, odnalezienie jej przedstawiało pewne niebezpieczeństwo, gdyż niewiadomo było, o ile okoliczności, towarzyszące jej zniknięciu, będą dla niej przyjemne i sprzyjające.

Dobrze, jeżeli będzie miał do czynienia z niewinną ofiarą, która w tej chwili błaga o pomoc — ale co będzie, jeżeli okaże się, iż uciekła dobrowolnie i nie będzie mu bardzo za to wdzięczną, iż wetknął nos w jej sprawę?...

W tym ostatnim wypadku do podrażnionej kobiety trzeba będzie jeszcze dodać rozjuszonego kochanka.

Dubois był rozsierzory podwójnie: po pierwsze dlatego, iż wprowadzono go w pole, po drugie zaś, iż będzie wiedział, że wszyscy znają jego śmieszne położenie. Nie na tem koniec. Gdy kochana kobieta, musząc się tłumaczyć, każe wierzyć w najrozmaitsze wymysły, to rzadko się zdarza, aby między poważnymi nie doszło do porozumienia, poczem połączona

na nowo para napada razem na oszczercę, który jeden jedyny odpowiada za wszystko.

Wobec tego wszystkiego Dubois poczuł, iż zapał jego powoli zaczyna stygnąć, a nawet zmieniał się w żal, iż mimowolnie musiał się zająć taką niebezpieczną sprawą.

— Brzydka rzecz! Brzydka rzecz! — powtarzał sobie w duchu.

W tej chwili, pomimo swej nienawiści do Fouchégo, z całą przyjemnością byłby odstąpił tę sprawę ministrowi.

Fanchetta ze swej strony, gdy karetą zatrzymała się przed domem, pomyślała sobie:

— Tu chyba tylko cud pomoże! Być może, iż istotnie zapomniałam zamknąć drzwi...

II.

Gracini mieszkała na bulwarze Woltera, na pierwszym piętrze niewielkiego pałacyku, którego ogród dotykał do rynku Beauvilliers. Było to bardzo wygodnym dla Fanchetty, która po przejściu ogrodu i otwarciu małej furtki, mogła się zaraz znaleźć wśród kapusty i kartofli. W tej chwili nie myślała naturalnie ani o kapuście, ani o kartoflach, lecz rozgoryczona wstępowała za prefektem po schodach, czując za sobą obecność dwóch agentów policyjnych, gdyż trzeci pozostał na czatach na ulicy.

— Musisz mieć przy sobie klucze. Otwieraj drzwi! — rozkazał Dubois.

Służącej zadrżała ręka, gdy szukała dziurki od klucza, a czuła, iż pali ją silny rumieniec, gdy przekonała się, iż drzwi były istotnie zamknięte.

— Gdzie on się schowa? — pytała sama siebie;

Jeden z agentów stanął na straży przy drzwiach mieszkania, co ukochanemu uniemożliwiało ucieczkę.

w wielkiej szafie w przedpokoju także się ukryć nie mógł, gdyż drzwi jej były na poły otwarte.

— W takim razie ukrył się napewno w dolnej części wielkiego bufetu — myślała Fanchetta, idąc za prefektem, który wszedł właśnie do jadalni w towarzystwie ostatniego z agentów, chudego i wysokiego człeka o sowych oczach, istnego puhacza - straszdyła.

— Oh! — zawołał prefekt na widok wspaniałej srebrnej zastawy, którą było widać z po za szyb wielkiego kredensu.

Agent z sowymi oczyma także przez chwilę popatrzył na srebro przez plecy swego naczelnika, a potem, nie mówiąc ani słowa, rozejrzał się dokoła, rzucił wzrokiem na podłogę i przyglądał się jej uważnie...

— No, i cóż powiesz Patapon? — zapytał Dubois.

Agent rozwarł swą szeroką gębę, aby odpowiedzieć, ale nagle powstrzymał się i zaczął wciągać w siebie powietrze. Ale tak wzrok, jak i słuch widocznie nic mu nie pomógł, gdyż wyrzekł tylko jedno słowo:

— Nic.

— A ty, moja piękna — zapytał Dubois Fanchettę — czy nie zauważyłaś jakiej zmiany w tym pokoju? Czy może w twojej nieobecności ktoś tu wchodził do tego pokoju? Może jest jaka zmiana?

— Nie, panie prefekcie, wszystko jest na swoim miejscu — odparła służąca, pragnąc, aby jak najwcześniej wynieśli się z tego pokoju, gdyż była święcie przekonana, iż jej ukochany leży na spodzie w kredensie.

Istotnie Dubois w towarzystwie agenta przeszedł do buduaru.

Pozostawszy na chwilę sama, Fanchetta czempędzej otworzyła drzwiczki kredensu i rzuciła okiem w głąb.

— Niema go tutaj! A może się schował w pościel pani? — pomyślała, idąc za policyantami.

W buduarze ponury Patapon zrobił to samo, co w jadalni i na pytanie prefekta, odpowiedział:

— Nic.

W salonie, znajdującym się po lewej stronie buduaru, Patapon powtórzył swoje jedno słowo:

— Nic.

Gdy doszli nareszcie do sypialni, Fanchetta przedewszystkiem zajrzała do pościeli.

— Widocznie ukrył się w garderobie pani, pod jej sukniami, gdyż pod pościelą go niema!

Serce jej biło coraz silniej w miarę tego, jak się zbliżano do garderoby, gdzie jej ukochanego napewno przychwycą.

W sypialni agent zrobił dokładniejszą rewizyę, ale wynik jej był jednakowy. Ponieważ jednak trwało to dłużej, przeto powtórzył dwa razy:

— Nic, nic.

Dubois najwidoczniej znał dobrze swojego pomocnika i w zupełności ufał jego sprytowi, gdyż zadowolnił się jego słowami i poszedł dalej.

W ciemnej garderobie Patapon zabawił dosyć długo, ale Fanchetta nie miała odwagi śledzić tam jego czynności. Ze strachu przymknęła oczy, czekając na odkrycie, które mogło do pewnego stopnia zaszkodzić jej dobrej sławie; czas wydawał się jej niesłychanie długim...

— Nic — rzekł Patapon, wychodząc.

— Nic? — powtórzyła Fanchetta ze zdumieniem, gdyż w jej wyobraźni ta ciemna garderoba była ostatniem miejscem, gdzie się mógł schronić jej ukochany.

Tymczasem prefekt przez kurytarz dostał się do kuchni.

— Aha! — rzekł nagle Patapon, który wszedł za swoim naczelnikiem.

Wciągnął znowu w siebie powietrze, a oczy jego zapalały jakąś chciwością zdobyczy; z zadowoleniem wciągał w siebie zapach kuchni.

Przyczyną tego było, iż agent zauważył na stole mnóstwo doskonałych potraw, przeznaczonych na kolację dla ładnej służącej i jej ukochanego.

— Dokąd prowadzi to wyjście? — zapytał Du-bois, wskazując na drzwi, zamknięte na dwa zamki.

— Na schody do ogrodu — odparła Fanchetta.

Nie ulega wątpliwości, iż dziewczyna była bardzo zadowolona, iż nie znaleziono jej adonisa, ale jej zadowolenie łączyło się z głębokiem zdziwieniem, gdyż musiała się sama siebie zapytać, którędy mógł wylecieć ptaszek, pozostawiony w klatce, ponieważ jedno i drugie drzwi były zamknięte, okien nikt nie otwierał, tak, iż przez nie także wydostać się nie mógł.

Tymczasem Patapon, stojąc przed potrawami, wskazał na nie i rzekł do swego naczelnika:

— Dlaczego?

— Tak — zauważył prefekt. — Dlaczego przygotowane są te potrawy? — zapytał Fanchetty.

Od chwili, gdy przestała się już obawiać o siebie, Fanchetta nabrała pewności i odpowiedziała śmiało:

— To kolacya, którą przygotowałam dla pani, gdy powróci z teatru.

— Dobry żołądek — z powagą rzekł Patapon w rodzaju pochwały, spoglądając na liczne półmiski, przeznaczone na zaspokojenie głodu śpiewaczki.

Ta uwaga agenta skłoniła prefekta do przyjrzenia się bliżej ilości półmisków, która mimowolnie nasuwała myśl, iż Gracini jest bardzo żarłoczną.

— Tak — rzekł z uśmiechem — twoja pani musi mieć doskonały apetyt.

— Zdaje mi się, iż nie powiedziałam, że moja pani jeść będzie sama — odparła Fanchetta.

— Ah, ah! — zauważył Dubois i uśmiech ironiczny zniknął z ust.

Istotnie słowa służącej przypomniały mu tego, kto miał prawo jeść kolację razem z artystką, i kto być może przyjdzie się zapytać o wynik śledztwa, rozpoczętego w sprawie zniknięcia śpiewaczki. Człowiek ten był dumny, niecierpliwy i bez namysłu odbierał posady tym, których słusznie lub niesłusznie uważał za niedołęgów w służbie.

Dubois zmarszczył brwi, zacisnął usta i po raz drugi syknął przez zęby:

— Brzydka rzecz! Brzydka rzecz!

Tak, brzydka rzecz, gdyż biedny prefekt musiał się sam przed sobą przyznać, iż od czasu swego wyjazdu z teatru nie postąpił w śledztwie ani kroku naprzód. A ponieważ w razie niepowodzenia nawet człowiek nie lubi uważać się za głupszego od innych, przeto powtarzał sobie w duchu w rodzaju pociechy:

— Fouché na mojem miejscu nie zrobiłby też nic lepszego!

Dubois czuł, iż nad nim wisi miecz Damoklesa w postaci gniewu Bonapartego, zaczął się więc zastanawiać nad swoim położeniem i powolnym krokiem powrócił do pokoju w nadziei, iż jakiś przypadek naprowadzi go na jakiś pożądany ślad.

Wskutek tego Fanchetta pozostała w kuchni z Pataponem, który z widocznym zadowoleniem spoglądał na krem czekoladowy, sporządzony przez służącą ze szczególną troskliwością. Mimo tego, iż pozornie był bardzo zajęty przyglądaniem się przysmakom, można było przypuszczać, że miał dar widzenia tego, na co nie patrzył, gdyż aczkolwiek stał plecami do drzwi, przez które wyszedł jego naczelnik, rzekł, wiedząc, iż ten nie będzie go mógł usłyszeć:

— Nie posiada sprytu.

Wzruszył ramionami i spojrzał na Fanchettę. Następnie podszedł ku niej i wyciągnął rękę, jakby ją chciał pochwycić:

— Śliczna dziewczyna! — rzekł.

— Co się panu stało?! Zwaryował! — krzyknęła Fanchetta, odskakując w bok. — Wiedz pan — dodała z powagą — iż nie jestem jedną z tych, które pozwalają żartować ze sobą w ten sposób!

Usłyszawszy to, Patapon otworzył jak szeroko usta, pokazał długie, żółte zęby i roześmiał się po cichu.

— Filutka! — rzekł.

Fanchetta, widząc przed sobą te okrągłe, o przenikliwym wzroku oczy, nos jak haczyk lub dziób drapieżnika, usta od ucha do ucha, wysoką i chudą, jak szczapa, postać, wielkie, włosami porosłe ręce, z których każda, nawet w żarcie, mogłaby była zdusić człowieka, i nogi jeszcze większe — jednym słowem tę śmieszłą postać, której dotąd nie mogła się przyrzec dokładnie — poczuła nagle, iż owładnęło ją jakieś uczucie niewypowiedzianego wstrętu, jakby się znalazła w pobliżu jakiegoś płaza.

— Filutka! — powtórzyła, udając, iż nie rozumie.

Wtedy Patapon pochwycił ją swą potworną łapą i przyciągnął ku sobie.

— Tak, filutka, udająca niewinność — rzekł półgłosem. — Twój kochanek zaledwie ztąd wyszedł... przyjechał konno w butach z ostrogami... czyścił pistolety w jadalni... usiadł w buduarze... mył ręce w garderobie... jest brunetem... skrapia się węgierską wodą... wyszedł głównymi schodami...

Patapon nie miał zwyczaju ubierania swych myśli w wyszukane słowa, mimo to słowa jego były bardzo zajmujące. Wypowiedziawszy je, odtrącił od siebie dziewczynę i dodał:

— Filutka i kłamczyni!

Stara to prawda, iż kto chce dowieść za wiele, ten nie dowiedzie niczego. Tak się też stało i z agentem, gdyż Fanchetta, która początkowo słuchała jego słów ze zdumieniem, roześmiała się w końcu na cały głos i odpowiadając komplementem za komplement, rzekła:

— Kłamca i dureń!

W tej chwili Dubois stanął znowu na progu kuchni. Bez wątpienia postanowił udać się na nową drogę, gdyż zwrócił się do Patapona:

— Musimy się dowiedzieć, jaką drogą pojechała obywatelka Gracini do teatru po wyjściu z domu.

Miast wszelkiej odpowiedzi, agent wskazał na zegar kuchenny.

— Północ — rzekł.

Była to godzina, o której nie można się było dowiedzieć tego, czego pragnął prefekt.

— Północ — powtórzył z rozgoryczeniem prefekt, gdyż w zapale poszukiwań stracił rachubę czasu.

Trzeba było odłożyć wszystko do jutra. Ten musowy odpoczynek stawiał prefekta w bardzo niemiłe położenie. Nie miał odwagi wracać do domu, gdyż był święcie przekonany, że znajdzie tam rozkaz udania się natychmiast do Tuilleryów, celem zdania sprawozdania z poszukiwań. Poddał się jednak swojemu losowi.

— Zostawię cię tutaj do jutra rana, gdyż tej nocy może nastąpić jakiś wypadek, o którym mnie natychmiast zawiadomisz — rzekł do Patapona.

— Dobrze — odparł ten obojętnie.

Fanchetta uśmiechnęła się na myśl, iż pozostawiano jej cacko do zabawki, gdyż Pataponowi jakoś się z nią nie powodziło. Z początku uważała go za jakiegoś ludojada, a teraz spoglądała na niego, jak na pajaca.

I istotnie, czyż mogła podzielać ten szacunek, jaki miał Dubois dla swego podwładnego na punkcie jego przenikliwości, skoro przed chwilą dopiero przekonała się, co on jest wart. Starał się występować, jak stary lis, a tymczasem miała dowód, jak bardzo się mylił na punkcie swego rzekomego odkrycia.

Przedewszystkiem jej ukochany był brunetem, ale odkrycie to nie było jeszcze wielką zasługą, mógł zgadnąć przypadkowo. Ale, aby miał buty z ostrogami, pistolety... to już było stanowczo niemożliwem, gdyż sama widziała go w pantofelkach ze stalowymi sprzączkami i z bukietem w ręku, który stanowił całą jego broń. Fanchetta nie przypuszczała nawet, aby umiał jeździć konno, nie skrapiał się też wodą węgierską, gdyż sama dawała mu olejek różany, który zabierała z tualety swej pani.

Tym sposobem wszystko, co powiedział agent, było poprostu chęłpieniem się człowieka, niezdolnego do niczego, a który chce się przedstawić za mędrca. — Gdyby był cośkolwiek wykrył, to bez wątpienia pochwaliby się zaraz przed swoim naczelnikiem, a zamiast tego odpowiadał mu ciągle tylko :

— Nic i nic.

Nie, nie uwierzyłaby nigdy temu straszdyłu, które nazwała kłamcą i durniem.

— Poigram z nim — powiedziała sobie, usłyszawszy, iż ma pozostać z nim sama.

Skoro tylko prefekt wyszedł, zabierając ze sobą dwóch pozostałych agentów, Fanchetta z ironicznym i szyderyczym wyrazem twarzy stanęła przed Pataponem i rzekła :

— Czy może mi pan podać adres tego szewca, u którego mój narzeczony kupił sobie buty z ostrogami?

Patapon spojrział zdumiony na dziewczynę, a potem ujął ją za rękę, wziął do drugiej ręki kandelabr i wyrzucił z siebie jedno tylko słowo :

— Chodźmy!

Odchodząc cokolwiek w bok, postawił kandelabr na podłodze i wskazał tam palcem. Istotnie na podłodze znać było dokładnie dwa półkoła jasnoszarego błota w rodzaju dwóch półksiężyców.

— Obcasy! — rzekł agent.

Następnie swym długim palcem wskazał na dwie maleńkie kapki zaschniętego pyłu w niewielkiem odaleniu od tych dwóch półksiężyców.

— Zapaćkane ostrogi... — dodał.

Dalej, wyprostowawszy się, wskazał ręką na powierzchnię stołu. Fanchetta przypominała sobie doskonale, że starła nóż po obiedzie, zauważyła ku swemu zdumieniu jakąś cieniutką warstwę pyłu z metalicznym odbłaskiem.

— Czyścił pistolety... — rzekł Patapon.

Wziął znowu kandelabr do ręki i pociągnął za sobą służącą do buduaru. Tutaj położył palec na obiciu czarnego, atlasowego fotelu.

— Usiadł tutaj... — rzekł. — Przyjechał na siwym koniu... patrz... oto końskie włosie...

W rzeczy samej na czarnej materyi widać było pięć czy sześć białych włosków, przyniesionych najwidoczniej przez tego, który siedział na fotelu.

Fanchetta przestała się śmiać.

— Chodźmy — rzekł znowu Patapon.

Zaprowadził ją do ciemnej garderoby.

— Mył ręce, zapaćkane czyszczeniem pistoletów... potem napił się wody... osioł... nie posiada za grosz sprytu...

W filizance na tej wysokości, dokąd dochodziła woda, pokazał jej ciemny rys pyłu z metalicznym odbłaskiem, który poprzednio pokazywał już na stole.

Fanchetta przestała się śmiać na dobre i zadrżała zlekka; dreszcz przebiegł ją po całym ciele na myśl, iż pozostawała sama z tym wcielonym dyabłem, z któ-

rego sobie jeszcze przed chwilą tak drwiła, z którym miała ochotę poigrać sobie.

Tymczasem Patapon wsunął rękę do swej obszernej kamizelki i grzebiąc w niej, rzekł:

— Było mu gorąco... obcierał sobie czoło... włosy czarne... kręcone...

Z kieszeni wyciągnął cieniutką batystową chusteczkę, zwiniętą w rodzaju gniazda, a na niej znać było dwa czarne włoski. Podsunął chusteczkę pod nos Fanchetty i rzekł:

— Węgierska woda...

Nie można było powiedzieć „nie“ — zapach ten nie przypominał bynajmniej olejku różanego, którym Fanchetta obdarzała swego narzeczonego.

— Znalazłem to na głównych schodach... — dodał Patapon, aby objaśnić, w jaki sposób przyszedł w posiadanie tej chusteczki.

Wątpliwości już nie było. Fanchetta musiała sama przyznać, iż do mieszkania podczas jej nieobecności wdarł się jakiś człowiek. Ale w takim razie jej narieczony, którego ona zamknęła na klucz... spotkali się chyba... Co się stało?!... Może razem poszli?...

Na wszystkie te pytania nie znajdowała odpowiedzi, a na twarzy jej odbiło się tak straszne przerażenie, że agent uważał to za następstwo zadanego jej ciosu. Wtedy rozciągnął znowu usta od ucha do ucha, pokazał żółte zęby i powtórzył:

— Filutka!

Następnie owładnęło nim jakieś niezadowolenie, iż przed chwilą ta dziewczyna wątpiła o jego zdolnościach; wyprostował się i tonem podrażnionym wyrzucił z siebie pytanie:

— Czy ty znasz moje przezwisko?

Fanchetta nie mogła wymówić ani słowa, wstrząsnęła tylko głową.

— Król szpiegów! — rzekł.

Podniósł głowę wysoko, a oczy zaświeciły mu się jakąś dziwną dumą.

— Wysłałem już trzydziestu dziewięciu na gilotynę... — mówił powoli dalej.

Fanchetta ze zgrozą przymknęła oczy, a w jej wyobraźni wymalowała się już głowa jej ukochanego, podniesiona w górę ręką kata.

Wtem we drzwiach dał się słyszeć głos.

— Wy tu, piękna Fanchetto? Wy tu?

Na progu zjawiła się nowa osobistość, tak samo śmieszna, jak Patapon, ale zupełnie w innym rodzaju. Patapon swym zewnętrznym wyglądem budził strach instynktowny, ten zaś pobudzał do śmiechu.

Był to starzec lat około sześćdziesięciu, średniego wzrostu, o różowej i czerstwej cerze twarzy, do tego stopnia żywy i wesoły, że gdyby nie jego siwe włosy, można go było liczyć nie więcej, jak pięćdziesiąt lat. Co się tyczy jego oczu, można było przypuszczać, iż nie tak dobrze się zachowały, gdyż pokrywały je wielkie zielone okulary.

Najzabawniejszym był kostyum człowieka, którego jakby przemocą wyrwano z ciepłej pościeli. Na głowie miał białą szlafmycę, przywiązaną do głowy niebieską wstążką, zakończoną na czole wspaniałą kokardą. Na nogach miał zdeptane porządnie pantofle, a odziany był w stary płaszcz nieokreślonego koloru, który mu służył, jako szlafrok.

Nowoprzybyły czynił wrażenie człowieka dobrodusznego i głupiego zarazem, a dowodziło to ufności i tchórzliwości jego charakteru. Jednym słowem, było to jedno z tych stworzeń, o których mówią, iż nie wynalazło prochu, a potem dodają, iż nie zabiłoby nawet muchy.

Na widok Fanchetty rzekł żalonym tonem:

— Co to się takiego stało, moja droga? Po schodach chodzą tam i z powrotem, bramę otworzyli na oścież... Co to za pan, który teraz wszedł do mnie

i zbudził mnie, mówiąc: „Odpowiadajcie mi, jestem Dubois“... Do dyabła! Dubois! W mojem życiu znałem przynajmniej dwudziestu ludzi tego samego nazwiska, ale ani jeden z nich nie uważał tego za dostateczny powód do tego, aby ni z tego, ni z owego budzić ludzi po nocy... A potem opowiadał mi także ten Dubois... że wasza pani gdzieś zniknęła... czy to prawda, moja droga?

Podczas tej przemowy Fanchetta przyszyła zupełnie do siebie.

— To prawda, ojczy Topinard — odparła.

W tej chwili pocziwiec zauważył Patapona, który od czasu jego pojawienia się, przyglądał mu się uważnie i według wszelkiego prawdopodobieństwa, zdążył już wyrobić sobie o nim zdanie, gdyż syknął przez zęby:

— Idyota!

Na widok chudego olbrzyma stary, nagle umilkł, starając się prawdopodobnie domyśleć, co ten drażał mógł mieć do czynienia po nocy z taką ładną dziewczyną. Przypatrzył mu się uważnie przez okulary, zwrócił się do Fanchetty i skrzywił się wcale niedwuznacznie. Miało to oznaczać, iż nie zazdrości jej wcale gustu.

Fanchetta zrozumiała tę mimikę i unicestwiła z miejsca podejrzenie Topinarda.

— To obywatel Patapon, agent policji — rzekła.

— Patapon, Patapon — powtarzał stary — a!... teraz rozumiem, co chciał powiedzieć ten Dubois, gdy mnie zbudził. Zakończył tem, iż powiedział mi, abym się udał na górę, a tam mi już Patapon powie, czego odemnie chce.

Po tym rozkazie, otrzymanym pośrednio, agent zwrócił się do Fanchetty i wskazał na Topinarda.

— Kto to? — zapytał.

— To odźwierny, uczciwy, usłużny człowiek, z którego moja pani była zawsze bardzo zadowolona.

— Dobrze, jest on odźwiernym, ale kto jest gospodarzem?

— Dom znajduje się w sekwestrze, to własność państwowa, państwo jednak zapomniało tego domu sprzedać, albo też nie znalazło kupca... sama doprawdy nie wiem.

— A kto był przedtem właścicielem?

— Jakiś arystokrata, którego skrócono o głowę w roku 1794.

Przestraszony Topinard nie śmiał się poruszyć i zatrzymując oddech, bojaźliwie przypatrywał się Pataponowi.

Patapon chciał widocznie dowiedzieć się o odźwiernym, zanim przystąpi do jego przesłuchania, gdyż znowu zwrócił się do Fanchetty:

— A więc w takim razie któż go opłaca?

— Zdaje się, że nikt.

— Odźwierny dla honoru?

— Tak prawie. W czasie terroru schronił się do pustego domu i osiedlił się w nim, a ponieważ w domu potrzebny był stróż, przeto pozostawiono go i mieszka tutaj już od siedmiu lat. Mieszkanie darmo, oto prawie wszystko, co otrzymuje. Zresztą sędzę, iż coś tam posiadać musi, gdyż, jak mówią, był lokajem w bogatym domu i teraz zjada swoje własne oszczędności. Pani od czasu do czasu coś mu tam daje...

— I inni lokatorowie także?

— Ah! — roześmiała się Fanchetta — gdyby nie miał niczego innego, prócz tego, co mu dają inni lokatorowie, mógłby śmiało ginąć z głodu.

— Dlaczego?

— Dlatego, iż pani mieszka sama jedna w tym domu.

— A pierwsze piętro?

— Tak, ale kiedy pani przyjechała tutaj, to to pierwsze piętro było w takim stanie niechlujstwa, takie wilgotne, iż wolała przenieść się z miejsca na

drugie piętro. Według wszelkiego prawdopodobieństwa z tej przyczyny nie posiada pierwsze piętro dotychczas żadnego lokatora.

Topinard, dopóki była mowa o nim samym, przytakiwał głową wszystkiemu, co o nim mówiła Fanchetta, a gdy zamilkła, na twarzy jego pojawił się wyraz bojaźni. Okutał się silniej w swoje stare ła-chmany, jakby obawiając się tej chwili, w której agent policyi przemówi do niego.

Dowiedziawszy się w ten sposób o przeszłości odźwiernego, Patapon zwrócił się do niego i wrzasnął:

— Tu do mnie, stary potworze! Pomówimy ze sobą!

Zgarbił się biedny Topinard i podszedł do Patapona, człapiąc pantoflami. Wezwany jak pies, podchodził też jak zwierzę, które się boi, aby go nie obito.

W tej chwili w przedpokoju mieszkania rozległ się niezwykle czysty i dźwięczny głos, nucący jakąś melodyę.

— Ach! To pani! — krzyknęła Fanchetta.

W istocie w tej chwili na progu pokoju pojawiła się Gracini w towarzystwie prefekta Dubois, który miał nos bardzo na kwintę spuszczoney.

III.

Gracini powracała do domu z bardzo rozstrojonymi nerwami i nie była wcale usposobiona do prowadzenia rozmowy, gdyż odwróciwszy się i spostrzegłszy za sobą prefekta, krzyknęła gniewnie:

— I znowu pan, Dubois?! Jak widzę, chcesz się pan zamienić w mój cień po nocy! To mi się nie podoba!

— Ale...

— Jakie ale?... Przechodziłeś pan po bulwarze, a ja miałam to nieszczęście, iż przywołałam pana. Pan wynagradzasz mi to w ten sposób, iż rozstrajasz mi nerwy swemi niedorzecznemi pytaniami. Szkoda, że nie pozwoliłam panu szukać mnie dalej. Teraz jest noc i spać mi się chce, dlatego też bądź pan tak uprzejmy i odłóż swoje pytania do jutra, a teraz... do widzenia.

Mimo tego wyraźnego życzenia, aby się wynosił, Dubois ani drgnął.

— Ależ muszę zdać sprawę z poruczonego mi zadania temu, który mi je zlecił!

— Pańskiego zadania?... Jakiego zadania?... Rozkazu może?... Znaleść mnie?... Zdaje mi się, iż się znalazłam!

— Tak, ale zażądamy odemnie szczegółów co do...

— Ten, kto się chce dowiedzieć szczegółów, może sam przyjść do mnie!

— Pomyśl pani tylko, o kim pani mówi! — zauważył Dubois pod wpływem jakiejś nieszczęśliwej myśli.

Słowa te wywołały burzę.

— Posłuchaj pan, Dubois! — krzyknęła śpiewaczka — do tej chwili byłeś pan nieznośnym, a teraz stałeś się głupim! Chcesz mi pan dokuczać swoim Bonapartem, przed którym wszyscy tak się kłaniają, że niezadługo staniecie się garbatymi! Tak, jeszcze raz powtarzam panu, że jeżeli on się chce dowiedzieć szczegółów, to sam tu może po nie przyjść... drogę zna doskonale.

Zamilkła na chwilę, a potem wzruszyła ramionami i dodała:

— Na nieszczęście...

Nagle poczuła jakiś żal, iż tak brutalnie obeszła się z biednym i Bogu ducha winnym prefektem.

— No, mój drogi — rzekła uprzejmie — poddaj

się pan kapryswi kobiety, któr nie chce rozmawiać, a przynajmniej w tej chwili. Przynajmniej panu, iż opowiem komu należy o pańskiej pracowitości i o pańskim staraniu się, aby mnie zmusić do odpowiedzi.

Wyciągnęła do niego rękę i dodała:

— Rzec postanowiona, pozwól mi się pan położyć do łóżka, a radzę panu uczynić to samo. Żegnaj, do widzenia!

W tej chwili wzrok jej padł na Patapona.

— Tak, żegnaj pana, a uwolnij mnie pan od swoich pomocników.

— Patapon, idź na dół i czekaj na mnie — rozkazał prefekt, przypisując miłczenie śpiewaczki obecności agenta.

Omylił się jednak, gdyż Gracini rzekła porywczo:

— Czekać na pana?!... Zdaje mi się, iż pan mu wskaże drogę... Fanchetto, poświeć obywatelowi prefektowi!

Wyproszony w ten sposób Dubois nie mógł zostawać dłużej, to też skłonił się i rzekł:

— Prosto stąd udam się do pierwszego konsula, który mnie oczekuje.

— Tem więcej przyczyn, aby się spieszyć.

— A będę musiał opowiedzieć mu, iż pani nie chce dawać żadnych wyjaśnień.

— Tak, tak, bądź pan zdrow — odparła Gracini, ziewając.

Dubois po tych słowach musiał się wynosić.

— Bonaparte tyle ją obchodzi, co psa piąta nogga — myślał, schodząc razem z Pataponem po schodach.

Gdy agent stanął na ostatnim stopniu, odezwał się po za nim cichy, nieśmiały głos:

— Do widzenia, obywatelu Patapon!

Był to Topinard, który po wyjściu z mieszkania śpiewaczki czekał na dole na gości, aby zamknąć za nimi bramę.

Słowa te, aczkolwiek wypowiedziane z wielkim szacunkiem, wywarły przecież bardzo nieprzyjemne wrażenie na obywatelu.

— Istotnie, można by pomyśleć, że ten kretyń śmieje się ze mnie — pomyślał.

Podejrzanie to rozwiało się jednak na widok głupiej miny starego, który z uśmiechem mu się kłaniał.

.....

Dubois miał najzupełniejszą słuszość, gdy rozważał doniosłość wpływu, jaki włoska śpiewaczka wywierała na Bonapartego.

Po bitwie pod Marengo przyjechała razem z armią włoską do Paryża w powozie generała Berthier, ale wkrótce dowiedzieli się wszyscy, że Berthier nie przywoził jej dla siebie, lecz dla kogoś innego.

Gracini i hrabina Walewska były jedynymi z kochanek Bonapartego, które umiały przez pewien czas utrzymać przy sobie tego, o którym mówiła Józefina:

— „Jestto taki człowiek, iż w roku znajdują się zaledwie dwa dni, w których kobieta może mu rozkazywać.“

Ostry i brutalny w obejściu się z kobietami, rozkazywał tym, które były na tyle słabe, iż mu się poddały, a o skromności nie miał najmniejszego pojęcia.

Pewna piękna kobieta, która padła w jego objęcia, sądziła, iż jej błąd pozostanie na zawsze tajemnicą i jej sława nic na tem nie ucierpi. Tymczasem gdy pewnego razu wchodziła na jakiś bal, kilku młodych ludzi zachwycało się jej pięknnością, nie wiedząc o tem, iż po za nimi stoi Bonaparte.

— Tak, piękna jest, ale ma bardzo chude łydki — rzekł brutalnie Bonaparte, zdradzając szczegóły postaci tej kobiety, o której cnotcie nikt nie śmiał powątpiewać.

Bonaparte miał wówczas około trzydziestu lat, gdy krew kipi, a wyobraźnia patrzy się na wszystko przez różowe szkiełka. Do Gracini odczuwał tylko brutalną

namiętność, a jeśli ją pokochał, to tylko dlatego, iż dotknęła jego najczulszej strony, a mianowicie... dumi. W chwili, gdy inne kobiety kłaniały mu się jak bóstwu, Włoszka zawsze wyśmiewała się z niego:

— Tak, tak, jesteś wielkim dowódcą — mawiała — ale mnie nie potrzeba wodza, ja wolę pięknego mężczyznę.

Gdy rozgniewany jej lekceważeniem groził jej, iż cofnie swoją protekcję, przez którą otrzymała w teatrze 20.000 franków miesięcznej gaży, śpiewaczka odpowiadała mu z całym spokojem:

— Z takim głosem, jak mój, znajdę wszędzie utrzymanie.

Tym sposobem Bonaparte rozkochał się w kobiecie, która wodziła go za nos i co dnia powtarzała mu:

— Jesteś doskonałym wodzem, ale mi bardzo żal ciebie, gdyż wszystkie skarby republiki nie zmuszą mnie do tego, abym uwierzyła, iż jesteś pięknym i przystojnym mężczyzną.

Wskutek tego pierwszy konsul musiał się zadawać stosunkiem, w którym serce nie odgrywało żadnej roli, ale był przekonany, że przynajmniej za wszystkie jego dobrodziejstwa artystka pozostanie mu wierna.

Gracini nie kochała go, ale była z nim otwartą. Gdy chwalił ją za jej prowadzenie się, odpowiadała mu z uśmiechem:

— To dlatego, iż jeszcze nie spotkałam nikogo na mej drodze.

Można sobie wyobrazić, jak wielkim był gniew generała, skoro się dowiedział o zniknięciu śpiewaczki.

— A może naprawdę kogoś spotkała? — zapytywał sam siebie.

.....

Po wyjściu prefekta i Patapona Topinard zamknął bramę.

— Uf! — westchnął — nareszcie poszli! Będę mógł nareszcie dokończyć przerwane go snu.

Zwróciwszy się do Fanchetty, która stała na górze ze świeczką, dodał:

— To przyjemny człowiek ten agent! Przestraszył mnie, a wy, piękna Fanchetto, wy...

Służąca chciała się dowiedzieć, co powie jej pani i nie chciała rozmawiać z odźwiernym.

— Bądźcie zdrowi, Topinard, pomówimy o tem jutro! — zawołała i zniknęła.

Odźwierny otworzył usta szeroko i, zmieszany tem nagłym zniknięciem, patrzył jak błędny w górę. Gdy już umilkł odgłos jej kroków, zwrócił się do swego pokoiku. Uszedł może trzy kroki, gdy nagle się zwrócił i podszedł do bramy.

— Poszedł czy nie poszedł? — szepnął, otwierając małe okienko w bramie.

Przyglądał się uważnie, a posłyszawszy turkot kół powozu prefekta, mruknął:

— Pojechał!

Chciał już zamknąć okno, gdy nagle zwróciła jego uwagę na siebie mała, czarna plama, która pojawiła się po lewej stronie bulwaru i powiększała się z każdą chwilą.

— Ktoś tam idzie... może to generał do swojej kochanicy?... Nie, ten jest o wiele wyższy... prócz tego jest sam, a generał chodzi zawsze z adjutantem, który czeka na niego przy furtce ogrodowej, podczas gdy on sam bawi się na górze...

Tymczasem przechodzień zbliżył się do bramy, rozejrzał dokoła i stanął.

— Oho! — rzekł do siebie zdziwiony Topinard.

Zdumienie Topinarda spotęgowało się jeszcze, gdy w tej chwili usłyszał, iż poza bramą ktoś się podniósł, ktoś, który siedział na stopniu, a którego przez okienko nie mógł widzieć.

— Tak jest, to Patapon! — mruknął odźwierny.

Tymczasem nieznajomy podszedł do agenta i zapytał go:

— No, i cóż, mój drogi!

Słowa te zniewoliły Topinarda do przyjrzenia się bliżej nieznajomemu.

— Ależ to Fouché, jeżeli się nie mylę!

Przyłożył ucho do okienka i zaczął podsłuchiwać.

IV.

Pragnienie snu u pięknej śpiewaczki, które zmusiło ją do wyproszenia prefekta, było istotnie wielkie, gdyż Fanchetta, powróciwszy do pokoju, zastała już swoją panią na poły rozebraną.

— Uczesz mnie czempredzej na noc, gdyż zasypiam — rzekła Gracini.

Ten pośpiech kładzenia się do snu nie bardzo podobał się służącej, gdyż była bardzo ciekawą dowiedzieć się, co jej pani porabiała. Widząc, iż śpiewaczka odkłada wyjaśnienia do jutra, nie mogła powstrzymać swej ciekawości.

— Jakże się też dzisiaj obawiałam o panią! — rzekła, sądząc, że przecież czegoś się dowie.

Gracini nie miała jednak ochoty dawania jakichkolwiek wyjaśnień, gdyż odparła z uśmiechem:

— Tak, tak, moja biedaczko, musiałaś pędzić do teatru, gdyż powiedziano ci, że jestem chora.

Gracini ziewnęła i nie powiedziała nic więcej.

Żdziwiona początkowo tem, iż pani wie o figlu, jakiego jej spleatano, Fanchetta nastawiła uszy w nadziei, iż dowie się jakichś szczegółów i zaczęła znowu:

— A więc pani zadowolona z dzisiejszej przygody? — zapytała.

— Dlaczego mam być niezadowolona? Zarobiłam setkę lujdorów i zjadłam kolację w bardzo przyjemnym towarzystwie — odparła spokojnie Gracini.

— Ach! — zawołała jeszcze więcej zdumiona tą odpowiedzią Fanchetta.

Ciekawość jej zaspokojona była tylko do połowy, a to jej nie wystarczało. Prócz tego i ona sama miała przygotowaną kolację dla przyjemnego towarzysza.

Gracini wstała i przeciągnęła się, przysmykając oczy.

— Dobrze, dobrze — rzekła — możesz iść spać.

A nie zapomnij zamknąć drzwi.

— Ale...

— Co?

— Czyż nie mam czekać na wypadek, gdyby generał...

— Po pierwsze generał posiada wszystkie klucze, aby mógł dojść aż tutaj, a po drugie, aczkolwiek jest źle wychowany, powinien przecież zrozumieć, iż należy mu odłożyć swoją wizytę do jutra.

Powiedziawszy to, Gracini przeszła z garderoby do sypialni i położyła się do łóżka, mówiąc:

— Zdaje mi się, iż zaraz usnę — potem, już prawie zasypiając, dodała: — A nie zapomnij dobrze zamknąć drzwi!

Fanchetta pogasiła światła, zostawiając tylko lampkę nocną, poczem wyszła na palcach z sypialni.

W tej chwili zegar na kominku wybił drugą godzinę.

Pokoik Fanchetty znajdował się na tem samym piętrze, ale był zupełnie oddzielony od reszty mieszkania i znajdował się w pobliżu schodów tylnych. Była to mała niedogodność, gdyż w domu nie mieszkał nikt prócz śpiewaczki, Fanchetty i odźwiernego. Do pokoiku Fanchetty przeprowadzony był dzwonek, którego rączka znajdowała się tuż przy łóżku Gracini, tak, iż każdej chwili mogła ona przywołać do siebie służącą.

Zamknawszy drzwi według polecenia pani, biedna Fanchetta przypomniała sobie swoje własne położenie i nieobecnego, który aczkolwiek nie był generałem, ale posiadał także dwa klucze — jeden od furtki ogrodowej, drugi od drzwi jej pokoiku, co pozwalało

mu tak samo, jak znakomitemu wodzowi, wchodzić do domu o każdej porze.

Co się stało z tym ukochanym, który wyleciał z klatki, zamknięty w niej w pośpiechu? Jakim sposobem wyszedł? Czy spotkał się może z tym drugim nieznanym, którego obecność wykrył Patapon, człowiekiem w butach z ostrogami, pistoletami, skrapiającym się wodą węgierską i tak dalej?

— Musi się domyślać, jak jestem wzburzona, i powinien przyjść uspokoić mnie! — myślała Fanchetta.

Aby ten, kto powinien był przyjść uspokoić ją, mógł to uczynić bez trudności, Fanchetta zamiast zamknąć się w swoim pokoiku, zostawiła klucz we drzwiach na zewnątrz. Chciała czekać na niego i nie zasypiać, ale było już późno i sen ją zmorzył.

Jak długo spała, nie wiedziała sama, ale nagle zbudziło ją gwałtowne szarpanie dzwonka z sypialni pani.

Fanchetta zerwała się w jednej chwili, narzuciła na siebie spódniczkę i kaftanik, poczem chciała pobiedz, ale ku swemu zdumieniu nie mogła otworzyć drzwi. Przy pomocy klucza, który pozostał na zewnątrz, ktoś ją zamknął, a pani dzwoniła coraz to silniej.

Co spowodowało śpiewaczkę, która miała zamiar tak doskonale przespać noc, do takiego gwałtownego budzenia służącej?

Przebudziła się nagle, jakby przeczuwając jakieś nieszczęście.

Nie ocknęła się jeszcze zupełnie, rozejrzała po na poły świetlnym pokoju, a uspokojona panującym dokoła milczeniem, przewróciła się na drugi bok i chciała zasnąć na nowo. Nagle skoczyła, tracąc oddech ze wzruszenia i zaczęła się przysłuchiwać: zdawało się jej, iż po budoarze ktoś chodzi. Szelest kroków zaledwie można było dosłyszeć, ale najstraszniej-

sza rzecz była ta, iż według wszelkiego prawdopodobieństwa chodziło tam kilku ludzi.

— Kto tam?! — zawołała śpiewaczka. — Czy to ty, Fanchetto?

Nie było odpowiedzi, ale widocznie głos jej spłoszył tych, którzy po cichu chodzili po budoarze, gdyż dały się słyszeć dwa czy trzy mniej ostrożnych kroków i ktoś nieuważnie potrącił o krzesło...

Wątpliwości już nie było... ktoś chodził po budoarze...

Ta ostatnia okoliczność uspokoiła śpiewaczkę, gdyż zaraz znalazła wytłómaczenie tej zagadki.

— To ty, Bonaparte? — zapytała, sądząc, iż generał dzięki posiadaniu kluczy przyszedł zapytać się jej, co porabiała, i zażądać wyjaśnień, których dać nie chciała ani prefektowi, ani jego agentowi. Widocznie Bonaparte nie mógł po ciemku znaleźć drogi.

Znowu nie było odpowiedzi, a raczej śpiewaczka nie czekała na nią, gdyż mówiła dalej:

— No, wchodźże nareszcie, Bonaparte, i nie przestraszaj mnie.

Po tych słowach w budoarze wszystko ucichło, a Gracini, uspokojona już zupełnie, roześmiała się na myśl, iż generał przerazi się na dobre, gdy usłyszy dzwonek, przywołujący Fanchette. Spokój był przedwczesny, gdyż po chwili milczenia dał się znów słyszeć szelest kroków, aczkolwiek starano go się przygłuszyć.

Tym razem kroki, zamiast przybliżyć się, zaczęły się oddalać w kierunku przedpokoju. Strach ogarnął znowu śpiewaczkę, ale nie trwał długo; uspokoiła się na nowo i pomyślała sobie:

— To napewno Bonaparte. Dostał napadu zazdrości z powodu dzisiejszego wypadku i przyszedł tutaj, aby się cichaczem dowiedzieć, czy niema kogo u mnie... Przekonany, iż jestem sama, zabrał się do odwrotu.

Gracini wstała z łóżka i zapaliła świecę, chcąc pojmać generała na gorącym uczynku szpiegowania

i śmiejąc się już zawczasu z miny, którą zrobi, gdy ją zobaczy.

Ubrała się czempredziej i wyszła z sypialni, a obeszędłszy ze świecą całe mieszkanie, nie znalazła nikogo.

— Widocznie jakaś zmora mnie dusiła — pomyślała sobie — po szampanie, który wypiałam przy kolacyi.

Wytłómaczywszy sobie w ten sposób swój przestrach, Gracini powróciła do łóżka, a w śnie przyszło jej na myśl, dlaczego Fanchetta nie pospieszyła na odgłos dzwonka.

.....

Gdy Gracini obudziła się nazajutrz, było już dość późno; w przyległym pokoju usłyszała kroki swej służącej, która też zaraz wsunęła głowę do sypialni przez na poły otwarte drzwi.

— Czy pani dobrze spędziła noc? — zapytała, wchodząc.

Gracini spojrzała na nią i uśmiechnęła się.

— Kto jak kto, ale ty się chyba o to pytać nie potrzebujesz. Masz twarde sen...

Fanchetta wytrzeszczyła oczy.

— Czyż nie słyszałaś, jak dzisiaj w nocy dzwoniłam na ciebie?

— Pani na mnie dzwoniła? — zapytała Fanchetta, udając, iż o niczem nie wie.

— Dzwoniłam tak silnie, że i umarły powstałby z trumny.

Fanchetta wstrząsnęła głową.

— To nie może być — rzekła — śpię tak lekko, że skoro tylko mucha przeleci, natychmiast się budzę.

Uśmiechnęła się naiwnie i dodała:

— Może dzwonek się zepsuł... Niech pani spróbuje te.az zadzwonić... drzwi do mego pokoiku i na schody otwarte, można więc będzie doskonale usłyszeć tutaj odgłos dzwonka.

— Popatrz, dzwoniłam tak... — i śpiewaczka zaczęła z całej siły szarpać za dzwonek.

Zamiast odgłosu dzwonka dał się słyszeć tylko trzask szarpanego drutu, co zdawało się wskazywać na to, iż Fanchetta miała słuszność.

— Widzi pani, miałam słuszność, że się zdumiałam. Ale dlaczego pani dzwoniła?

Gracini nie chciała uchodzić za śmieszłą w oczach służącej, przyznając się, iż przestraszyła się we śnie, więc odparła:

— W samej rzeczy jestem bardzo zadowolona z tego, iż dzwonek się zepsuł, gdyż nie warto było budzić cię. W nocy zrobiło mi się jakoś słabo, a zaniepokoiłam się niepotrzebnie, gdyż po kilku łykach wody przyszłam zupełnie do siebie.

Artystka wstała z łóżka i dodała:

— Ubieraj mnie czempredzej, obawiam się, iż się spóźnię. Dzisiaj ostatnia próba z „Horacyuszów“.

— Doskonale mi się udało — pomyślała Fanchetta, idąc po suknie.

.

Jakim sposobem mogło się stać, iż zamiast przyznać się do wszystkiego, Fanchetta wymyśliła historię o zepsutym dzwonku?

Przyczyną tego była jej rozmowa z Topinardem. Zapukał do niej ktoś z samego rana.

— Czy już wstałaś Fanchetto? To ja, Topinard, przyszedłem do ciebie po radę.

— Wejdźcie — odparła Fanchetta, mając nadzieję, iż odzwierny obróci klucz w zamku i nie zwróci uwagi na taki dziwny sposób zamykania swych własnych drzwi.

Stary wszedł do pokoiku, mówiąc:

— Tak przypuszczałem...

— Co przypuszczaliście, Topinard?

— Myślałem o jednej rzeczy, której nie zauważyłaś, gdyż spałaś snem sprawiedliwego. Przypuszczałem,

że was zamknięto dzisiaj w nocy i o mało nie okradziono — rzekł odzwierny, kiwając znacząco głową.

Fanchetta uznała za stosowne udać przerażenie.

— Co się takiego stało? — zapytała.

— Co się stało?! Oto dzisiaj w nocy około wpół do trzeciej zdawało mi się, że ktoś chodzi po schodach... Zerwałem się natychmiast z łóżka, otworzyłem okienko i wyobraziłem sobie, co ujrzałem: przy świetle księżycy, które właśnie padało na schody ujrzałem młodego człowieka... bardzo przystojnego, a przynajmniej takim mi się wydawał... Wchodził na górę. Jak i którędy się dostał, nie umiem powiedzieć, ale udałem się natychmiast za nim. Muszę przypuszczać, iż usłyszał moje kroki, gdyż odwrócił się szybko. W tej chwili trzymał już w ręku klucz od drzwi wchodowych, starając się je otworzyć, ale widząc, iż się zbliżam i odcinam mu odwrót, pobiegł dalej po schodach aż na sam strych.

— To mój malec przychodził uspokoić mnie — pomyślała Fanchetta — a ten stary dureń spłoszył go! A wy ścigaliście go aż na strych? — dodała.

— Tak, ale w żaden sposób nie mogłem go schwytać... Prawdopodobnie przez okno wydostał się na sąsiednie podwórze... to musiał być złodziej... przecież nie będę podejrywał tak cnotliwej dziewczyny, jak wy, do której po nocy skradały się kochanek!

— Dziękuję wam za dobre o mnie mniemanie — rzekła Fanchetta, ściskając z wdzięcznością rękę starego.

Topinard, wydobywszy swoją rękę z uścisku Fanchetty, poskrobał się w głowę i poprawił okulary, co oznaczało u niego silne wzruszenie, a potem rzekł:

— A teraz pozwól, iż spytam ci się o radę, po którą przyszedłem.

— Ach tak, no, cóż to ma być za rada?

— Jak myślicie, czy mam powiedzieć waszej pani o tym gałganiu, który chciał się dobrać do waszego mieszkania?

Na postawione w ten sposób pytanie odpowiedź była z góry do przewidzenia.

— Nie, strzeż się pan tego! Zanadtobyście ją przestraszyli wiadomością, iż po nocy kręcą się tutaj złodzieje — zawołała Fanchetta.

— I ja tak samo myślałem. Radzicie mi więc, abym milczał?

— Bądźcie tak niemy, jak ryba!

— A wy, Fanchetto, nie wydadcie mnie?

Fanchetta uroczyście podniosła rękę do góry.

— Przysięgam, Topinard, iż nie powiem o tem ani słowa!

— O tym... złodzieju? O tym, który się chciał dostać do waszego pokoiku? — naiwnie mówił dalej stary, nie przeczuwając, w jaką czułą uderzył strunę.

Po naradzie stary udał się z powrotem do siebie na dół, a Fanchetta, pozostawszy sama, szepnęła do siebie:

— Po co ten stary przeszkodził mojemu malcowi w uspokojeniu mnie?

Zaczęła się zastanawiać nad swoim własnym położeniem. Niemożliwem było powiedzieć pani, iż nie przyszła na jej dzwonek dlatego, że jej malec zamknął ją na klucz z zewnątrz.

Zastanowiwszy się nad tem, Fanchetta wymyśliła historję o zepsutym dzwonku, którego drut sama przecięła, a potem udała się do pokoju swej pani.

Fanchetta, nie rzekłszy ani słowa o swojej przygodzie, i Gracini, nie wspomniawszy o nocnej wizycie, rozstały się o 11. rano; służąca zaczęła wyglądać przez okno, czy czasem jej ukochany nie będzie przechodził przez bulwar, a Gracini udała się na próbę z „Horacyuszów“, opery już dzisiaj zupełnie zapomnianej, która zresztą i w r. 1800 nie cieszyła się zbyt niemi powodzeniem.

.

Gdy śpiewaczka, spóźniwszy się cokolwiek, wychodziła pospiesznie z domu, Topinard śledził ją wzrokiem ze swojej łoży i szepnął z uśmiechem:

— Zdaje się, iż nasz słowik miał dziś w nocy porządnego stracha!

A potem, wruszając ramionami, dodał:

— Zanadto się śpieszą ci wszyscy myśliwi... gdybym nie był zajęty podsłuchiowaniem Fouchégo, zatrzymałbym ich zaraz i powiedział im, że zwierza, za którym się uganiają, niema w legowisku. No, w każdym razie nie wielkie to nieszczęście... Zmusiłem Fanchettę do milczenia, ona już niczego nie wypaple... Trzeba będzie wymyśleć coś nowego... tak, coś nowego... ale wątpię, czy się to tak uda, jak porwanie śpiewaczki, przez które ptaszek wpadł do klatki... A na dopełnienie nieszczęścia Fouché, który nienawidzi Du-bois, zechce wsunąć nos w nasze sprawy...

Według wszelkiego prawdopodobieństwa nazwiska tych wybitnych policyantów przypomniały staremu także i Patapona, gdyż schmurzył czoło i gniewnie burknął przez zęby:

— Ah, ten łajdak, którego zwą królem szpiegów, niech dobrze pilnuje swojej skóry!

Topinard, mrużąc tak, zdjął okulary i zaczął je wycierać. W oczach jego błysnęła błyskawica groźby, która jakoś nie odpowiadała postaci 60-letniego starca, ani odźwiernego, którego Fanchetta nazwała starym durniem.

Nałożył okulary na oczy, a wtem na progu ukazał się młody człowiek, wyglądający z pozoru na pomocnika handlowego.

— No, hrabio — zapytał przybyły — co się stało po nieudanej wyprawie tej nocy?

Topinard wznosił palec do góry, wskazując nim na sufit.

— Pst! baronie! — rzekł — subretka jest już napewno na górze, idź pan sobie, pomówimy o tem później...

Baron, nie mówiąc ani słowa, pobiegł po schodach na górę, a w drodze spotkał Fanchettę, która go widziała, jak wchodził do domu. Wyszła na jego spotkanie.

— Czy Topinard widział ciebie, mój najdroższy? — zapytała porywczo.

— Nie, śpi — odpowiedział subjekt, obejmując Fanchettę w pól, a silne echo powtórzyło odgłos jeszcze silniejszego całusa.

V.

Gdy się to działo w mieszkaniu śpiewaczki, ona sama przybyła do teatru.

Na jej widok rozległy się wśród artystów okrzyki podziwu, poczem posypały się pytania co do jej porwania.

Opowiedziała zaraz całą historję wobec kilkunastu ludzi, którzy natychmiast na próbie postarali się o roztrąbienie jej po całym mieście.

W ten sposób cały Paryż dowiedział się w krótkim czasie o powodach odwołanego przedstawienia. Była to fantazyja melomana — mówili wszyscy — który na kilka godzin skonfiskował głos pięknej śpiewaczki.

Gracini nie powiedziała jednak całej prawdy, i postąpiła słusznie... poco ludzie mają znać wszystko?

Zaledwie wyszła tego wieczoru z domu, poczuła Gracini, iż na twarz zarzucono jej jakąś miękką tkaninę, przez którą nic nie mogła widzieć. Dzięki temu, iż przeraziła się bardzo tym niespodzianym napadem, napastnicy bez wszelkiego oporu z jej strony wnieśli ją do powozu, który stał opodal i natychmiast ruszył, skoro tylko śpiewaczka w nim się znalazła. Zdjęto jej wtedy materyę z głowy, ale wiele to nie pomogło, gdyż światło nie wpadało wcale do powozu. Drzwiczki nie były oszklone.

Wśród tej ciemności usłyszała głos, który przemówił do niej:

— Przysięgamy, iż kobieta z naszej strony niczego obawiać się nie potrzebuje, a błagamy znakomitą artystkę, aby wybaczyła ten krok gorącym wielbicielom jej talentu.

Gracini uspokoiła się i czekała, co to z tego będzie dalej.

Po godzinie jazdy powóz zatrzymał się. Głowę śpiewaczki znowu owinięto bardzo starannie, a gdy ją znowu odwinęto, ujrzała Gracini, iż znajduje się w wspaniałej sali, jasno oświetlonej; znajdowało się tam około dwudziestu starych i młodych ludzi, a sposób ich zachowania się wskazywał na to, iż musiała to być rodowa arystokracja.

Jeden z mężczyzn, przystojny człowiek, lat około trzydziestu, wyszedł naprzeciw i rzekł z ukłonem:

— Moi przyjaciele i ja pragniemy usłyszeć panią, ale jako prawdziwi egoiści chcemy tylko sami zachwycać się cudnym pani głosem. Wydawało nam się, iż gdybyśmy się wmieszali w tłum pani wielbicieli, szczęście usłyszenia pani nie byłoby zupełnem.

W chwili, gdy młody mówca przemawiał w ten wyszukany sposób do śpiewaczki w imieniu wszystkich, Gracini przyglądała mu się z wielką uwagą, a gdyby był się w tej chwili znalazł Bonaparte, byłaby może rzekła do niego:

— Spotkałam!

Młodzieniec podobał się jej nadzwyczajnie, a zdawało się jej, iż jego głos powinien brzmieć nadzwyczaj melodyjnie, szepcząc słowa miłości.

Wrażenie, które wywarł na niej nieznajomy, było tak silne, że mimowoli na chwilę zakryła ręką oczy, aby się pozbyć czaru. Przyczyny tego nie domyślił się ten, który był powodem tego wrażenia.

— Panie, czekają teraz na mnie w teatrze — rzekła.

— I cóż to znaczy? Poczekają na panią... oto wszystko — odpowiedział pełnomocnik zebrania.

— Dwa tysiące widzów będzie się niecierpliwiło — mówiła dalej artystka.

— Tego nam właśnie potrzeba, pani. Chcemy panią usłyszeć i wiedzieć o tem, że tam w teatrze dwa tysiące ludzi pozbawionych jest szczęścia, którem my tutaj w liczbie dwudziestu rozkoszować się będziemy, a to, powtarzam pani, podwoi naszą rozkosz.

Gracini była w tej chwili niewolnicą, chociaż postanowiła sobie czekać spokojnie, co się stanie, to przecież zauważyła :

— Nikt nie wie, co się ze mną stało w drodze, a obwinia mnie, iż nie spełniam swoich obowiązków wobec teatru i wobec publiczności.

Po tych słowach wszyscy się uśmiechnęli, a młodzieniec zaraz wyjaśnił powód tego uśmiechu.

— Niech się pani uspokoi — rzekł — urządziliśmy wszystko w ten sposób, iż publiczność już wie, że pani niespodziewanie zniknęła w drodze do teatru. W tej chwili pani służąca biegnie do teatru po otrzymaniu zawiadomienia, iż pani ciężko zachorowała. Ten podstęp wywoła zamieszanie, ale dowiedzie zarazem, iż nieobecność pani jest przymusową.

Młodzieniec przemawiał tak przekonywująco, oczy jego spoglądały na śpiewaczkę tak łagodnie i tak błagalnie, że Gracini odpowiedziała z pewnem wzruszeniem :

— Jeżeli panowie żądacie, będę śpiewała.

I istotnie zaczęła śpiewać swoje najlepsze pieśni, a wytwórcy i oklaskom nie było końca.

W czasie śpiewu wzrok artystki mimowoli zatrzymał się na młodzieńcu, który z szczególnym zapaleniem śpiewał.

Po śpiewie podszedł do niej najstarszy ze zgromadzenia i podał jej ramię, aby ją zaprowadzić do jadalni, gdzie przygotowano już wspaniałą kolację.

— Prawdziwe gniazdo arystokratów — pomyślała Gracini.

Przy kolacyi rozmawiano wesoło, ale wśród gwaru, żartów i śmiechów Gracini nie usłyszała ani jednego nazwiska; pod pokrywką swobodnego zachowania się widoczną była nadzwyczajna ostrożność. Wydawało się, iż wszyscy obecni obawiali się popełnienia jakiegoś błędu, za któryby potem trzeba było odpowiadać.

— Ach, jak to wszystko przypomina szuanów — pomyślała śpiewaczka, — a Bonapartemu się zdaje, że się już z nimi załatwił.

Po upływie godziny ten, który sprowadził artystkę, nachylił się do swego sąsiada i rzekł:

— Czas już wypuścić ptaszka.

Młodzieniec pospieszył natychmiast do śpiewaczki.

— Nie chcemy nadużywać uprzejmości znakomitej artystki, która zaszczyciła nas swoją obecnością i poświęciła nam cały wieczór, to też, jeżeli pani sobie życzy, odwieziemy panią z powrotem.

W rzeczy samej wypraszano ją, ale młodzieniec tak bardzo się jej podobał, iż powstała i, otoczona swoimi nowymi wielbicielami, wyszła do przedpokoju.

— Wybacz mi pani — rzekł młodzieniec, biorąc do rąk tę samą materję, która jej już dwa razy służyła za osłonę.

Gracini pozwoliła zakryć sobie twarz. Poprowadzono ją znowu ostrożnie do powozu, do którego tym razem wsiadł z nią tylko jeden człowiek. Powóz ruszył.

Zaledwie ruszyli z miejsca, towarzysz jej zdjął z jej twarzy tkaninę. Troskliwość jego na tem się skończyła, choć głęboka ciemność, panująca w powozie, mogła go być ośmielić.

— Jaki on skromny — pomyślała sobie w duchu Gracini, tem więcej zdumiona, iż pamiętała doskonale te spojrzenia w sali, które świadczyły o czemś wręcz przeciwnem.

Minęło trzy kwadransy, a milczenia nie naruszyło ani jedno słowo.

— Bonaparte ma stanowczo szczęście! — powta-

rzała sobie śpiewaczka, która z gniewu nie odzywała się także wcale.

W dziesięć minut potem powóz się zatrzymał. Skromny towarzysz otworzył drzwiczki, wysiadł pierwszy i podał rękę artystyce.

Gdy wysiadła, młodzieniec przytrzymał jej rękę w swojej i dał jej rulon.

— Zupełnie jest to słusznem, gdy my, jako winowajcy, zapłacimy tę karę, na jaką pani zostanie skazana. Przyjm pani te sto lujdorów, a co się tyczy reszty, to zachowaj pani to jako wspomnienie o wieczorze, który przepędziliśmy wspaniale dzięki uprzejmości pani.

Nie czekając na podziękowanie, wsiadł do powozu i pojechał z powrotem.

Zresztą Gracini nie myślała nawet o podziękowaniu, gdyż była bardzo zdumiona tem, iż w towarzyszku poznała tego samego staruszka, który ją prowadził do kolacyi.

To, co nieznamy nazywał resztą, była to ta sama osłona, którą okrywano jej twarz, a która pozostała jej na ramionach. Był to szal kaszmirowy wart przynajmniej dwa tysiące dukatów.

Przeszedłszy około dwudziestu kroków, oddzielających ją od domu, Gracini spotkała nieszczęsnego Dubois, który z rozpaczą wychodził z jej mieszkania a zobycywszy ją, chciał za jakąkolwiek cenę wyrwać od niej wyjaśnienie, potrzebne mu dla Bonapartego.

Z całej tej historii dowiedzieli się Paryżanie tylko tyle, że śpiewaczkę pochwycili mistyfikatory, którzy uważali za rzecz bardzo wesołą, iż będzie ona śpiewała tylko dla nich samych wtedy, gdy publiczność z niecierpliwością oczekiwała jej pojawienia się w teatrze.

W roku 1800 mistyfikacje były bardzo w modzie. Po długich wojnach zewnętrznych i rozruchach we-

wewnętrznych, morderstwach i głodzie, kraj przez trzy miesiące cieszył się pokojem, zawartym po zwycięstwie pod Marengo i po poskromieniu niebezpiecznych dla republiki szuanów. Społeczeństwo zaczęło odczuwać potrzebę rozrywek, dla których śmiano się nieraz do rozpuku z najgłupszych fars.

Porwanie artystki zabawiło wielu i nikt w nie nie wątpił. Jeden tylko człowiek nie uwierzył w to porwanie, a trzeba dodać, iż obowiązek nie pozwolił mu wierzyć w nie... a był nim minister policyi Fouché, który domyślał się w tej historii jakiegoś podkładu, o którym nikt nie myślał.

— Tu się coś po za tem kryje, czego i Dubois nie podejrzewa — mówił do siebie, skoro tylko Gracini się znalazła.

Co się tyczy prefekta Dubois, to był on poprostu zachwycony, iż sprawa tak się szczęśliwie zakończyła.

— Uf! — mówił. — Chwała Bogu, że odczepiłem się od tej brzydkiej sprawy!

Paryż przez trzy dni zajmował się przygodą swej ulubionej śpiewaczki, być może, iż zajmowałby się nią jeszcze dłużej, gdyby nagle opinia publiczna nie była się zajęła wypadkiem, który wydawał się najzupełniejszą zagadką.

I tym razem chodziło o porwanie, ale główną osobą nie była kobieta.

VI.

To drugie porwanie, które w najwyższym stopniu pobudziło ciekawość Paryżan, miało zupełnie inne znaczenie, niż porwanie Gracini. Osobą, która zniknęła, był senator Klemens de Riz, który przed swym odjazdem żegnał się w teatrze w loży z ministrem policyi Fouché.

Klemens de Riz, jeden z najwierniejszych partyzantów pierwszego konsula, członek świeżo ustanowionego przez Bonapartego senatu, udał się na urlop

do swego zamku de Riz, gdzie wszyscy bardzo go lubili, gdzie się urodził i miał prawo spodziewać się, iż nie zostanie tam ani jednego wroga. Mimo to w dwa dni po jego przyjeździe do zamku zniknął bez śladu, a ani służba, ani rodzina nie mogli wytłumaczyć sobie tego nagłego zniknięcia.

Wieczorem przed zniknięciem Klemens de Riz przyjmował u siebie kilku przyjaciół, a z rozmowy jego nie można było wnosić, aby miał zamiar udania się w jakąś podróż. Wszystkie jego plany i słowa wskazywały na to, iż ma zamiar pozostać dość długo w swoim zamku. Nie było ani listu ani posłańca, co pozwalałoby przypuszczać, iż niespodzianie musiał zmienić swe zamiary i wyjechać natychmiast wskutek jakiegoś tajnego, a nie cierpiącego zwłoki rozkazu.

Około północy udał się do swego gabinetu, żegnając się ze znajomymi słowami „do jutra!”

Gdy na drugi dzień nie wychodził ze swego pokoju, wtargnięto tam i zastano pokój pusty. Pościel była zmięta, widocznie więc spał, a przyczyna, dla której musiał dobrowolnie opuścić dom, musiała nastąpić w nocy.

W pokoju nic nie było naruszone lub przestawione, zegarek senatora leżał na kominku, gdzie go położył przed udaniem się na spoczynek. W biurku otwartem znajdowało się dwa tysiące dukatów, które w dzień swego przyjazdu otrzymał od jednego z dzierżawców. Okno sypialni, znajdujące się na drugim piętrze, było zamknięte, a na fasadzie domu nie widać było żadnych śladów podstawionej drabiny lub innego sprzętu, któryby umożliwił wtargnięcie do sypialni.

Wszystko znajdowało się w niej w takim porządku, iż z początku myśleli wszyscy, że właściciel zamku poszedł rano na spacer; czekali na niego, a gdy czas mijał, a jego jeszcze nie było, posłano w różne miejsca, gdzie zwykle przebywał. Gdy go nie znaleziono nigdzie, niepokój wzrósł i rozpoczęto staranniejsze po-

szukiwania, które jednak nie dały żadnego wyniku. — Gdyby sobie ktoś zadał trud przeczytania gazet z owego czasu, w których opisywano szeroko tajemnicze zniknięcie Klemensa de Riz, mógłby nabrać pojęcia o tem wrażeniu, jakie ten wypadek wywołał w Paryżu. Dopatrywano się w tem sprawy politycznej i mówiono, że to pierwsza próba do podburzenia jakiegoś stronnictwa, zaskoczonego nagle przez wypadki ośmnastego Brumaira.

— Bonaparte ma stanowczo szczęście! — mówiła Gracini.

Ta uwaga, uczyniona z powodu czysto prywatnej sprawy, mogła być wogóle zastosowana do generała. Przez 10 miesięcy, w których Bonaparte dzierżył władzę, wszystko mu się udawało. Szczęście z całą troskliwością usuwało najmniejsze kamyczki z tej drogi, którą on szedł do Luksemburga i z Luksemburga do Tuilleryów, gdzie teraz zamieszkał właśnie.

Porwanie Klemensa de Riz było pierwszym ukłuciem szpilki dla tego szczęścia. Od pierwszej chwili generał domyślił się, że to nie była zemsta osobista i że muszą się w tej sprawie ukrywać jakieś powody polityczne, słowem odgadł początek wrogiej działalności ze strony tych, których już uważał za pokonanych.

Zachowywali się przez pewien czas cicho, a teraz bez wątpienia chcieli od najlepszego przyjaciela konsula wyrwać jakąś tajemnicę, aby skorzystać z niej przeciw temu, którego zostawiali w spokoju przez 10 prawie miesięcy, aczkolwiek wśród publiczności krążyło mnóstwo paszkwilów, które nieraz doprowadzały Bonapartego do wściekłości. Zresztą ci pamfleciści napadali na niego mniej jako na konsula, niż jako na męża.

Biedna Józefina ze swemi poprzedniami przygodami, prawdziwemi lub wymyślonymi, gdy zajmowała wybitne miejsce wśród piękności dyrektoryatu, w szczególności zachęcała tych pismaków, którzy ustawicznie się wyśmiewali z pierwszego konsula republiki, czyniąc

z niego jakiegoś Jerzego Dandina. Zresztą w samej rzeczy rodzina Bonapartego dawała wiele powodów do śmiechu tak wrogom, jak przyjaciółom.

Nie ma nic więcej zagadkowego, jak miłość Bonapartego. Zmyślane, czy prawdziwe, występki Józefiny, o których codziennie opowiadano w Paryżu, zniweczyły zupełnie miłość, jeżeli ona kiedy w ogóle istniała, męża do żony, która ustawicznie dręczyła go albo płacziwą zazdrością, albo niewłaściwą czułością, a która wszystkim opowiadała o swoich rzadkich i niezwykłych zwycięstwach.

• Tak na przykład nie było nic komiczniejszego, jak Józefina opowiadała każdemu o tem, co się zwykle nazywa tajemnicą alkowy. Już w podeszłych latach będąc i widząc się otoczona pięknymi kobietami, których piękność zagrażała jej małżeńskiej powadze, biedna kobieta czyniła wszelkie wysiłki, aby tylko zmusić wszystkich do uwierzenia w potęgę jej zalet nad sercem męża.

Samo się przez się rozumie, iż wszystko, o czem się dowiadawali liczni goście Tuileryów, roznosiło się szybko po Paryżu, poczem dostawało się pod pióra pamflecistów.

Wszystkie te żarty nie mogły naturalnie wzbudzić miłości Bonapartego do tej, którą oskarżał o to, iż ona była pierwszą przyczyną drwin, sypiących się na niego ze wszystkich stron.

Prócz tych małżeńskich nieprzyjemności, nic nie mąciło szczęścia Bonapartego w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy. Dlatego też tajemnicze zniknięcie senatora Klemensa de Riz uważał za pierwsze przebudzenie się tej partji, którą uważał za zupełnie pokonaną. Była to nie wielka chmurka na jasnym niebie, ale jakieś przeczucie mówiło Bonapartemu, iż z tej małej chmurki powstanie wielka burza.

.

Było około godziny 3-ciej popołudniu, gdy wiadomość o zniknięciu senatora doszła do uszu pierwszego konsula. Gniewny, przywołał do siebie dyżurnego adjutanta, którym tym razem był Duroc, po objęciu przed pół godziną służby.

Rozkaz był wydany bardzo stanowczym tonem, mimo tego Duroc nie ruszył się z miejsca.

— Słyszałeś? — zapytał Bonaparte.

— Słyszałem, generale, ale uważam za rzecz bezcelową posyłanie po Fouchégo do ministerstwa, gdyż jestem z góry przekonany, że go tam nie ma.

— Niech go odszukają!

Duroc, jedyny człowiek, któremu Bonaparte pozwalał na pewnego rodzaju poufałość, wstrząsnął głową z uśmiechem.

— Niech go odszukają, — powtórzył — łatwiej to rozkazać, niż ten rozkaz wykonać. Równa się to szukaniu igły w stogu siana.

— Czyż Fouchégo nie ma w Paryżu?

— Przeciwnie, jest w Paryżu, nawet niedaleko ztąd. Spotkałem go na bulwarze, o sto kroków od domu Gracini. Widziałem go w chwili, gdy w tłumie, zalegającym cały bulwar, czekał na pogrzeb Turena.

— Tak, to prawda, zapomniałem o tym pogrzebie.

— W ten sposób — mówił Duroc — na odszukanie ministra w olbrzymim tłumie potrzeba będzie przynajmniej czterech godzin czasu, a generał rozkazuje, aby się zjawił natychmiast.

— Jesteś pewny, iż widziałeś Fouchégo?

— Najzupełniej, gdyż rozmawiałem z nim. Powiedział mi, iż żałuje bardzo, iż z powodu ścisunku dostać się nie może do domu śpiewaczki, która stała w oknie, czekając na pogrzeb. Chciał jej powinszować, iż przygoda, która ją spotkała przed trzema dniami, zakończyła się tak szczęśliwie.

.

Turenne, wicehrabia Henryk de Latour d'Auvergne, zginął w roku 1675 od kuli działowej i został pochowany w Saint-Denis, gdzie jego zwłoki znaleziono w roku 1793. Ciało, dość dobrze jeszcze zachowane ukrył stary grabarz, którego syn był akrobatą. Jako przykładowy ojciec, grabarz przedewszystkiem pomyślał o tem, aby ze zwłok wielkiego wodza wydobyć pewne korzyści dla syna, któryby te zwłoki pokazywał na jarmarkach.

Ten pomysłowy ojczulek chował trupa przez trzy dni u siebie w domu, następnie przestraszył się i poszedł do gminy, mówiąc, iż znalazł zwłoki w dole. Komuna, której ani na myśl nie przyszło pochowanie zwłok, kazała mu się udać do muzeum w ogrodzie Botanicznym, gdzie też przez dwa lata przechowywano zwłoki wśród wypchanych zwierząt.

W początkach dyrektoryatu, gdy otwarto muzeum Augustowskie, wydobyto zwłoki Turenna z ogrodu Botanicznego, a raczej zamieniono je za sześć szkieletów zwierząt i za skórę węża Boa.

Po pięciu latach wystawy w muzeum, ciało znakomitego wodza przeniesiono do kościoła Inwalidów na rozkaz pierwszego konsula, i oto w tłumie, który czekał na pochód, spotkał Duroc Fouchégo, którego Bonaparte chciał widzieć zaraz.

.....
— Zdaje mi się, że najlepiej będzie wysłać do ministerstwa policyi rozkaz, aby Fouché zjawił się tutaj natychmiast po powrocie — zaproponował Duroc.

Być może, iż adjutant niezupełnie przekonał Bonapartego co do niemożliwości znalezienia Fouchégo w tłumie, ale dwa razy wspomniał podczas rozmowy nazwisko śpiewaczki, a to ochłodziło cokolwiek pragnienie generała, aby natychmiast widzieć Fouchégo.

— Masz słuszność — rzekł do Duroca — poszlę rozkaz do ministerstwa, aby mi zaraz przysłano Fouchégo, skoro tylko powróci.

I wbrew swemu przyzwyczajeniu, iż kazał zwykle innym pisać swoje rozkazy, które tylko podpisywał, sam nagryzmołił kilka wierszy, które starannie zapieczętował.

Fouché jakoś nie wracał, a do obiadu jeszcze go nie było w Tuilleryach.

Przy obiedzie generał był wesół i rozmowny, a po wysłaniu rozkazu do ministra, humor jego zmienił się na lepsze.

VII.

Aczkolwiek wielkimi są rozkosze, które prawdziwa sztuka daje swoim wielbicielom, należy przypuszczać, iż skoro wielbicieleką jej jest młoda i piękna kobieta, to jedna ta rozkosz jej nie wystarcza. Oto dlaczego piękna Gracini zaczęła tęsknić za czemś po swojej przygodzie.

Rano, czwartego dnia po jej porwaniu, Fanchetta wszedłszy do sypialni, zastała swoją panią opartą na poduszce na łokciach i głęboko zamyśloną.

— Czy pani może cierpiąca? — zapytała.

Śpiewaczka przyglądała się przez kilka chwil słuchającej i w odpowiedzi zadała jej pytanie:

— Czy ty masz kochanka?

Fanchetta drgnęła, zarumieniła się, bez wątpienia z powodu obrażonej cnoty, i prawie z niezadowolaniem zawołała:

— Jakże pani może coś podobnego o mnie myśleć!

Słowa te były wyrzeczone z taką szczerością, iż Gracini z współczuciem odparła:

— Szkoda!

Opuściła znowu głowę na poduszkę, jak kobieta niezadowolona, iż się omyliła.

Takby chętnie była porozmawiała o pewnym przystojnym młodzieńcu, którego przez cztery dni nie mogła sobie wybić z głowy, którego błagalnie oczy

widziała ciągle przed sobą i którego dźwięczny głos brzmiał dotąd w jej uszach.

Artystka była stanowczo zakochana, a jeżeli do laurów, otaczających głowę Bonapartego, nie przyłączyła się inna ozdoba, to tylko dlatego, iż Gracini nie mogła znaleźć tego, któremu oddała swoje serce.

Fanchetta była zanadto sprytną dziewczyną, aby nie zrozumieć, iż jej szlachetne oburzenie powstrzymało jakieś wyznanie jej pani. Pragnąc podjąć rozmowę, chodziła po pokoju, niby coś poprawiając, a w rzeczy samej dlatego, aby panią wyrwać z jej zamyślenia. To chodzenie wyrwało też istotnie śpiewaczkę z zadumy, ale przerwanej rozmowy nie podjęła na nowo.

— Jaka dziś pogoda? — zapytała.

— Prześliczna. Na bulwarach będą z pewnością tłumy, oczekujące na uroczystość.

— Jaką uroczystość?

— Pani zapomniała, że dzisiaj przenoszą zwłok Turena do kościoła Inwalidów.

Odpowiedź ta zmieniła kierunek myśli artystki, to też szybko wyskoczyła z łóżka.

— Dobrze zrobiłaś, iż mi o tem przypomniałaś. Wczoraj wieczorem zaprosiłam kilku przyjaciół, aby się przypatrzyli z moich okien tej ceremonii. Ubieraj mnie zaraz, może kto przyjdzie na śniadanie.

Na śniadanie jednak nikt nie przyszedł, ale w godzinę potem mieszkanie artystki zapełniło się wesołą gromadą kolegów i koleżanek, oraz stałych bywalców teatru.

Okna, wychodzące na bulwar, mogły pomieścić co najwyżej dwadzieścia osób, a Gracini zaprosiła co najmniej czterdzieści.

Przy fortepianie Erarda, który wówczas zaczynał być sławnym, siedział wysoki, przystojny młodzieniec, który akompaniował jakiemuś tłuściochowi o bardzo pospolitym wyglądzie. Grającym był Stiebelt, najlepszy pianista swego czasu, prawdziwy artysta, który na nie-

szczęście, wskutek swego niemoralnego prowadzenia się, musiał niezadługo potem opuścić ojczyznę i udać się do Rosyi, gdzie podobno został za to samo skazany na zsyłkę na Sybir i tam też umarł.

Śpiewakiem był Niccolo. Nie dosięgnął tej sławy, której się spodziewano po jego talencie, a zawdzięczał to jedynie swemu lenistwu i nadmiernemu obżarstwu, co go zabiło już w młodych latach.

Był dalej Paciello, Cherubini, Karol Guise, dziennikarz, który w roku 1793 w dzień stracenia Ludwika XVI. uważał za stosowne wydrukować w swej gazecie słynny frazes, wypowiedziany przez spowiednika:

— Synu Ludwika świętego, idź do nieba!

Jak większa część frazesów historycznych, tak i ten był zmyślony.

Z kobiet, których u Gracini było może z dziesięć, tylko dwie zajmowały wybitne stanowisko w skandalicznej kronice z roku 1800.

Jedną z nich była słynna Klotylda, ta piękna tancerka, o której już wspominaliśmy. Siedziała w kąciku i, ziewając, słuchała komplementów nieszczęsnego Boildieu, który szalał za nią. W przyszłości ożenił się z tą kobietą, którą po dwumiesięcznem pożyciu tak znienawidził, iż uciekł do Rosyi.

Drugą była także baletnica Chamerois, która, jak powszechnie sądzono, utrzymywała ściśle stosunki z Eugeniuszem Beauharnais.

Śmiech, muzyka i śpiewy umilkły natychmiast, skoro tylko rozpoczął się żałobny pochód.

Wszyscy rzucili się do okien, a gospodyni najpierwsza.

Nagle śpiewaczka stłumiła lekki okrzyk i odskoczyła od okna, przykładając rękę do serca, aby uspokoić jego bicie.

Na placu wśród tłumów wzrok jej dostrzegł młodego człowieka, o którym przez cztery dni myślała.

Zaledwie ochłonęła ze wzruszenia, którego na szczęście dla niej nikt nie zauważył, gdy podeszła do niej Fanchetta i szepnęła jej do ucha:

— Generał Berthier pragnie pomówić z panią.

Wiedząc zaś, co znaczy przybycie generała, syknęła Fanchetta przez zęby:

— Dzisiaj pani ma dyżur...

W miłośkach pierwszego konsula generał Berthier odgrywał rolę Merkurego, który zawiadamiał o przybyciu Jowisza. Tym razem zjawił się nie w porę.

Pojawić się w chwili, w której niewolnica ledwie mogła się utrzymać na kraju przepaści, znaczyło to doprowadzić tę niewolnicę do takiej wściekłości, iż o wszystkim musiała zapomnieć.

Gracini istotnie tak zrobiła, a zwróciwszy się znowu ku oknu, zaczęła wzrokiem śledzić młodzieńca.

Mimo przepływających obok niego tłumów, stał on jeszcze ciągle na swoim miejscu i patrzył się na śpiewaczkę z uwielbieniem, a ta nawzajem odpowiadała mu wzrokiem, który niejednego mógłby wyprowadzić z równowagi.

— Jeżeli generał Berthier pragnie pomówić ze mną, to go wprowadź — rzekła po namyśle do Fanchetty.

Słowa te były równoznaczne z pożegnaniem się z całym towarzystwem, gdyż wszyscy byli na tyle obznajomieni ze stosunkami, iż zrozumieli, że należy im ustąpić miejsca jeżeli już nie generałowi, to przynajmniej temu, który zaraz po nim się zjawi. — Wskutek tego adjutant był obecny przy żegnaniu się gości.

Ze wszystkich oficerów ze świąty Bonapartego Berthier był najstarszym; niewielkiego wzrostu, lichy zbudowany, z wielką głową, na której spoczywała tęga wijąca się czupryna, miał dość nieprzyjemną fizyognomię, tem więcej, iż w twarzy miał nerwowe drganie zwłaszcza gdy coś opowiadał.

Uprzejmy ten adjutant pierwszego konsula podszedł do śpiewaczki i wyciągnął do niej rękę.

Zamiast tego jednak, aby ją uścisnąć, Włoszka chwyciła ją przy kiści i poczęła przyglądać się paznogciom.

— Oh! — rzekła ze śmiechem — pańska przyjaciółka musi być bardzo zagniewana, paznogcie pańskie wskazują bowiem na to, iż serce pańskie cierpi!

W owym czasie był Berthier do szaleństwa zachowany w niejkiej pani Visconti, niegdyś bardzo pięknej kobiecie, której wdzięki pokonały tego pięćdziesięcioletniego prawie wielbiciela. Zależnie od tego, czy jego sprawa sercowa stała lepiej lub gorzej, generał Berthier mniej lub więcej hołdował swemu przyzwyczajeniu obgryzania paznogci.

W dniu tym miał Berthier obgryzione paznogcie prawie aż do krwi, gdyż zapaly jego miłosne musiały być na pewien czas przerwane: rozkaz konsula wyrwał go z objęć pięknej kobiety i wysyłał do Hiszpanii.

Kilka grymasów miało okazać niezadowolenie jego z powodu wspomnienia o kapryсах pani jego serca, a następnie przemówił tonem, który miał być uroczystym, a był tylko śmiesznym, gdyż generał szeplenił:

— Bądź pani łaskawa wysłuchać z całą powagą tego, co pani opowiem.

— I bez pana wiem, co mi pan masz do powiedzenia — szyderczo zawołała Gracini — przyszedłeś mi pan powiedzieć, abym przygotowała wannę i szczypczyki dla pańskiego bożka.

Mówić z lekceważeniem o jego naczelniku, którego czcił jak fanatyk, zaczynało to uderzać w najślabszą strunę generała; wyprostował się niezadowolony z tego braku uszanowania dla swego bohatera, którego tak szczerze kochał.

— Pomyśl pani tylko, o kim pani mówi — rzekł — narażasz się pani na niebezpieczeństwo, iż ten, kto

mnie do pani wysłał, pozbawi panią swej opieki i miłości.

Gracini uśmiechnęła się pogardliwie.

— Nie wielka szkoda! — odparła.

Coraz więcej podrażniony tym lekceważącym tonem, w jakim odzywała się o jego bożku, Berthier sądził, iż wywoła wielki efekt, gdy wymówi frazes:

— Zapominasz pani o jego sławie, o jego wawrzynach, o jego geniuszu...

Uroczyście te słowa zamiast podzielać na Włoszkę tak, jak sobie tego życzył Berthier, wywołały u niej tylko wybuch szalonego śmiechu.

— O mój kochany Berthier, i cóż ja mam począć z wawrzynami waszego Bonapartego, albo z jego sławą?... Nie sądzę, aby siedzieć u mnie w wannie było bardzo zaszczytnem! Co się zaś tyczy jego geniuszu, to nie oddziaływa on na mnie wcale, gdy muszę mu dzwonić w szczypce.

Berthier ze zdumieniem słuchał tych dziwnych słów śpiewaczki o swoim bohaterze.

— Wanna... szczypce... — powtórzył z okropnym grymasem, gdyż nie miał pojęcia o tych dwóch słabostkach z prywatnego życia wielkiego człowieka.

„Niema wielkiego człowieka wobec jego lokaja“ — powiada przysłowie, a można je zastosować tak dobrze do lokaja, jak do kochanki. Dlatego też i dla innych, znających jego słabostki i manie oraz jego słabe strony, bohater traci bardzo wiele.

Bonaparte w późniejszym wieku bardzo się roztył, a należy to przypisać nadmiernemu używaniu kąpieli. Ostrość krwi czyniła co prawda konieczną częstą kąpiel, ale używał jej za często; miał przytem to przyzwyczajenie, iż wypuszczał wodę z wanny, a następnie otwierał kurek z samą tylko gorącą wodą, tak iż temperatura wody stawała się w końcu tak wysoką, że nadawała jego ciału kolor gotowanego raka, jak mówiła Gracini.

Siedząc tak w wannie, Bonaparte wymagał, aby jego kochanka zadawała i jego drugą, bardzo szczególną słabość. Nie mając najmniejszego pojęcia o sztuce i nie znając się na muzyce, Bonaparte posiadał dziwną namiętność: wzruszał go dźwięk dzwonów. Wśród najpoważniejszej rozmowy, w napadzie gniewu urywał zawsze, aby się przysłuchiwać dalekim nieraz odgłosom dzwonów. Dźwięk ich wzruszał tego, który z całym spokojem przysłuchiwał się straszemu hukowi armat.

Gracini, której raz opowiedział o wrażeniu, jakie na niego wywiera odgłos dzwonów, znalazła środek, aby mu sprawić przyjemność. Prawda, iż środek ten był bardzo zabawny, polegał on na tem, iż stojąc za pierwszym konsulem, dzwoniła nad jego uszami parą szczypiec, zawieszonych na sznurku. Uderzała w nie kluczem lub nożem i wywoływała dźwięk, podobny do odgłosu dzwonów.

Generał przymrużał wtedy oczy i rozkoszował się tymi dźwiękami.

Dlatego też można zrozumieć, jak nie w porę odezwał się Berthier o wawrzynach, sławie i geniuszu tego, którego śpiewaczka widywała nieraz parzącego się w wannie i wsłuchującego się w tony szczypiec.

Trzeba przyznać, iż podobna rozrywka musiała bardzo zmniejszyć aureolę sławy bohatera w oczach jego kochanki.

Gracini ulitowała się wreszcie nad śmieszny rolę, do której odegrania zmusiła nieszczęsnego adjutanta, przywiązanego nadzwyczaj do swego konsula, i postanowiła położyć koniec poselstwu. Aby się czempredzej pozbyć posłańca, rzekła :

— Jednym słowem przyszedłeś mi pan powiedzieć, iż dziś wieczorem będzie u mnie Bonaparte?

— Tak, o jedenastej.

— Dobrze — odparła ze śmiechem śpiewaczka — wanna będzie na tę godzinę przygotowana.

— Nie, nie, wanny nie potrzeba — dodał pospiesznie Berthier.

— Ah, więc nie będzie się kąpał! — rzekła Włoszka takim tonem, jakby wołała widzieć wielkiego człowieka w wannie, niż u swoich nóg.

— Nie, gdyż naznaczył sobie tutaj schadzkę komuś, z kim się chce rozmówić.

— Komuż to?

— Jednemu z naszych przyjaciół.

— Jak się nazywa?

— Fouché, minister policyi.

— Zdawać by się mogło, iż Bonaparte wyobraża sobie, że moje mieszkanie jest miejscem zabawy dla tych policyantów. Niedawno był tutaj Dubois, dziś przychodzi Fouché.

Berthier wzruszył ramionami, jak człowiek, który nic nie może poradzić, a nie chcąc słuchać dalszych lekceważących wyrażań się o swoim bożku, przerwał artystce słowami:

— Punktualnie o godzinie jedenastej, nie zapomnij pani.

Rzekłszy to, uśmiechnął się, ale nerwowe drganie zmieniło jego uśmiech w grymas, skłonił kędzierzawą głowę i wyszedł z pospiechem, jak człowiek, który jest zadowolony z tego, iż pozbył się nareszcie niemiłego polecenia.

Zaledwie wyszedł, do pokoju weszła Fanchetta.

— Myślałam, że już nigdy nie odejdzie ten Berthier — rzekła — zaczęłam już tracić cierpliwość.

— Czy ci czego potrzeba?

— Niech mi pani powie, czy przyglądając się pogrzebowi, nie zgubiła pani przypadkiem chusteczki?

— Ja? — zapytała, Gracini, a wsunąwszy rękę do kieszeni poczuła w niej chustkę.

Służąca, nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej:

— W budoarze czeka jakiś młody człowiek, któryowiada, iż przyniósł pani chusteczkę.

— Tak, to prawda, zgubiłam chusteczkę — rzekła Włoszka.

— W takim razie poproszę go, aby mi ją oddał — rzekła Fanchetta, udając się ku drzwiom.

— Kazałaś mu tak długo czekać, że grzeczność nakazuje, abym mu podziękowała sama.

— A więc pani go przyjmie?

— Powiedziałam ci, iż grzeczność nakazuje.

— Ehe! — pomyślała Fanchetta, odchodząc — jak my się teraz staramy być grzeczną!

W chwilę potem na progu salonu pokazał się ten, o którym w ciągu ostatnich czterech dni myślała Gracini, może nawet za wiele.

VIII.

Wprowadziwszy gościa do salonu, Fanchetta zgniewana powróciła do siebie do kuchni. Istotnie miała się czego irytować, gdyż jej uchochany, który przyrzekał, iż się zjawi nazajutrz, do tej pory się nie pokazywał. Gdzie on się podział? Ani chybi, przyglądał się pogrzebowi Turena! Niewdzięcznik! Wolał się patrzeć na katafalk ozdobny, niż na nią!

Fanchetta nie była coprawda wymagająca, ale mimo tego pragnęła, aby on był tutaj, obok niej, nie u jej nóg, gdyż przeszkadzałoby to chodzeniu od jednego rądla do drugiego, ale siedziałby obok niej i obierał jarzyny, rozpałał ogień lub czyścił talerze, słowem okazywał jej drobne usługi, od których — Fanchetta musiała to przyznać z goryczą — jej uchochany wymawiał się zawsze ze szczególnym uporem.

Cóżby powiedziała biedaczka, gdyby wiedziała, że jej uchochany zamiast się przyglądać pogrzebowi Turena siedział w tej chwili w ciemnym kącie, w pokojiku Topinarda, i jakim byłoby jej zdumienie, gdyby była usłyszała, jak jej bożyszczko mówiło do odźwiernego:

— A więc, kochany hrabio, trzeba się nareszcie

zdecydować, gdyż mówiąc prawdę, ta Fanchetta już mi się sprzykrzyła.

— Ale przecież jest dosyć przystojna?

— Ale wiadomo panu, że i najlepsza potrawa się uprzykrzy, gdy się ją jada za często. A prócz tego główną przyczyną mej chęci zerwania z Fanchettą jest zupełnie coś innego...

— Cóż takiego?

— Policya zaczęła się mięszać w nasze sprawy w osobie niejakiego Patapona, człowieka bardzo sprytnego, który prawie nigdy nie chybia...

— Czyż naprawdę uważasz pan tego chłopca za takiego sprytnego? Mnie się to nie wydaje, Saint-Régent?

Baron de Saint-Régent — którego nazwiska Fanchetta nie znała — odparł najzupełniej spokojnie:

— Nie należy lekceważyć sobie nawet najmniejszego wroga, Limoilans, zwłaszcza, gdy za nim pojawić się może drugi wróg, taki jak Fouché. A może pan sądzi, panie hrabio, że i tego lekceważyć sobie można?

Hrabia de Limoilans wskazał na swoje siwe włosy i odparł z uśmiechem:

— Czyż pan sądzisz, że gdybym gardził takim przeciwnikiem, to nałożyłbym na swoją głowę tę perukę i te okulary włożył na oczy i mieszkałbym w tej jamie, odgrywając rolę dobrodusznego głupca? Nie, nie lekceważę sobie Fouchého, wiem, że to jest straszny wróg.

— No, to w takim razie muszę panu powiedzieć, że jeżeli jeszcze Fouché nie wpadł na nasz ślad, to w każdym razie podejrzywa już wiele i wystarczy jakieś głupstwo, aby naprowadzić tego dyabła na prawdziwy trop, a zdaje mi się, iż na te głupstwa zwrócić już jego uwagę Patapon.

— Dlaczego pan tak sądzisz?

— Wskutek opowiadania Fanchetty, które słyszałem dopiero wczoraj, niestety o trzy dni później, niżby należało.

— Cóż to takiego?

— W jakim celu porwaliśmy śpiewaczkę i zwróciliśmy jej wolność po północy, gdy już wiadomość o jej zniknięciu rozbiegła się po całym mieście?

— W tym celu, aby zmusić pierwszego konsula do zjawienia się tutaj w nocy, zaniepokojonego o los swej ukochanej... porwać go... i kazać mu zniknąć, jeżeli tego zajdzie potrzeba — odpowiedział powoli hr. Limoilans.

— Dobrze — odpowiedział baron — a ponieważ, aby się dostać do mieszkania, gdy konsul zaśnie, trzeba nam było przekonać się, iż wszystkie klucze działają dobrze i posmarować wszystkie zawiasy u drzwi, aby nie skrzypiały; dalej trzeba się było obeznać z rozkładem pokoiów, przez które musielibyśmy przechodzić po ciemku... A tego wszystkiego miał się podjąć Jouayaux.

— Tak, Jouayaux, który przyjechał konno wprost z Morbegan, przysłany przez Jerzego Cadoudala, a ten znowu nas nagli, aby kończyć prędzej. Tak, Jouayaux. Gdy wysłaliśmy Fanchettę do teatru, on przyszedł tutaj do mnie...

— Cóż dalej? Mimo wszystkiego nie widzę, co pana zniewala do uważania tego Patapona za feniksa?

— Posłuchaj pan. Ten agent dowiedział się, iż Jouayaux przyjechał w wysokich butach z ostrogami, na siwym koniu, że usiadł na fotelu, mył ręce, że skrapia się wodą węgierską, że jest brunetem — słowem agent dowiedział się wszystkiego, prócz jednego: omylił się, sądząc, że Jouayaux czyścił pistolety tam, gdzie on przypłowywał klucz, który nie tego działał... Oto, czego się dowiedział Patapon i czem się pochwalił przed Fanchettą.

— I odpowiedział to wszystko prefektowi Dubois? — zapytał nrabia z odcieniem lekkiego niepokoju w głosie.

— Nie, nie powiedział mu o tem ani słowa. Fanchetta, która była podczas całej rewizyi obecna, zapewniała mnie, że Patapon wszędzie i zawsze mówił tylko:

— Nic, nic.

— A wiesz pan, dlaczego, baronie?

— Nie, nie wiem.

— Dlatego, że Patapon jest kreaturą Fouchégo i umieszczony jest przy prefekcie z poleceniem, aby pomagał ministrowi przy pozbyciu się niebezpiecznego współzawodnika.

— W takim razie to, co ukrył przed Dubois, opowiedział Fouchému, a to tylko potwierdza moje słowa, że dość ladajakiego głupstwa, aby naprowadzić Fouchégo na ślad i należy się obawiać, że ten dyabeł zacznie nas wkrótce prześladować i ścigać.

— Tak pan sądzisz? — zapytał hrabia z pogardliwym uśmiechem.

— Pod tym względem mogę rozwiać pańskie wątpliwości. Patapon opowiedział Fouchému o wszystkim, co mi pan przed chwilą mówiłeś.

— Zkąd pan o tem wie?

— Podśluchiwałem przy bramie i słyszałem, jak Patapon opowiadał wszystko Fouchému po rozstaniu się z prefektem.

— A Fouché wyciągnął z tego jaki wniosek?

— Tak, iż ten nieznajomy był kochankiem śpiewaczki, i że pewnego pięknego wieczoru każe go areztować na miejscu występku, przez co wyprowadzi z równowagi Bonapartego, który kazał prefektowi czuwać nad wiernością Włoszki.

— Do dyabła!... Ależ w takim razie...

— Co?

— Trzeba uprzedzić Coigniera, aby był ostrożniejszym.

— Po pierwsze markiz Coignier jest zakochany i nie usłucha, a prócz tego znasz pan przysłowie, że

nie można zrobić jajecznicy, nie rozbiwszy przedtem jajka.

— A więc chcesz pan poświęcić tego biednego Coigniera?

Hrabia pokiwał głową i rzekł prawie szczerzo :

— Oh, poświęcić... cóż to za niezręczne słowo, kochany baronie, a w każdym razie niezręcznie zastosowane. Od kiedyż nazywa się poświęcać człowieka, skoro mu się pozwala być kochanym przez piękną kobietę? Nie wszyscy są tak niestali, jak pan, który chcesz porzucić miłą Fanchette...

Na wspomnienie służącej baron roześmiał się.

— Rzeczywiście, w dniu, w którym będę musiał bronić mej głowy przed sędziami, będę wskazywał, jako na okoliczność łagodzącą na fakt, iż przygotowałem spisek, obierając kartofle.

Hrabia z niezadowoleniem mlasnął językiem.

— Mój kochany, dzisiaj przez cały czas używasz pan niestosownych wyrażeń... poświęcać... bronić swej głowy... przygotowywać spisek... gdzie pan u dyabła wynalazłeś te słowa, które tak źle określają pańskie myśli?... Pozwól się pan zapytać, czy pan naprawdę przygotowuje jaki spisek?...

Saint - Régent wzruszył ramionami ze śmiechem.

— Jeżeli pan chcesz, abym mówił, to uprzedź mnie pan, iż gramy w ślepą babkę, a ja się już do tego zastosuję.

— Nie, nie, tylko przeceniasz pan swoje zadanie, w rzeczy samej bardzo proste... Na czem ono polega? Chcemy owdadnąć jednym człowiekiem, aby go zmusić, iżby był wyrozumiałym, aby go poprosić, żeby ustąpił swego miejsca innemu...

— A jeżeli on się nie pozwoli przekonać?

— Więc cóż się stać może?

— Wyjaśnij mi pan bliżej te słowa: „więc cóż się stać może“?

— Będzie sam żałował swego uporu.

— I pan jeszcze powiada, że nie ryzykujemy głów naszych, pragnąc w ten sposób przekonywać uparciucha?... Do dyabła! Wyprawiano na gilotynę ludzi o mniejsze rzeczy!

— Pst! — szepnął hrabia, spostrzegłszy w sieni jakiś cień, który się szybko przemknął około pokoiku rzekomego odźwiernego.

Nowoprzybyły nie prosił odźwiernego o pomoc, lecz zaczął się sam wspinać szybko po schodach.

— Poznałeś go pan? — zapytał baron.

— To Berthier idzie zawiadomić śpiewaczkę o wizycie konsula.

— Więc on tu przyjdzie dzisiaj wieczorem?

— Tak mi się przynajmniej zdaje.

— W takim razie rozpoczniemy dzisiaj wieczorem? — zapytał baron.

Nastąpiła chwila milczenia, w czasie której hrabia zastanawiał się nad czemś, a może się też wahał, gdyż nagle zapytał porywczo:

— Wszyscy są uprzedzeni?

— Za pół godziny uprzedzę wszystkich, aby się każdy przygotował do wyznaczonej dla niego roli. — Większość pójdzie naprzód, aby zabezpieczyć drogę zachodnią i zobaczyć, czy wszystko jest w porządku na stacyach, przygotowanych już od miesiąca.

— Wieluż was tutaj pozostanie?

— Pięciu. O oznaczonej godzinie sprowadzi Carbon ekwipaże w umówione miejsce, na bulwar nad Sekwaną; Gallier, Jouayaux, Coignier i ja spełnimy najważniejszą część zadania.

— Coignier? — zapytał Limoilans — a czyż on był wyznaczony?

— Nie, początkowo był Polignac, ale nie może, ponieważ upadł wczoraj z konia i potłukł się; dlatego zastąpi go markiz.

— A on wie o tem?

— Nie jeszcze, powiem mu o tem w ostatniej chwili... A więc pozostanie nas pięciu do załatwienia sprawy... Przypuśćmy, że będzie załatwiona około jedenastej... nie dowiedzą się zatem o niej wcześniej, jak jutro rano o ósmej.

— Eh, eh, — rzekł Limoilans z niedowierzaniem. — Pan sądzisz, iż nie wcześniej, jak o ósmej rano, ale czyż pan zapomniałeś o tem, iż konsul-generał nie przyjeżdża inaczej, jak tylko w towarzystwie adjutanta, który czeka na niego w powozie?

— Gdzie śpi snem sprawiedliwego, czego dowodem może być Juneau, który ubiegłej nocy przechrpał do rana aż do powrotu pierwszego konsula.

— A więc przypuśćmy, iż będziemy mieli ośm do dziewięciu godzin awansu...

— A przez dziewięć godzin możemy zajechać daleko, znajdziemy się blisko wybrzeża, przy którym czeka na nas bryg, gotów każdej chwili do wypłynięcia na pełne morze. Na wypadek, gdyby, zniknięcie spostrzeżono wcześniej i zostały wysłane rozkazy w celu przytrzymania nas, ci, którzy pojedą o cztery godziny wcześniej od nas, mają ować jedną ze stacyj w odległości dwudziestu pięciu mil ztąd, a naczelnik jej jest przez nas przekupiony. Tym sposobem wszelka komunikacya będzie przerwana, gdyby się wydarzyło, iż...

Mówiąc to, baron stał zwrócony twarzą do drzwi, przez okienko których można było widzieć cokolwiek na ukos część schodów i bramy.

— Oto i markiz! — szepnął do hrabiego.

Istotnie do bramy wszedł Coignier, który udawał się do ślicznej śpiewaczki, porozumiewszy się przedtem z nią wzrokiem, i uszczęśliwiony, że wynalazł

pretekst zagubionej chusteczki, aby się dostać do fortecy.

— Raulu! — zawołał do niego Saint-Régent.

— Mówiliśmy właśnie o panu, markizie — rzekł hrabia, gdy przywołany stanął na progu.

— A wolno się zapytać, z jakiego powodu? — zapytał Raul de Coignier.

— Powiedziałem hrabiemu, iż Polignac się potłukł podczas upadku z konia i że los wskazał na ciebie, jako na jego zastępcę w razie potrzeby.

— Ah! — zawołał lekko młodzieniec, którego wesoły nastrój został nagle zamącony jakimś nieokreślonym złem przecuciem.

— A więc przygotuj się, abyś się każdej chwili mógł udać na polowanie na grubego zwierza — objaśnił mu baron.

— Na polowanie... każdej chwili... — powtórzył Raul takim tonem, który wyraźnie domagał się wyjaśnienia, kiedy to ma nastąpić.

Baron ulitował się nad niepokojem zakochanego i ukrył przed nim część prawdy.

— Tak, na polowanie pojutrze... może jutro... ale w każdym razie bądź gotów każdej chwili.

— Ah! — rzekł Raul, teraz już zupełnie innym tonem.

Skoro polowanie było wyznaczone na jutro, to miał przed sobą przynajmniej jeszcze dwanaście godzin czasu, a te mógł spędzić u tej, w której się zakochał od jednego prawie spojrzenia.

Limoilans zauważył na twarzy markiza te dwa wyrazy: obawy i zadowolenia, które ustępowały miejsca naprzemian jeden drugiemu. Jako naczelnik stronnictwa, który powinien myśleć tylko o osiągnięciu celu, nie uważał za stosowne być tak oględnym, jak baron, to też porywczo rzekł do Raula:

— Pan się mylisz, markizie. Może zająć ta okoliczność, iż będziesz pan musiał opuścić Paryż je-

szcze dzisiaj wieczorem, a powrót nie będzie tak prędkim...

Te słowa za jednym zamachem zniweczyły plany i nadzieje zakochanego, który teraz istotnie był bliskim rozpaczy. Ton jednak, w którym hrabia wymówił te słowa, ubódł młodzieńca, odpowiedział więc z dumą:

— Czyż kiedykolwiek wahałem się wobec spełnienia obowiązku i dotrzymania danego przezemnie słowa?

— Dobrze, dobrze — rzekł z uśmiechem baron, aby jako tako zatrzeć wrażenie niemiłej rozmowy — a w każdym razie korzystaj z mądrej rady Horacego, „chwytaj chwilę“ i pędź na górę oblegać twierdzę, która, jak mi się zdaje, chętnie chce się zdać na łaskę i nie-łaskę oblegającego.

Roześmiał się znowu i dodał:

— Tobie pani, a mnie jej kucharka! Do dyabła! Dwie dobrze pilnowane osóбки!

Raul nie czekał, aż mu to powtórzą jeszcze raz, tem więcej, iż teraz, gdy minuty jego pobytu w Paryżu były policzone, należało z nich korzystać i nie tracić ani jednej chwili.

Saint-Régent popatrzył za nim.

— No — rzekł potem — jeżeli nie zdobędzie fortecy, to przynajmniej zapozna się z rozkładem mieszkania, a to jest bardzo ważna rzecz, aby polowanie się udało... Ubiegłej nocy Polignac nie mógł tego uczynić z powodu braku doświadczenia, to też co chwila natykał się na jakieś sprzęty, tak, iż zbudził Gracini, która, ocknąwszy się, zawołała do nas: „Ty, Bonaparte?“ Słowa te upewniły nas, że Bonapartego niema, a my musieliśmy się czempredzej wynosić. Był już najwyższy czas po temu, gdyż piękność skoczyła z łóżka. Nie zastawszy nikogo, pomyślała, iż to wszystko jej się przyśniło, a tak jej

było wstyd strachu, że nazajutrz, wyjaśniając służącej powód swego dzwonięcia, zwała to wszystko na karb jakiegoś niedomagania.

Saint-Régent urwał na chwilę, a potem dodał:

— Biedna Fanchetta... zostawiła klucz w zamku z zewnątrz dla mnie... gdyby tylko podejrzewała, że to jej ukochany ją zamknął, aby nie przeszkadzała w naszym przedsięwzięciu...

Baron po tych słowach posłał ręką od ust szyderczy pocałunek na górę.

— Twój miły uda się dzisiaj wieczorem w drogę, żegnaj mi, mój skarbie, niech ktoś drugi, mniej uparty, zajmie się obieraniem twoich kartofli!

— Ehe! — szyderczo rzekł hrabia, słuchając tego pożegnania się barona z kucharką.

— Co oznacza pańskie „ehe“? Czyż pan sądzisz, iż do tego stopnia jestem zakochany w Fanchecie, że w pół drogi nawrócę konia i powrócę do Paryża, aby się rzucić do jej nóg?

— Nie, ale nie zapominaj o przysłowiu: wyrzeka się żaba błota...?

— Co to ma znaczyć?

— To, iż przynajmniej jeszcze raz będziesz się pan musiał zobaczyć z Fanchettą, z którą się pan żegnasz w tej chwili z taką niewdzięcznością.

— A to dlaczego?

— Poprostu dlatego, iż może się mylimy, przypuszczając, że w ślad za generałem Berthier, Bonaparte zjawi się tutaj dzisiaj wieczorem. Być bardzo może, że wyznaczył on swoją wizytę na jutro, albo też Gracini, która zawsze postępuje tak, jak jej się podoba, sama odmówiła tę schadzkę... Wreszcie może się zdarzyć coś nieprzewidzianego, co zmieni nasze plany, a o tem wszystkiem należy się wpierw dowiedzieć dokładnie. W tym celu udasz się pan po raz ostatni do Fanchetty.

— To prawda — odparł baron.

Rzekłszy to, udał się ku drzwiom.

— No — dodał — jeszcze raz się poświęcę dla dobra naszej sprawy.

— Zaczekaj pan przynajmniej, dopóki nie wyjdzie Berthier, gdyż inaczej nie dowiesz się pan celu jego poselstwa.

Hrabia podszedł ku drzwiom.

— Właśnie w tej chwili schodzi z góry, słyszę brzęk jego ostróg.

W tej chwili ktoś stanął w bramie.

— Oh, oh — rzekł hrabia — a więc... Schowaj się pan tam za parawan — dodał szeptem.

Z tonu polecenia baron dorozumiał się, że to jakaś ważna sprawa i w jednej chwili ukrył się za parawanem.

Nowoprzybyłym nie był nikt inny, tylko Patapon, król szpiegów, idący ciężkim i powolnym krokiem.

Zaledwie doszedł do drzwi odźwiernego, zauważył schodzącego na dół Berthiera, adjutanta pierwszego konsula. Agent wyprostował się i z uszanowaniem zdjął z głowy kapelusz.

— Generale — rzekł — bądź pan łaskaw powiedzieć pierwszemu konsulowi, że obywatel minister policyi zjawi się na schadzkę, którą mu obywatel konsul wyznaczył tutaj na dziś wieczorem.

Limoilans nie stracił ani jednego słowa, które wypowiedział agent policyi.

— Oho! — pomyślał, zmarszczywszy brwi — Fouché przyjdzie tutaj dzisiaj wieczorem, to może zmienić nasze plany.

Z po za parawanu baron słyszał także słowa agenta.

— No — pomyślał w duchu — to z pewnością Coignier będzie z tego bardzo zadowolony; będzie się mógł nacieszyć swoją miłością.

Następnie dodał z pewnem niezadowoleniem:

— Natomiast ja będę musiał znowu obierać kartofle!

„Król szpiegów“, spojrzawszy z ironią za adjutantem, odetchnął głęboko, jakby zmęczony wypowiedzeniem kilkunastu słów, co było wbrew jego zwyczajowi. Zwrócił się następnie do odźwiernego, który natychmiast przedzierzgnął się w poczciwego Topinarda.

— Chodź tu stary! — rzekł.

Ten zgiął się we dwoje z uszanowaniem i podszedł do agenta.

— Pierwsze piętro jest wolne? — zapytał Patapon, przypominając sobie słowa Fanchetty, wyrzeczone do niego przed czterema dniami.

— Wolne — odpowiedział Topinard — ale jest bardzo zrujnowane i wilgotne, a wskutek tego niezdrowe. Dlatego też obywatelka Gracini, najawszy cały dom, wolała zamieszkać na drugim piętrze, gdyż pierwsze okazało się niebezpiecznem dla jej głosu. Prócz tego okna są tam bardzo małe, piętro nie jest wysokie, tak iż każdy mógłby, zaglądać i widzieć, co się u niej dzieje; z tego piętra *) wydzieliłem dla siebie tę izdebkę, w której obecnie mieszkam.

— Pokaż mi — rzekł Patapon.

— Co, moją izdebkę? — zapytał Topinard z lekkiem niepokojem w głosie.

— Nie, stara sowo!

— Więc pragnie pan obejrzeć sobie to niezamieszkałe mieszkanie?

— Natychmiast!

Topinard powrócił do swej izdebki, zdjął ze ściany pęk kluczy, wiszących nad łóżkiem, po za którego parawanem schronił się baron i szepnął:

*) We Francyi „pierwsze piętro“ nazywają to, co u nas nazywa się parterem.

— Gdy będę oprowadzał tego durnia, pan zmykaj, panie baronie!

Powrócił do policyanta, który czekał na niego tuż przy schodach.

— Chodź pan za mną — rzekł do niego, udając się do drzwi, znajdujących się w jednym szeregu z jego drzwiami.

Klucz, włożony do zardzewiałego zamka, tylko z trudnością spełnił swoją powinność.

— Puść mnie! — zawołał Patapon, ujmując klucz, jakby się chciał przekonać, iż drzwi istotnie długo nie otwierano, — dobrze — dodał, gdy drzwi otworzyły się po jego pchnięciu.

— Tak, widzę, iż od kilku lat nikt tu nie mieszkał — mówił dalej, wchodząc do pierwszego pokoju, w którym dawała się odczuwać przykra i nie miła woń stęchlizny, właściwa tylko długo niezamieszkałym pomieszkaniom.

— Otworzę natychmiast okna i okiennice — rzekł Topinard.

— Ani mi się waż! — zawołał Patapon.

Pokój był oświetlony tylko słabem światłem, wnijkającym przez otwarte drzwi, tem więcej, iż rozpoczynał się już zmrok, a za pół godziny powinna już była nastąpić zupełna ciemność.

— Przynieś światło! — rozkazał Patapon.

Topinard powrócił do swej izdebki po świecę, którą też zaraz zapalił.

Najpierw jednak podszedł do parawanu, aby się przekonać, czy baron już poszedł. Zastał go tam jeszcze.

Spojrzawszy sobie oko w oko, nie zamienili z sobą ani jednego słowa, lecz znacząco przyłożyli palce do ust, nakazując jeden drugiemu milczenie.

Widocznie Limoilans wiedział o przyczynie tej ostrożności barona, gdyż uśmiechnąwszy się zlekka

i potrząsnąwszy głową, wyszedł po cichu z izdebki i ze świeczką w ręku udał się do agenta.

— Postaw lichtarz tutaj — rzekł Patapon, wskazując na jedną z pustych skrzyń, w której przywieziono rzeczy śpiewaczki z Włoch.

Spełniwszy ten rozkaz, Topinard stanął w oczekiwaniu nowego.

Patapon siadł na krześle i wyciągnął z kieszeni fajkę i kapciuch z tytoniem.

— Widocznie myśli tutaj bawić długo — pomyślał hrabia, widząc, jak agent nabija sobie fajkę.

Wziąwszy fajkę w zęby, jeszcze niezapaloną, król szpiegów zwrócił się do Topinarda:

— Chodź tutaj!

Podczas gdy odźwierny wykonywał ten rozkaz, agent wsunął obie ręce do kieszeni paltota.

— Znasz ty to? — zapytał, pokazując dwa pistolety.

Zdawało się, że strach sparaliżował język Topinarda, tak, iż mógł kiwnąć tylko głową.

— Jeżeli się wypaplesz, otrzymasz kulę w łeb! — mówił Patapon.

— Z czym się wypaple? — ośmielił się zapytać stary.

— Jeżeli powiesz komukolwiek, iż my tutaj jesteśmy...

— My?... — powtórzył stary zdziwiony.

— Tak, poczekaj...

Rzekłszy to, Patapon wstał. Zamiast włożyć pistolety z powrotem do kieszeni, położył je na kominku, aby sam ich widok wzbudzał w odźwiernym strachu. Następnie wyszedł do sieni, a potem przed bramę, gdzie lekko świsnął.

Po chwili przystąpiło do niego dwóch ludzi, z którymi wrócił razem do pokoju.

Aczkolwiek jego nieobecność trwała krótko, to przecież wystarczyło to hrabiemu do wykręcenia nabojów z pistoletów.

— Teraz się wynoś! — rzekł agent do Topinarda, wchodząc ze swymi towarzyszami.

Odźwierny skłonił się nisko.

— A nie zapominaj o tem — dodał Patapon, wskazując na pistolety.

Topinard na znak tego, iż pojął całą wymowność tego ruchu, skłonił się jeszcze niżej.

— Nic mi pan nie ma więcej do rozkazania? — wyjąkał z całym uszanowaniem.

— Zamknij bramę, a gdy do domu wejdzie minister policyi, zapukaj dwa razy do tego pokoju, a teraz się wynoś!

Polecenie agenta wykonał hrabia w jednej chwili.

— Poczekaj, już my się z tobą rozprawimy — syknął hrabia przez zęby, znalazłszy się za drzwiami.

Następnie zatrzasnął bramę z takim trzaskiem, że Patapon musiał go usłyszeć i przekonać się, że jego rozkaz wykonano.

Zaledwie tego dokonał, gdy w ciemności usłyszał słowa, wymawiane do niego szeptem:

— Wiesz pan, panie hrabio, że to miejsce za parawanem jest bardzo wygodnem! Można słyszeć wszystko, co się dzieje w przyległym pokoju. Słyszałem wszystko, nawet lekki stuk, gdyś pan wykręcał naboje.

Hrabia zamknął ręką usta baronowi, poczem poprowadził go przez sień do drzwi, wychodzących na ogród.

— Sprawę trzeba będzie odłożyć — rzekł hrabia, skoro się tylko znaleźli na świeżem powietrzu. — Jeżeli już Fouché wpakował do domu agenta, to nie ulega wątpliwości, że urządził nadzór i dokoła domu.

Być może, iż dostaliśmy się, jak myszy w pułapkę...
Czyżby nas zdradzono?

— No, no — rzekł wesoło baron — co też pan mówi! Przed dwiema godzinami obwiniałeś mnie pan, iż widzę wszystko w czarnych kolorach, a teraz przyznaj pan sam, że postępujesz gorzej.

Następnie dodał już poważniej:

— Jeżeli Fouché zjawia się na schadzkę z pierwszym konsulem w mieszkaniu jego kochanki, to oznacza to, iż otrzymał taki rozkaz... słyszałeś pan to sami, gdy agent spotkał się z generałem Berthier. Dlatego można przypuszczać, iż Fouché, który sam się poczuwa do wielu grzechów, poprostu postarał się o swoje własne bezpieczeństwo. Dzisiaj w tłumie podczas pogrzebu Turenna słyszałem o jednym zajściu, które grozi Fouchému silnym gniewem Bonapartego.

— O jakim zajściu?

— O zniknięciu senatora de Riz na prowincyi około Tours.

Limoilans aż podskoczył.

— Około Tours? Jesteś pan tego pewny? — zapytał porywczo.

— O kilka mil od Tours, w okolicy Langers, gdzie senator posiada swój majątek ziemski.

— Tours... Tours... — powtarzał hrabia z jakimś radosnem rozgorączkowaniem.

— Jak widzę, stałeś się weselszym, panie hrabio! Czy mogę się dowiedzieć o przyczynie tego?

— Nie, gdyż obawiam się pomyłki. Wystarczy panu to, iż powiem, że to, co pan przed chwilą powiedziałeś o senatorze, wyjaśnia mi jedno zdanie, które dla mnie było dotychczas niezrozumiałe. Wy powiedziano je podczas rozmowy Fouchého z Pataponem, którą podsłuchałem niedawno przy bramie.

— A cóż pan wnosisz z tego zdania?

Zadowolenie hrabiego było tak wielkie, iż nie mógł się powstrzymać od zdradzenia swej tajemnicy.

— Wnoszę z tego, iż Fouché sam porwał senatora de Riz!

Teraz baron skoczył ze zdumienia.

— Daj pan pokój! Przecież senator jest jednym z najlepszych przyjaciół ministra!

— Tem więcej powodów: między nimi musi być jakaś tajemnica, która jest kompromitującą dla Fouchégo, a której ten ostatni chce się pozbyć.

Po chwili milczenia dodał hrabia:

— Jeżeli ta tajemnica dostanie się do naszych rąk, Fouché, jeżeli nie stanie po naszej stronie, przynajmniej nie będzie przeciwko nam, a wtedy zwycięstwo naszego stronnictwa jest pewnem.

— Zobaczymy — rzekł Saint-Régent, nie chcąc niweczyć nadziei swego naczelnika.

— Musimy się spieszyć — mówił hrabia — trzeba się dowiedzieć, o czem rozmawia tych trzech łotrzyków, którzy się zamknęli tam na dole. Pójdę tam, a pan pozostań na czatach w ogrodzie, schowaj się pan gdzie w krzaki i czekaj mojego powrotu.

Po tych słowach hrabia powrócił do domu.

Baron, pozostawszy sam, spojrział w okna drugiego piętra. Jedno z nich tylko było oświetlone... okno z buduaru śpiewaczki.

— Muszę bezwarunkowo uprzedzić Coigniera, aby zmykał — pomyślał baron — gdyż inaczej wpadnie w pułapkę.

W tej chwili na zegarze pobliskim wybiła ósma.

— Ba! Dlaczegoż pozbawiać go dwóch godzin rozkoszy, które mu jeszcze pozostają?

Postanowiwszy w ten sposób, schował się w krzakach.

IX.

Izdebka, którą zajął dla siebie rzekomy odzwier-
ny, łączyła się dawniej z mieszkaniem na parterze
ała wyjście na schody.

Zabiwszy drzwi, które prowadziły do pokojów
nętrnych, Limoilans oddzielił tę izdebbę od re-
pomieszkania, które się stało czemś w rodzaju
składu na stare rupiecie i puste kufry i skrzynie śpie-
waczki.

Z izdebki odzwiernego starodawny parawan po-
krywał sobą drzwi, przywalone z drugiej strony całą
masą skrzyń. Gdy się ktoś ukrył za parawanem,
mógł słyszeć wszystko, co mówiono w sąsiednim
pokoju.

Limoilans, zostawiwszy barona na czatach, po-
wrócił do siebie i stanął za parawanem.

Niewątpliwie towarzysze króla szpiegów wiedzieli,
iż nie lubi on dużo mówić, to też przez pół godziny
nie było nic słyhać, prócz oddechów. Nareszcie je-
den z podwładnych, znając widocznie słabość Pata-
pona do wina, odezwał się:

— Z chęcią kupiłbym jaką butelczynę, gdyż mi
zupełnie zaschło w gardle, nie mogę nawet mówić.

— Skoro ci zaschło w gardle, to obliz sobie gę-
bę — odparł Patapon, mający widocznie chwilę,
w których nie miał żadnych słabostek.

Mineło znowu pół godziny zupełnego milcze-
nia, poczem drugi towarzysz starał się nawiązać roz-
mowę.

— Co się u licha stało z obywatelem Jakó-
bem? Już od pięciu dni niema o nim żadnej wiado-
mości.

— Milcz, papło! — rozkazał sucho Patapon.

— Rzeczywiście, co się stało z Jakóblem? — za-
pytał drugi.

Aby położyć kres zapytaniom, Patapon zdecydował się nareszcie odpowiedzieć :

— Wysłany z rozkazem.

— Daleko? — zapytał jeden agent.

— W które strony? — dodał drugi.

— Do Tours — odparł Patapon.

Po sposobie, w jaki Patapon zaczął palić fajkę, towarzysze jego spostrzegli, iż najzupełniej wyczerpali jego cierpliwość i zamilkli, tem więcej, iż Patapon zacisnął pięście i okazywał widoczny zamiar zatknięcia kułakiem ust temu, kto przemówiłby jeszcze słowo.

Aczkolwiek bardzo skąpem było wyjaśnienie, tyżące się Jakóba, którego wysłano do Tours, to przecież hrabia usłyszał je z zadowoleniem.

— Ehe! — pomyślał — to potwierdza moje przypuszczenia co do udziału Fouchégo w tem zniknięciu jego najlepszego przyjaciela, Klemensa de Riz. Tak, ale co za powód tego?

W tej chwili podniósł szybko głowę i zaczął się przysłuchiwać jakiemuś szelestowi, który dochodził od strony ogrodu.

Szybko toczący się powóz zatrzymał się przed furtką ogrodową, wychodzącą na plac targowy.

— Oto i pierwszy konsul przyjechał — pomyślał hrabia.

Dał się słyszeć odgłos kroków na piasku i wkrótce od strony ogrodu zaczął ktoś szybko wchodzić po schodach pewnym krokiem.

Usłyszawszy, iż na drugim piętrze drzwi się zamknęły, hrabia wyszedł do ogrodu.

— No? — zapytał barona, który wyszedł na przeciwko niego z krzaków. — To Bonaparte?... Przyjechał sam?...

— Nie, towarzyszy mu, jak zwykle, adjutant. Słyszałem, jak rzekł do niego, wysiadając: „Możesz je-

chać! Jeżeli powrócę dzisiaj w nocy, to przyjdę piechotą z Fouchém“.

Zaledwie baron skończył, gdy dał się słyszeć turkot karety, która odjechała z przed furtki, uwożąc z sobą adjutanta.

— No i cóż? — zapytał z kolei baron.

To lakoniczne pytanie zawierało w sobie i kilka innych: czy nie lepiejby było zebrać zaraz partyzantów, którym rozkazano być w pogotowiu i skorzystać z wypadku, na który tak długo czekano, a który teraz się nadarzył? Czy nie czas działać? Czy nie należy się spieszyć, aby mieć powodzenie?

Na wszystkie te pytania, zawarte w trzech słowach: „No i cóż?“ — Limoilans odpowiedział dwoma słowami, także wiele znaczącemi:

— A Fouché?

— Ach tak, zapomniałem o nim, wszystkich postawi na nogi!

Po chwili namysłu Saint-Régent dodał:

— Jeżeli tylko...

— Jeżeli tylko co?

— Jeżeli tylko nie pochwycimy ich obydwóch.

— Oho! — rzekł hrabia — po co usposabiać przeciwko sobie tego wytrawnego lisa? Lepiejby było mieć go po naszej stronie.

— Zdaje mi się, iż się panu coś pomięszało w głowie! Czyż minister policyi będzie tak uprzejmym, aby pomagał panu? — zapytał szyderczo baron.

— No, nie sprzeczałbym się, że nie, ale w ostatnich czasach tak się stosunki u góry zmieniły...

Zaledwie domówił ostatnich słów, gdy od strony ulicy dało się słyszeć silne pukanie do bramy.

— Oto i Fouché! — rzekł hrabia. — Poczekaj pan jeszcze w ogrodzie.

Oddalił się szybko, a baron ukrył się znowu w krzakach.

— Znowu czekać — mruknął do siebie. — Gdy by choć Coignier był ze mną, byłaby jakaś rozrywka przynajmniej, ale przypuszczam, iż markiz ogłuchł z miłości, skoro nie słyszał krzyków sowy, którymi uprzedzałem go, iż czas się żegnać. Ale gdzie mogła go schować Gracini, gdy przyszedł Bonaparte?

Tymczasem rzekomy odźwierny pobiegł do bramy i przez małe okienko poznał Fouchégo.

Stosownie do polecenia Patapona zastukał dwa razy do drzwi pokoju, w którym znajdowało się trzech agentów policyjnych.

Gdy minister wszedł do domu, król szpiegów ze świecą w ręku wyszedł naprzeciw niego razem ze swymi pomocnikami.

— Rozkazałem ci, abyś tu przyszedł i czekał na mnie — rzekł ostro Fouché — po co przyprowadziłeś jeszcze tych dwóch? Odpraw ich, oni nam niepotrzebni.

Patapon zwrócił się do swoich towarzyszków i rzekł:

— Wynoście się!

Obydwaj nie czekali na powtórzenie tego rozkazu i w jednej chwili znaleźli się na bulwarze.

Fouché już otworzył usta, aby pomówić ze swym ulubionym agentem, gdy nagle spostrzegł Topinarda, stojącego opodal w postawie pełnej uszanowania.

— Wynoś się do swojej nory! — rozkazał Patapon.

Topinard natychmiast zniknął w swej izdebce.

Patapon, wskazawszy ręką na pokój, z którego przed chwilą wyszedł, dodał:

— W tym pokoju będziemy najzupełniej sami... Jeżeli obywatel minister będzie mi miał coś do rozkazanania...

Otrzymałszy rozkaz Bonapartego, który mu wyznaczał schadzkę u śpiewaczki, Fouché według przysłówia, iż na złodzieju czapka gore, przedewszystkiem

przeraził się i zaczął się zastanawiać nad tem, na jaką z jego sztuczek wpadł konsul. Na wszelki wypadek wysłał najpierw Patapona na miejsce, aby w razie, skoro rozmowa z konsulem weźmie dla niego nieprzyjemny obrót, ten swym rozumem i odwagą okazał mu jaką przysługę.

Teraz był już spokojny, gdyż na godzinę przed schadzką widział się z Durokiem. Ten opowiedział mu o strasznym wybuchu gniewu pierwszego konsula, gdy się dowiedział o zniknięciu senatora Klemensa de Riz.

Należy przypuszczać, iż Fouché czuł się w tym wypadku albo zupełnie niewinnym, albo też zawczasu tak się zabezpieczył, że pomyślał sobie zaraz:

— Dobrze, jeżeli tylko to!

O oznaczonej godzinie zjawił się już z góry przygotowanym planem, w którym król szpiegów miał odegrać wiadomą rolę.

Dlatego też, skoro się tylko znaleźli w pokoju, Fouché zapytał pospiesznie:

— Słuchaj, a uważaj dobrze, gdyż czekają na mnie na górze i nie mogę tracić czasu. Jutro rano pojedziesz dylizansem z Paryża do Nantes i przez Vendomois do Tours; tam, gdzie dylizans zatrzymuje się na obiad, Jakóba spotkasz; on już wie o twojem przybyciu. Pomówisz z nim, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, gdyż mogą cię śledzić. Udawaj, że go nie znasz, przynajmniej aż do czasu waszego przyjazdu do Langers.

— Zrozumiałem — rzekł Patapon.

Fouché wyjął z kieszeni sakiewkę i podając ją Patapanowi, mówił dalej:

— Jakób przedstawi ci pewną osobistość, nazwiskiem Bernard; wypłacisz mu pięćdziesiąt luidorów. Jakób powie ci wtedy, iż człowiek ten wręczył mu wiadomy plan, który przyrzekł nam dostarczyć... Zrozumiałeś?

— Tak... Bernard... plan... pięćdziesiąt luidorów... — powtórzył Patapon, streszczając wszystko w pięciu słowach.

Następnie jakby zawahał się.

— Co masz jeszcze do powiedzenia? — zapytał Fouché.

— Chcę się o coś zapytać...

— Słucham.

— Czy mam jechać pod cudzym nazwiskiem?

— Przeciwnie, nie czyń tego, gdyż jeszcze przed twoim przyjazdem dam znać o tobie władzom, jako o agencie, którego wysłałem celem zbadania sprawy zniknięcia senatora de Riz. Dlatego w biurze dyliżansów zapisz się pod twoim własnym nazwiskiem.

— Dobrze — odparł agent.

— Gdy się spotkasz z Jakóbem, zabierzecie się do roboty, a ty obejmiesz komendę. Jakób jest sprytny, ale trzeba nim umieć kierować. Jeździł tam z poleceniem, z którego doskonale się wywiązał. Sprawa jednak jeszcze nie jest skończona, gdyż co do drugiej części polecenia nie mogę się zdać na spryt i rozwagę Jakóba. Ty jeden będziesz umiał przeprowadzić sprawę do końca pomyślnie. Słowem, przyjdzie ci tylko jeść kasztany, które Jakób dla ciebie wyciągnie z pieca.

— Tak, tak, wiem — odparł Patapon.

— Co wiesz? — zapytał zdumiony Fouché.

— To, czego pan odemnie żąda.

— Mów!

— Sam pan powiedział mi to przed chwilą: mam znaleźć senatora, którym Jakób jeszcze nie mógł o władnąć.

Należy przypuszczać, iż tym razem Patapon nie dał szczególnego dowodu swej wychwalanej przenikliwości, gdyż minister, usłyszawszy jego odpowiedź, wzruszył ramionami i rzekł:

— Widzę, mój kochany, że się opuszczasz...

Zanim Patapon zdołał zamknąć szerokie usta, które otworzył, usłyszawszy taki nieprzyjemny komplement, Fouché mówił dalej:

— Tem łatwiej będzie ci znaleźć senatora, gdyż Jakób wskaże ci miejsce, w którym go ukrył.

Tym razem król szpiegów był mile zdziwiony, a usta jego otworzyły się szeroko, jak drzwi od stodoły, a z głębi gardła wydobył się krótki, suchy śmiech, co miało wyrażać najwyższy zachwyty. Gdy nareszcie zapanaował już nad językiem, wyrzekł z zapałem trzy słowa:

— Zabawnie!... Wspaniale!... Cudownie!...

Fouché spokojnie wysłuchał tego napadu wesołości, który zresztą był dla niego pochwałą, i mówił dalej, kładąc nacisk na każdym słowie:

— Tak, ale zanim się dowiesz o kryjówce senatora, musisz dokończyć operacji, która stanowi tajny cel twej podróży... Posłuchaj mnie uważnie.

W tej chwili Fouché, który stał blisko przy drzwiach wchodowych, obawiając się, aby ktoś nie podsłuchiwał ich rozmowy, popchnął Patapona dalej w głąb pokoju, a znalazłszy się przy kupie skrzyń, powtórzył:

— Posłuchaj mnie więc uważnie...

Nie chcąc, aby ich ktoś podsłuchiwał, stanął Fouché właśnie w pobliżu drzwi, po za którymi ukrył się hr. Limoilans, innemi słowy, dostał się z deszczu pod rynnę.

.....

W pięć minut potem pożegnał się Fouché ze swoim wiernym agentem i rzekł:

— Teraz idź, siadaj jutro rano pod twem własnym nazwiskiem do dylizansu, gdyż powtarzam ci, że nim przyjedziesz na miejsce, już władza wiedzieć będzie o twojem przybyciu.

.....

Skoro tylko wyszli, hr. Limoilans wyszedł także ze swego ukrycia i udał się do ogrodu, mówiąc do siebie z radością:

— Mam go! On już w naszych rękach!

Był do tego stopnia uradowany, że zapomniał o wszelkiej ostrożności; nie zrobił jeszcze trzech kroków, gdy posłyszał głos barona de Saint-Régent z krzaków:

— Ciszej, ciszej, hrabio, na górze mogą usłyszeć, iż ktoś tutaj chodzi.

Istotnie, okno buduaru, zamknięte jeszcze przed godziną, było teraz otwarte, co pozwalało słyszeć rozmowę dwóch głosów, z których jeden przemawiał w gniewnym tonie:

— Dlaczego, obywatelu ministrze, ukryłeś przedemną to nieszczęście, które spotkało jednego z moich najlepszych przyjaciół?

— Zanim o tem pomówimy, chciałbym wiedzieć, o co chodzi i dlatego czekam na powrót jednego z moich agentów, wysłanego w tej sprawie do Tours.

— Komu przypisujesz pan ten zuchwały postępek?

— Nie wiem.

— Pańskim obowiązkiem jest wiedzieć!

— Wiedzieć... tak... gdy mi dadzą czas na dowiedzenie się, obywatelu pierwszy konsulu, a miałem już zaszczyt oświadczyć, że czekam na powrót mego wysłańca. Gdy wysłucham jego raportu, będę miał naturalnie możność odgadnięcia, z czyjej ręki pochodził ten cios.

Hrabia Limoilans nie chciał już słuchać dalej i rzekł do barona:

— Chodź pan ze mną...

Stanąwszy w swym pokoiku, hrabia odwrócił się, aby zobaczyć, czy baron usłuchał jego wezwania, i spostrzegł nietylko jego, ale także i Raula de Coignier.

— Pozwól pan, iż przedstawię ci młodzieńca, który skacząc z okna, uważa swych przyjaciół za materace i spada im prosto na głowę — rzekł wesoło baron, tłumacząc, w jaki sposób Raul znalazł się w jego towarzystwie.

Rzeczywiście, dopóki sam Bonaparte siedział u śpiewaczki, markiz Coignier znajdował się w buduarze, gdy jednak po przyjeździe ministra usłyszał głos generała, aby Fouchégo wprowadzić do buduaru, ustąpił mu miejsca i wyskoczył przez okno do ogrodu. Udało mu się to bez zbytejnego hałasu.

Limoilans nie miał jednak czasu do stracenia, wystarczyło mu to, iż miał u siebie dwóch młodych ludzi, których mu w tej chwili było bardzo potrzeba.

— Kto z naszych znajduje się obecnie w okolicy Tours?

— Oddział Mont-Louis — odparł baron, poznawszy po urywanym tonie hrabiego, iż ten zapytuje go się jako naczelnik.

Hrabia zwrócił się do Raula.

— Panie markizie, mówiłeś mi pan dzisiaj, iż nie wahasz się wypełnić swego obowiązku i dotrzymać danego słowa.

— Wątpić o tem, znaczy obrażać mnie — odpowiedział z dumą młodzieniec, mimo, iż wspomnienie o Gracini przyspieszyło bicie jego serca.

— Panowie — rzekł hrabia — za kwadrans powinniście się już znajdować na koniach.

— A więc jedziemy! — rzekł Saint-Régent, zadowolony, iż pozbędzie się Fanchetty.

— Teraz posłuchajcie, co macie do roboty — rzekł poważnie naczelnik.

.....

W godzinę potem obaj jeźdźcy znajdowali się już daleko od Paryża, który Patapon miał opuścić dopiero nazajutrz rano.

X.

Langers — to małe, ładne miasteczko nad Loarą z wspaniałym zankiem gotyckim, gdzie swego czasu król Karol VIII. brał ślub z księżniczką Anną de Beaujeu, przez co połączył Francję z Bretanią.

W r. 1800 miasto to było drugą stacją po Tours, w której zatrzymywali się kuryerzy i dyliżanse po drodze z Paryża do Nantes, jadący tak zwaną wówczas drogą Vendomois.

W dniu, w którym znajdujemy się w tej miejscowości, wielka sala pocztowa była przepełniona narodem, czekającym na przybycie dyliżansu, którym miał przyjechać najsprytniejszy z agentów policyjnych, wysłany przez ministra policyi, Fouchégo, celem wyjaśnienia tajemnicy, otaczającej zniknięcie senatora Klemensa de Riz, a to zajmowało w wysokim stopniu całą okolicę.

Wiadomość o przybyciu tego majstra w sprawach policyjnych nadeszła tego samego rana wraz z poleceniem, aby obywatel Patapon cieszył się pomocą ze strony władz i ludności; dalej stawiano do jego rozporządzenia wszystkie brygady żandarmów, o ile on uzna za stosowne zażądać ich współdziałania.

W czasie, gdy w Paryżu przypisywano zniknięcie senatora sprawom politycznym, mieszkańcy Turegne twierdzili, iż Klemensa de Riz pochycili szuani, którzy grasowali jeszcze po okolicy i bardzo często chwyтали miejscowych bogatych właścicieli ziemskich, aby od nich otrzymać wysoki okup.

Przyjazd znakomitego Patapona — króla szpiegów, jak go powszechnie nazywano — powinien był

przysłużyć się do rozwiązania zagadki i wyjaśnić sprawę: kto był winowajcą — szuani, czy też polityka...

Tłum, czekający w sali stacyi pocztowej, zachowywał się początkowo cierpliwie, w miarę tego jednak, jak czas uchodził, zaczął się objawiać pewien niepokój, a nie można się było temu dziwić: wybiła już godzina dziewiąta, a dyliżansu jeszcze nie było widać; zjawiał się zwykle o godzinie siódmej.

Wielu ciekawskich udało się na drogę na spotkanie dyliżansu, aby się przekonać, czy choć z daleka nie dojrzą latarni tak bardzo upragnionego wehikułu.

— A może od wczoraj zmieniono czas przyjazdu dyliżansów? — zapytał jeden z najniecierpliwszych naczelnika stacyi.

— Nie, obywatelu, dyliżans poprostu się spóźnił... oto wszystko.

— Spóźnił się o dwie godziny na przestrzeni sześciu mil?... To dziwne...

Ta uwaga podziałała jak iskra na wszystkich sąsiadów, zasiadających przy stole w poczekalni.

— Jakto sześć mil?! — zaczęto wołać ze wszystkich stron.

— Naturalnie, sam powróciłem konno z Tours, a wyjechałem właśnie w chwili, gdy dyliżans nadszedł tam o oznaczonej godzinie. — Zatrzymuje się tam przez pół godziny na obiad, a następnie udaje się w drogę, aby stanąć o siódmej w Langers.

— A teraz która?

— Dziewiąta.

— A więc przyczyna tego opóźnienia się powinna była zająć między Tours a Langers, na przestrzeni sześciu mil.

— Może dyliżans się wywrócił? — dodał ktoś.

— Może urządzono na niego napad? — zapytał inny.

— Któż taki?

— Bez wątpienia ci sami, którzy ukradli senatora.

— Ależ w takim razie należy przypuszczać, iż była ich tam spora liczba, skoro mają odwagę napadać na dylizans, konwojowany przez żołnierzy.

Pomimo tego, iż pomału powracał porządek i spokój, uzbrojone szajki stawały się do tego stopnia niebezpiecznymi na niektórych szlakach na prowincyi, iż dylizanse puszczano w drogę tylko pod osłoną pięciu żołnierzy, siedzących na kozle, a zmienianych na każdej trzeciej stacyi.

Zaledwie tylko wyrażono przypuszczenie, iż dylizans mógł uleść napadowi, gdy z oddali posłyszano turkot kół, co oznaczało zbliżanie się jakiegoś powozu.

— Nareszcie! — zawołali wszyscy chórem.

Dylizans pędził z nadzwyczajną szybkością, tak, iż się iskry sypały po drodze.

— Do dyabła! — zawołał ktoś z tłumu — najwidoczniej chce nagnać stracony czas!

W chwilę potem dylizans zatrzymał się przed stacyą, a konduktor wołał drżącym jeszcze ze wzruszenia głosem:

— Hej! Prędej! Pozabierać naszych rannych!

Po tych słowach cały tłum z pocztmistrzem na czele wysypał się na drogę.

Przy świetle latarni stajennych obecni mogli doskonale przekonać się, w jakim stanie znajdował się dylizans. W wielu miejscach był podziurawiony kulami, szyby wszystkie były wybite, a zamiast czterech koni, były tylko trzy, gdyż jeden padł, przeszyty kulami. Wszystko to uprawniało do twierdzenia, iż był to napad jakiejś szajki.

— Gdzie się to stało? — zapytał stajenny konduktora.

— Podczas wyjazdu z Louigny... Po pierwszej salwie spadł z kozła biedny Ludwik i trzech żołnie-

rzy, nie licząc konia, którego zgon przeszkodził nam do wydobycia się z matni.

— Wieźliście pieniądze?

— Tak, ale oni pieniędzy nie wzięli...

— Jakto? Nie ograbiono was?

— Nie, pochwycili tylko naszego towarzysza podróżny, wyciągnęli gwałtem z dyliżansu i powlekli ze sobą, grożąc mu straszliwie. Bylibyśmy na tem skończyli, gdyby nie to, iż jeden z dwóch pozostałych żołnierzy, chcąc się zemścić za śmierć kolegów, wysłał kulę do uciekających rozbójników. Zapłacił drogo za tę nieszczęśliwą myśl. Odwrócili się i w odpowiedzi dali nową salwę. Żołnierz zwałił się z konia, a prócz tego mamy jeszcze w dyliżansie innych raniomych lub zabitych w dyliżansie... Pomóżcie mi przecie!

Tłum tymczasem stał nieruchomo dokoła dyliżansu, nie myśląc bynajmniej o spieszeniu z pomocą.

— Hej! Wy! — dał się nagle słyszeć jakiś rozkazujący głos z głębi dyliżansu — czy wy tu długo będziecie stali i nie weźmiecie się do pomocy?!

W tej samej chwili wyskoczył z dyliżansu jakiś człowiek.

— Gdzie tu jest naczelnik poczty? — zapytał.

— Tutaj, obywatelu.

— Weźcie dwóch rannych, znajdujących się w dyliżansie i umieśćcie ich w poczekalni.

Przy pomocy jednego ze służących, pocztmistrz wyciągnął z dyliżansu pierwszą ofiarę.

— Oho! — zawołał pasażer, który wyszedł pierwszy — temu, zdaje się, już nic nie potrzeba... skończył może przed pięciu minutami.

Nieszczęśliwy otrzymał kulę prosto w piersi.

— Wynoście drugiego! — rozkazał pasażer.

Drugi raniony jeszcze żył, ale nie wiele mu brakowało do śmierci. Z piersi wydobywało się głuche charczenie, a oczy zaczęły stawać w ślup.

Pasażer zatrzymał niosących rannego i nachylił się nad nim.

— Jakóbie! — rzekł.

Usłyszawszy swoje imię, umierający ożywił się cokolwiek, a przez usta jego przemknęły się słowa niezrozumiałe dla obecnych:

— Spal wszystko, Patapon... spal wszystko... tak rozkazał patron...

Wyczerpany tym ostatnim wysiłkiem westchnął i wyprężył się...

Już nie żył.

— Skończone — rzekł spokojnie pasażer.

Tłum odstał od pasażera z uszanowaniem, usłyszawszy nazwisko słynnego agenta Fouchégo.

Patapon wszedł do sali gościnnej, a jeszcze z progu zawołał do konduktora dyliżansu:

— Przynieś mi teraz twą listę podróżną!

Konduktor uczynił, jak mu rozkazano.

— Ilu nas było, gdy wyjechaliśmy z Tours? — zapytał agent.

— Jedenaście osób... czterech podróżnych, pocztion i pięciu żołnierzy.

— A teraz ilu nas pozostało?

— Trzech... pan, ja i żołnierz.

— Wiem, kto jest jeden z nieboszczyków, a kto drugi? Zobacz-no w liście.

— To zbyteczne... wiem, iż był mieszkańcem Langers, niejakim Bernardem, stary sługa, który żył z pensji, a którego dobrze znałem.

— W takim razie należy się tylko dowiedzieć o nazwisko czwartego podróżnego, którego pochwycili rozbójnicy, którzy nas napadli.

Konduktor zaczął przeglądać spis podróżnych.

— Nazywa się Cabaigneaux... jechał do Nantes.

— Czem się trudnił?

— O tem nic nie wspominał. Kupił sobie miejsce w Orleanie i wsiadł do naszego dylizansu.

— No — rzekł agent — ten Cabaigneau nie będzie się mógł pochwalić, iż dostał się w dobre ręce.

Zebrany dokoła wybitnego przedstawiciela policyi tłum patrzył z zachwytem, z przymieszką obawy. Sława jego dotarła aż do Langers, a każdy znał dziesiątki wypadków, świadczących o sprycie i odwadze tego człowieka, który był najzaciętszym wrogiem rozbójników na wielkich drogach; mnóstwo tych łotrów dostało się, dzięki jemu, w ręce sprawiedliwości.

Patapon był jednak człowiekiem skromnym i nie lubił, aby nim się długo zachwycano, zwrócił się więc do ciekawych i rzekł:

— No, panowie, każdy może powrócić do swego zajęcia... teraz już późno, idźcie do domów i zostawcie mnie w spokoju.

Słowa te wypowiedziane były ze śmiechem, ale w tonie dość rozkazującym, tak, iż wszyscy zrozumieli, że trzeba się wynosić swoim kosztem.

Powoli sala opustoszała, pozostał w niej tylko gospodarz i jego pomocnicy.

— Jesteśmy nareszcie sami — rzekł Patapon — teraz możemy się zająć naszemi sprawami.

Wskazując ręką na drugi koniec sali, zapytał gospodarza:

— Co to za drzwi? Co za pokój?

— To pokój dla pań, które pragną coś zjeść, albo też poczekać na dylizans, aby się nie mięszać z publicznością na sali ogólnej.

— Dobrze, przeniesiesz tam mojego przyjaciela, położysz go na stole i rozpalisz ogień.

W warzystwie służby gospodarz udał się do sali, gdzie tymczasowo umieszczono zwłoki tego,

który, umierając, zwrócił się do Patapona ze słowami:

— Spal wszystko!

Król szpiegów w milczeniu śledził wykonywanie swego rozkazu.

— Teraz — rzekł — sprowadźcie konduktora i żołnierza, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa, będę musiał przesłuchać was wszystkich, a wy poczekacie, aż zestawię protokół o napadzie na dyliżans.

Po tych słowach wszedł agent do pokoju, w którym już złożono zwłoki i zamknął się na klucz.

— Do dyabła! — zawołał konduktor po przybyciu — widocznie nie chce, aby mu przeszkadzano w widzeniu się z nieboszczykiem. Sprytna szelma!

— W każdym razie po takiej łaźni — dodał żołnierz — może się jeszcze śmiać i patrzeć na umarłych i umierających tak spokojnie, jakby się patrzył na kwiaty.

— Co się panu stało, że pan taki zamyślony? — zapytał konduktor gospodarza, który zadumany stał na środku sali.

— A czyż myślicie, że to tak przyjemnie myśleć o trupie, którego dopiero co przyniesiono pod mój dach? Jam nie kamień, jak ten Patapon, który zamyka się z nieboszczykiem.

— Oby tylko nie zapomniał, iż kazał nam czekać na siebie, byśmy odpowiadali na jego pytania — rzekł konduktor Germain.

Po tych słowach konduktor machinalnie rozejrzał się po sali i nagle wzrok jego zatrzymał się na końcu stołu, przy którym usiadł.

— Oho! — zawołał. — To coś dziwnego.

Patapon po wejściu do sali wyjął z kieszeni pistolety i położył je na stole. Te pistolety dostrzegł właśnie Germain.

— I cóż w tem dziwnego? — zapytał gospodarz.

— Gdy szuani napadli na nas, odpowiedzieliśmy na ich dwie salwy tylko jednym wystrzałem, prawda?

— Tak, dał go nieszczęsny kapral Pivois.

— W takim razie, dlaczego te pistolety są nie-nabite? — zapytał Germain, wskazując na pistolety Patapona.

— Poprostu zapomniał ich nabić, udając się w podróż — naiwnie odpowiedział żołnierz.

— Ależ w takim razie dlaczego nie zapomniał ich zabrać ze sobą, skoro już zapomniał ich nabić? — obstawał konduktor przy swoim.

— Być także może, iż wystrzelił do tych łotrów, a myśmy tego wśród hałasu nie zauważyli. Bezwątpienia wystrzelił w jednej i tej samej chwili z napadającym i odgłos wystrzałów zlał się w jedno.

Konduktor Germain należał jednak do rzędu ludzi upartych, których trudno przekonać nawet, iż dwa a dwa to cztery.

— Dziwna rzecz — mówił dalej — zszedłem po pierwszej salwie, aby odciąć postronki zabitego konia, by móżdż prędzej ruszyć w drogę, a ta pierwsza salwa była tak niespodzianą, że Patapon nie mógł strzelać jednocześnie z nią. W następstwie tego mógł to uczynić tylko podczas drugiej salwy, a w tym czasie znajdowałem się już na ziemi obok zabitego konia, i w ciemności byłbym dostrzegł błysk jego wystrzału. — Twierdzę jednak, iż tak przed salwą, jak i po niej nie słyszałem innego wystrzału, prócz tego, który dał kapral Pivois.

— W takim razie domyślam się... poprostu udał się w drogę, zapominając nabić pistolety — odparł spokojnie żołnierz.

Germain pragnął koniecznie mieć ostatnie słowo, to też wżruszył ramionami i rzekł:

— Jeżeli ten Patapon zapomniał o takiej zwykłej ostrożności, to należy przypuszczać, iż nie jest wcale tak sprytnym, jak to ogólnie sądzą.

Zaledwie wymówił te słowa, gdy drzwi damskiego pokoju otworzyły się, a na progu stanął policyant, który na pierwszy rzut oka dostrzegł, iż konduktor i żołnierz oglądają jego pistolety. Zauważywszy to, drgnął, ale podszedł bez pośpiechu do stołu i zupełnie naturalnym ruchem położył swój trójgraniasty kapelusze obok pistoletów, co zdawało się mimowolnie zwrócić jego uwagę na broń.

Popatrzawszy ze smutkiem na pistolety przez chwilę, wziął jeden z pistoletów, odciągnął kurek i szepnął dosyć głośno, aby obecni mogli go usłyszeć:

— Fatalna omyłka! Gdybym ja był nabił, wyjeżdżając, mógłbym być się pomścić na tych, którzy zabili Jakóba.

Mimo to ten smutny nastrój nie trwał długo, Patapon odzyskał znowu zimną krew, a stając po drugiej stronie stołu, rzekł:

— Teraz panowie proszę odpowiadać na moje pytania, które wam muszę zadać... Najpierw wy — zwrócił się do żołnierza.

— Do usług.

— Z jakiej stacyi jechaliście w dylizansie?

— Z Tours.

— Mieliście jechać z Tours do Langers i powrócić ztąd innym dylizansem?... Czy zauważyliście pasażera Cabaigneaux, którego szuani powlekli ze sobą?

— Nie. Siadając do dylizansu w Tours, byłem zajęty śmieszną historią, którą nam opowiadał kapral Pivois, i dlatego nie zwracałem żadnej uwagi na podróżnych.

— W takim razie nie poznalibyście pasażera Cabaigneaux?

— Przyznaję, że nie.

Po tych słowach żołnierza, po twarzy Patapona przemknął się jakby cień zadowolenia. Następnie zwrócił się do konduktora:

— Wy jeździcie z Paryża do Nantes?

— Nie, zmieniamy się. Mój kolega jedzie z Paryża do Tours, ja zmieniam go do Nantes i...

Zamiast mówić dalej, Germain urwał i uśmiechnął się.

— Dlaczego się śmiejecie?

— Dlatego, iż mówię o rzeczach, o których pan tak samo doskonale wie, jak ja.

— Jakie rzeczy?

— To, że rozpoczęłaś pan podróż nie ze mną... napatrzyłeś się pan dość na mego kolegę, gdyż jechałeś pan z nim z Paryża do Tours, gdyż według listy podróżnych, którą mam przy sobie, obywatel Patapon jedzie z Paryża.

Po tej uwadze twarz agenta ani drgnęła, wyjął spokojnie z kieszeni notes i zapisał w nim kilka słów, co niemało przeraziło Germaina.

— Oho! — pomyślał — cóż ja takiego powiedziałem, pragnąc dowieść mej domyślności?... Dlaczego on sobie zapisał tę uwagę? Co ja mogłem powiedzieć takiego podejrzanego?

— Drugie pytanie — rzekł agent.

— Pytaj pan, proszę — odparł konduktor, stając się nagle bardzo pokornym.

— Czy jesteś pan przekonany, że poznałbyś tego Cabaigneaux, którego porwali szuani?

— Naturalnie, jakby tu stał przedemną, widzę jego olbrzymie usta od ucha do ucha, żółte zęby i sowie, okrągłe oczy. O tak, poznam go wśród tysiąca ludzi, tego Cabaigneaux, możesz mi pan wierzyć, obywatelu!

Po tych słowach czoło agenta lekko się schmurzyło.

— Ah, jesteś pan przekonany, iż poznasz pan naszego nieszczęśliwego towarzysza podróży? — pytał powoli, patrząc konduktorowi prosto w oczy.

Germain pomyślał sobie, iż agent wątpi o prawdziwości jego słów i dlatego mówił dalej:

— Poznam go wśród tysiąca, powtarzam panu, obywatelu, a teraz, mówiąc otwarcie, muszę się przyznać, iż bardzo uważnie przyglądałem się wszystkim pasażerom.

— Z jakiego powodu?

— Gdy mój kolega oddał mi listę podróżnych, rzekł do mnie: „W dylizansie siedzi znakomity Patapon, który jedzie do Langers w sprawie senatora“. Wtedy, zrozumie pan, iż z ciekawości zajrzałem do dylizansu, zanim udaliśmy się w drogę.

— I dosyć mi się pan naprzyopatrywałeś?

— W szczególności panu nie. Patrzyłem na wszystkich razem, gdyż nie wiedziałem, który jest agentem, a przecież nie mogłem się zapytać, który z panów jest Pataponem. Spis mój zawierał tylko nazwiska podróżnych, ale nie wskazywał, kto nosi dane nazwisko. Gdyby ten nieszczęsny Cabaigieux naprzykład powiedział mi, że on jest Pataponem, uwierzyłbym mu, a pomyślałbym, iż pan jesteś Cabaigieux. Dopiero po przyjeździe tutaj, gdy zobaczyłem, co pan robi i jak rozkazuje, powiedziałem sobie: „Ten jest Patapon“.

— A któż wziął tego Cabaigieux w Nantes?

— Nie, on wsiadł jeszcze przy moim koledze, który zapisał go do Orleanu. Oł, przeczytaj pan w spisie: „Cabaigieux do Orleanu“. Nie powiedziano tutaj, kim on jest.

Patapon zamyślił się przez chwilę.

— Nie mogę sobie w żaden sposób przypomnieć, co on mówił w drodze — rzekł Patapon. — Nic z jego rozmowy nie wskazuje na to, kim on mógł

być, ale można się o tem dowiedzieć, gdy przejrzymy jego rzeczy.

— Czy je wynieść z dylizansu?

— Tak przynieście je tutaj.

Germain wyszedł z sali, śledzony wzrokiem Patapona, patrzącego na niego z lekkim uśmiechem, którego nie zauważyli ani gospodarz, ani żołnierz; ten ostatni usnął na stole, a gospodarza męczył zabobon, iż ma trupa pod swoim dachem.

— No, teraz my pomówimy z sobą — odezwał się Patapon, trącając go lekko w ramię.

Gospodarz drgnął nerwowo wskutek tego dotknięcia i rzekł płaczącym głosem:

— Czy trup pańskiego przyjaciela Jakóba pozostanie tutaj przez całą noc? Czyż pan nie wie, że gdy trup człowieka, który zginął gwałtowną śmiercią, przepędzi pierwszą noc po zgonie pod dachem, pod którym nie mieszkał za życia, to w następnych nocach dusza nieszczęśliwego powraca do tego domu, wydając straszne jęki?

— Ba! — zawołał Patapon, powstrzymując się tylko z trudem od śmiechu.

— Tak, tak — rzekł gospodarz, kiwając głową — wierzaj mi pan, że tak jest... Ot, nie dalej, jak sześć dni temu, przed moimi drzwiami, mój teść, który przyjechał do mnie, zabił się, wypadłszy z powozu... Byłem na tyle nieostrożnym, iż złożyłem ciało jego w moim domu, w oczekiwaniu na śledztwo, które przeprowadzono dopiero nazajutrz, i cóż?... oto już piąta noc, jak słyszę jęki duszy mego teścia.

Patapon nie znajdował się wcale w tym nastroju, aby miał czas tracić na przekonywanie starego durnia. Ujął go silnie za rękę i rzekł gniewnie:

— Odpowiadajże mi, idyoto! Jeżeli twoje odpowiedzi mnie zadowolnią, to może każe wynieść trupa.

— Pytaj pan — odparł gospodarz, cokolwiek uspokojony tą obietnicą.

— Dawno tutaj mieszkanie?

— Tu się urodziłem.

— Zналиście senatora de Riz?

— Tak, za każdym razem, gdy przyjeżdżał, wsiadał na mojej stacyi, a gdy odjeżdżał, wsiadał tutaj do dylizansu.

— Gdzie się znajduje jego zamek?

— W połowie drogi między Langers a wioską Trois-Volés.

— Ile potrzeba czasu, aby tam się dostać piechotą?

— Przeszło pół godziny.

— W zamku mieszka kto?

— Tak, rodzina senatora i służba, razem dwadzieścia osób.

— I wszyscy nocują w zamku?

— Teraz nie, gdyż naprawiają teraz mieszkania dla służby, przeto starszy ogrodnik, stangret i dwaj jego pomocnicy udają się na noc do Trois-Volés.

Gdyby głowa gospodarza mniej była nabita historyjami o przybyszach z tamtego świata, to mógłby być ze zdumieniem przyglądać się pośpiechowi, z jakim agent sobie to wszystko notował, i dziwić się temu, że nie pytał wcale ani o napad na dylizans, ani o obywatela Cabaigneaux. Przeciwnie, Patapon tak naglił na odpowiedzi szybkie, jakby się chciał wszystkiego dowiedzieć o zamku, zanim powróci konduktor.

— Zamek de Riz stoi sam?

— Tak, ma tylko jednego sąsiada. Oba majątki stykają się, ale parki ich są tak obszerne, że pałace znajdują się w dość wielkiem oddaleniu od siebie.

— Do kogo należy ten sąsiedni majątek?

W tej chwili powrócił konduktor i odpowiedzi na to pytanie nie było.

— Nie udało się, obywatelu Pataponie — rzekł, wchodząc — nie uda nam się dowiedzieć, kim był Cabaigneaux, gdyż napróżno przeszukałem cały dyliżans; nie miał żadnych rzeczy z sobą.

— To bardzo przykra rzecz — odpowiedział agent.

— Teraz już północ, czy ja mogę pójść spać? — zapytał Germain.

— Możesz.

Nagle Patapon powstrzymał go.

— Zatrzymaj się jeszcze chwilę! Powiedz mi, co zrobiłeś z trupem zabitego Bernarda?

— Jest w stodole. Czy może go także tutaj przynieść?

Usłyszawszy to pytanie, gospodarz aż podskoczył ze zgrozy i urywanym głosem rzekł:

— Nie, nie, jeszcze to? W ten sposób będą u mnie trzy dusze jęczały po nocach!... Błagam was, obywatelu!...

— Nie obawiaj się — odparł Patapon ze śmiechem — przeciwnie, chcę cię uwolnić od trupa Jakóba i przenieść go także do stodoły, do zwłok drugiego nieboszczyka.

Zdawało się, iż jakiś ogromny ciężar zwałił się z piersi gospodarza, gdyż zaczął krzyczeć głośno:

— Dzięki, dzięki, znakomity Pataponie!

— U ciebie pozostanie dusza twego teścia, ale na to ja już nic poradzić nie mogę — odpowiedział ze śmiechem Patapon.

— Tak, ale ja zawsze byłem dobrym zięciem, nie żądałem nigdy posagu jego córki, który nieboszczyk zapomniał mi wypłacić. Mam nadzieję, iż dusza jego przypomni sobie ten mój dobry postępek i pozostawi mnie w spokoju.

Rzekłszy to z głębokim przekonaniem, gospodarz udał się z konduktorem do pokoju, w którym leżał trup Jakóba.

— Spojrzno pan — rzekł konduktor, gdy powrócili ze zwłokami na noszach.

— Co takiego? — zapytał agent.

— Dziwna rzecz... pański przyjaciel ma wszędzie poodpruwaną podszewkę.

— To jest bardzo możliwem, gdyż nieszczęśliwy bardzo mało dbał o siebie — mówił Patapon z całym spokojem.

Gdy konduktor i gospodarz powrócili do sali, przez otwarte drzwi doleciał ich jakiś głuchy szum i hałas.

— Co to takiego? — zapytał pospiesznie Patapon, który najwyraźniej rozróżnił tentent kopyt końskich na szosie.

— Najprawdopodobniej będą to żandarmi z Tours — zauważył gospodarz.

— Nareszcie! Lepiej późno, niż nigdy! — zawołał król szpiegów, podchodząc do miejsca stołu, na którym leżały pistolety.

— Jakiś dziwny człowiek — szepnął pocichu konduktor do gospodarza.

— A co? — zapytał ten tym samym tonem.

— Gdy było niebezpieczeństwo, pistolety nie były nabite, a teraz, gdy nadjeżdżają żandarmi, popatrzcie, on nabija pistolety!

Nabite pistolety utonęły w kieszeni Patapona, a w tej chwili do sali wpadł brygadyer żandar mów.

— Nie mogę was pochwalić za wasz pospiech i zamieszczę to w moim raporcie, uprzedzam was — rzekł surowo król szpiegów.

Najgorętszem pragnieniem brygadyera było dostanie się do żandar mów paryskich, ale sposób, w jaki go przyjęto, był złym początkiem do pozyskania sobie Patapona, jako protektora, którego pochwała mogła posłużyć do spełnienia tego marzenia.

— Ilu ludzi przywiodłeś pan z sobą? — zapytał Patapon.

— Dwunastu, ale jutro rano będzie nas daleko więcej.

— Dlaczego jutro rano? — zapytał pośpiesznie Patapon, w którego głosie czuć było jakiś niepokój.

— Dlatego, iż poszlę rozkaz do kilku brygad nad Loarą, aby się stawiły w Langers.

Po tej odpowiedzi twarz Patapona wypogodziła się.

— Nie posyłaj pan rozkazu, tych dwunastu ludzi dla mnie wystarczy. Prócz tego jutrzejsze posiłki przyjdą zapóźno, a ja lubię działać szybko. Muszę zaraz przeprowadzić pierwsze śledztwo w zamku de Riz... Kto wie, może napad na dyliżans ma jakiś związek ze zniknięciem senatora... Teraz, gdy mój przyjazd stał się już wiadomym, nie mogę pozwolić na to, aby jakiś drugorzędny przestępca ukrył w zamku te wskazówki, które mogą mi się bardzo przydać. Dlatego pojedziemy też natychmiast!

Zwrócił się następnie do gospodarza:

— Prędej, każcie mi natychmiast osiodłać waszego najlepszego konia!

XI.

Gdy uciął tentent kopyt koni żandarmów, którzy pojechali z Pataponem, Germain stał się znowu dawnym upartym niedowiarkiem.

— Żegnaj mi, panie szpiegu!... Nareszcie pozbyliśmy się tego nieznośnego człeka — rzekł do gospodarza.

— Oho, pozbyliśmy się, ale nie ze wszystkim. Przecież chyba powróci, aby pochować swego przyjaciela Jakóba.

— Ach tak, człowieka z poodpruhaną podszewką... Nie wiem dlaczego, ale mi się zdaje, że ten Patapon nie tak bardzo znowu troszczy się o swego nieboszczyka przyjaciela, jak to okazać pragnie... Patrzyłem na niego bacznie, gdy się rozczulał — nad nieszczęśliwym losem Jakóba, głos drżał mu wprawdzie, ale w oczach nie widziałem łzy. A zwróciliście uwagę na jego oczy?

— Nie, nie przypatrywałem mu się wcale — odpowiedział ostrożny gospodarz.

— Jakto? Nie patrzyliście na niego, gdy was się wypytywał w chwili, kiedy wychodziłem po kuferek tego Cabaigneaux?

— Nie wypytywał mi się o nic, mówiliśmy o rozmaitych rzeczach, a nawet zapytał się raz, czy tutejsze powietrze zdrowe jest dla niemowląt.

Germain roześmiał się.

— Oho! Widzę mój kochany, iż wam chce się spać, gdyż sami nie wiecie, co mówicie.

— To prawda — odpowiedział gospodarz, zadowolony, iż nadarza mu się sposobność uwolnienia się od pytań konduktora.

— W takim razie idźcie zaraz spać... już pierwsza.

— Nie mogę, bo zaraz przyjedzie dylizans, dążący z Nantes do Paryża. Możesz nim wrócić do Tours.

— Istotnie, doskonała to myśl! Trzeba także zbudzić żołnierza, który chrapie tam w kącie, niechże i on skorzysta z tej sposobności. Istotnie pojedę. Pataponowi moje zeznania już będą niepotrzebne. Prócz tego zamiast mnie pozostanie tutaj moja postrzelana karetka, a jeżeli mu będę do czego potrzebny, to przecie może mnie zawezwać. Będzie to dla mnie w każdym razie przyjemniejszym, niż kisnąć tu, zanim mu się spodoba powrócić.

— W takim razie zbudźcie żołnierza, gdyż słyszę, że dylizans już się zbliża.

Istotnie dał się słyszeć turkot kół i wkrótce dylizans zatrzymał się przed stacją. W pięć minut zmieniono konie i powóz ruszył znowu w drogę, uwożąc z sobą Germaina i żołnierza.

Pozostawszy sam, gospodarz odetchnął z wrażeniem ulgi. Pozbył się nareszcie policyi, żandarmów i świadków, którzy mu porządnie dokuczali.

Już się zabierał do snu, gdy nagle wśród ciszy nocnej rozległ się cichy jakiś jęk.

— Dusza mojego teścia — bąknął drżącymi ustami i zatrzymał się wpół drogi.

W tej chwili dał się słyszeć drugi jęk. Biedaczysko był w takim strachu, że nie był w stanie zdać sobie sprawy, skąd pochodził ten jęk, który zresztą był tak słaby, iż można go było słyszeć tylko w cichej nocy.

— Nie żądałem posagu!!!... — szepnęła nareszcie stary głupiec i jak długi padł zemdłony na ziemię.

.....

Jakieś uczucie chłodu przyprowadziło nareszcie gospodarza do przytomności. Otworzywszy oczy, ujrzał nad sobą Germaina, trzymającego jeszcze w ręku karafkę z wodą, którą mu lał na głowę.

— Zemdleliście? — pytał konduktor.

— Tak, to ze zmęczenia, powstałego ze wzruszeń tego wieczora — odparł tchórz, nie mając odwagi przyznania się do właściwego powodu swego zemdlenia.

Ale Germain był sam zanadto wzburzony, aby się mógł długo zajmować kimś innym.

— Dziwicie się, że powróciłem? — zapytał.

— Tak, istotnie. Czyżby drugi dylizans także wstrzymano w drodze?

— Wcale nie!

— Myślałem to dlatego, iż jesteście jakiś blady.

— Jest też i z czego być bladym! Gdybyście mogli wyobrazić sobie, czego ja się dowiedziałem! Nie odgadnicie, dlaczego pozostawiłem dylizans w Louigny, a sam powróciłem konno, na pocztowym koniu, do Langers!

— Powiedzcie mi, a potem odgadnę — odpowiedział gospodarz, który z ciekawości i z powodu zimnego tuszu przyszedł już zupełnie do siebie.

Germain zaczął opowiadać.

— Skoro tylko wsiadłem do dylizansu, przed dwiema godzinami, naturalnie zacząłem zaraz opowiadać podróżnym, co się stało. Opowiadając o napadzie, potrąciłem także i o agenta Patapona, który udał się w pościg za zbrodniarzami. Wtedy mój sąsiad zawołał natychmiast:

— A!... Łotry nie ujdą daleko, skoro za nimi pognał król szpiegów! To sprytna bestya!... Słyszałem jego zeznania w procesie szajki rozbójniczej z Beau-François, którą wyłowił... Ten olbrzym był poprostu zachwycającym!

— Dlaczego nazywasz go pan olbrzymem? — zapytałem mego sąsiada.

— Dlatego, że jest bardzo wysokiego wzrostu.

— Ależ gdzie tam! Jest on zwykłego wzrostu.

— Daj pan pokój — odparł mój sąsiad — zapewniam pana, że to prawdziwy olbrzym. Dostyc się na niego napatrzyłem w sądzie. Wydaje mi się, iż widzę jeszcze przed sobą jego ogromne usta od ucha do ucha, żółte zęby i okrągłe, sowie oczy.

Zrozumiecie chyba, jak byłem przerażony, usłyszawszy ten opis, który najzupełniej zgadzał się z wyglądem obywatela Cabaigneaux, którego szuani wywlekli z mojego dylizansu... rozumiecie?

— Nie, głowa tak mi trzeszczy, iż wydaje mi się, że zwaryuję — przyznał się gospodarz, który istotnie był bardzo wzburzony, słuchając tego opowiadania.

— Jakto?! Nie rozumiecie? Ten, którego my braliśmy za Patapona, jest poprostu łotrem, który po pochwyeniu przez bandytów Patapona, odgrywa teraz jego rolę!

— To niemożliwe, nie odjechałby w takim razie ztąd z żandarmami do zamku de Riz, nie chciałby pewnie narażać się na niebezpieczeństwo.

— Dlaczegożby nie? W jakim kierunku działa, nie wiem, może to on ukradł senatora, którego pomieszkanie w tej chwili ogląda? Widzieliście, jak spieszenie działał i nie chciał, aby posłano po brygady żandarmeryi nad Loarę... Teraz rozumiem to doskonale... łotr powiedział sobie najwyraźniej: „Mogę wywieść w pole dwunastu żandarmów, ale gdy ich będzie więcej, to ktoś może się dowiedzieć całej prawdy“.

Germain umilkł i roześmiał się.

— A w każdym razie jest to zabawnem — dodał — iż ten łotr uprawia swoje rzemiosło pod opieką żandarmów.

Gospodarz nie uważał tego wydarzenia za tak bardzo pobudzające do śmiechu.

— W takim razie — zawołał — obowiązek nakazuje nam udać się natychmiast do zamku i uprzedzić brygadyera, gdyż inaczej mogą nas obwinić o współdziałanie z tym łotrem.

— Dlatego też tu powróciłem.

— Przyczynimy się do jego aresztowania właśnie w chwili, w której się jak najmniej tego spodziewa.

— Ehe! — odpowiedział Germain. — Minęły już dwie godziny od chwili, gdy odprowadził ze sobą brygadę. Dwadzieścia razy już mógł zrobić swoje, a potem drapnąć.

— Być może, że jeszcze zdążymy — odpowiedział gospodarz, który bał się piekielnie kompromitacji.

Obaj zaczęli potem pędzić, co sił starczyło, ale po stu krokach może Germain zatrzymał się i ledwie mogąc złapać oddech, zwrócił się ze śmiechem do swego towarzysza:

— Wy ciągle jeszcze sądzicie, że ten łotr przybył tutaj jedynie w tym celu, aby się dowiedzieć, czy tujsze powietrze zdrowe jest dla niemowląt?

— Chodźmy prędzej! — krzyknął gospodarz, uważając, iż na takie pytania nie odpowiada się.

Biegli jeszcze z dziesięć minut, gdy Germain znowu się zatrzymał.

Tym razem już się nie śmiał.

— Bierz to dyabli! — rzekł.

— Co się stało?

— Przyszła mi do głowy jedna myśl...

— Jaka? Mówcie prędzej i pójdziemy dalej.

— Rozumiem teraz, dlaczego ten rzekomy Patapon, gdy wyszedł z dylizansu, miał nienabite pistolety.

— Dlaczego?

— Dlaczego? Dlatego, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, on zabił dwóch podróżnych, którzy jechali z nim razem.

Zamek de Riz, do którego zdążali, był wielkim, wspaniałym gmachem; przed domem znajdowało się obszerne podwórze, oddzielone od drogi wysokimi sztachetami, na prawo i na lewo znajdowały się pomieszczenia dla służby, które w tej chwili naprawiano, co zmuszało trzech służących do udawania się na nocleg do Trois-Volés.

W głębi podwórza wznosił się wspaniały zamek senatora, a za zamkiem znajdował się obszerny park.

Przybiegli zadyszani do zamku i spostrzegli przy świetle księżyca przywiązane do sztachet konie żandarmów i konia pocztowego, wziętego u gospodarza.

— Nie spóźniłiśmy się jeszcze, nasz łotr wpadnie w pułapkę! — szepnął gospodarz.

Przebiegli pospiesznie przez podwórze i wpadli na ganek, gdzie zastali dwóch żandarmów.

— Nie wolno! — odezwał się jeden z żandarmów.

— Mamy powiedzieć brygadyerowi coś bardzo ważnego! — zawołał gospodarz, pragnąc się koniecznie dostać do wnętrza.

— Nie pozwolono wpuszczać — powtórzył żandarm. — Brygadyer ma teraz inne zajęcie, a zresztą, cóż możecie mu powiedzieć? Obywatel Patapon nie lubi żartować i pragnie, aby go bezwzględnie słuchano, dlatego też brygadyer nie odstępuje go ani na krok.

— Właśnie z powodu tego obywatela Patapona chcemy pomówić z brygadyerem.

— Powtarzam wam, że jest zajęty.

I istotnie brygadyer nie mógł przyjąć tych, którzy gwałtem dobijali się do niego. Oddał się w zupełności do rozporządzenia agenta, pragnąc przy pomocy usłużności zatrzeć niemiłe wrażenie, które wywołał, spóźniwszy się. Dlatego też wszystkie rozkazy Patapona wypełniał z pochwały godną gorliwością, jak najdokładniej.

— Wielu pan masz ludzi? — zapytał Patapon, gdy zsiadli z koni.

— Dwunastu.

— Dobrze. Dwóch postawisz pan na warcie na ganku zamku z poleceniem, aby nie wpuszczali i nie wypuszczali nikogo.

Pozostało dziesięciu żandarmów.

Zbudzony tententem kopyt końskich wyszedł na przeciw nocnych gości służący.

— Ile was służby nocuje dzisiaj w zamku? — zapytał Patapon.

— Pięć osób tylko z powodu naprawek.

— Brygadyerze — rozkazał agent — weź pan ośmiu ludzi i idź za tym lokajem, który zaprowadzi was do pozostałych czterech. Przy każdym z nich ustawisz pan po dwóch żandarmów z rozkazem, aby nie wypuszczali żadnego z nich i nie pozwalali nikomu z nimi rozmawiać. Niech zaczekają, dopóki sam nie przyjdę. Idź pan, a gdy będziesz wracał do mnie, przyprowadź pan z sobą tego lokaja.

Pozostało tylko dwóch żandarmów.

W pięć minut potem wrócił brygadyer z lokajem.

— Kto jeszcze jest w domu? — zapytał Patapon.

— Pani i jej siostra.

— W takim razie, mój kochany, zbudzisz te panie i zawiadomisz je o przybyciu agenta obywatela ministra Fouchégo, serdecznego przyjaciela twego pana. Ruszaj, idę za tobą.

Usłyszawszy nazwisko Fouchégo, sługa skłonił się nisko i poszedł przodem.

— Brygadyerze, choć pan za nami z pozostałymi dwoma żandarmami! — rozkazał król szpiegów.

W sieni na pierwszym piętrze zatrzymali się wszyscy, aby poczekać na powrót lokaja, który miał zawiadomić panie o tak późnej, a niespodzianej wizycie.

Dla lokaja było to bardzo łatwym, gdyż panie już nie spały, przestraszone hałasem i łażeniem żandarmów po kurytarzach zamku, gdyż żandarm, aczkolwiek niewiadomo jakby się starał, to przecież nie umie chodzić, jak mysz.

Nazwisko ministra było dostateczną przepustką dla tego, który przybywał na pomoc dwom nieszczęśliwym niewiastom. Zrozumiały doskonale, iż musiała to być jakaś bardzo ważna przyczyna, skoro pojawił się o tak późnej godzinie.

— Pani czeka na pana — rzekł lokaj, wychodząc z pokoju, zajmowanego przez obie panie.

— Dobrze — rzekł Patapon — a teraz brygadyerze, wyslij pan razem z nim dwóch żandarmów do jego pokoju. Niech go pilnują, dopóki ja nie przyjdę.

Pozostał tylko brygadyer.

— Chodźmy — rzekł agent do brygadyera, który bez wahania udał się za nim.

Mieszkanki zamku przyjęły gości w budoarze, umieszczonym między ich sypialniami.

Panie były już przed dwoma dniami uprzedzone o przybyciu na miejsce agenta, a obecność brygadyera żandarmów wymownie świadczyła o tem, iż nie mają do czynienia z jakimś ezustem.

Patapon skłonił się bardzo uprzejmie i przeproszał, że pojawia się tak późno, ale jakieś przeczucie kazało mu działać z nadzwyczajnym pośpiechem.

W odpowiedzi na to mieszkanki zamku oświadczyły, iż gotowe są udzielić mu wszelkich objaśnień, które mogłyby mu ułatwić poszukiwania.

Agent skłonił się z uśmiechem, mówiąc, iż uprzejmość, z którą go przyjmują, ośmiela go do postawienia jeszcze jednej prośby.

— Prosimy — brzmiała odpowiedź.

— Mam wszelkie powody do przypuszczenia, że ktoś ze służby brał udział w pochwyceniu senatora de Riz, dlatego też przesłucham całą służbę. Najważniejszą zaś dla mnie rzeczą jest zrewidowanie pokoju, który zajmował senator w dniu jego uprowadzenia. Tam powinno się znajdować wskazówki, które uszły uwagi innych, a które według mego przekonania, będę mógł odnaleźć... W czasie jednak, gdy będę badał służbę, być bardzo może, iż winowajca dostanie się jakimś sposobem do tego pokoju i zniszczy to, co może go skompromitować.

— Aieź w tym pokoju pozostało wszystko, jak było, a spodziewając się pańskiego przyjazdu, pozamykałyśmy wszystko na klucz.

— A czyż niema tego klucza?

Brygadyer słuchał tego wszystkiego, nie mówiąc ani słowa, ale pragnął w jakikolwiekby sposób okazać swoją przychylność dla agenta policyi. Dlatego też odezwał się:

— Obywatelu Patapon, jakimże sposobem winowajca może dostać się do pokoju, skoro każdy ze służących znajduje się pod strażą dwóch moich żandarmów?

Król szpiegów odwrócił się szybko.

— Brygadyerze — rzekł sucho i pogardliwie — na drugi raz pamiętaj pan pomyśleć, nim wypowiesz jakie słowo... inaczej zostaniesz durniem... Czyż pan zapomniałeś, że pięć osób ze służby nie nocuje w zamku, a jeżeli winowajca znajduje się wśród nich, to łatwo może się zdarzyć, iż uprzedzony o moim przyjeździe przybiegnie tutaj ze wsi i wkradnie się do pokoju, aby w nim dokonać tego, w czem mu właśnie chcę przeszkodzić?!

Wobec takiej odpowiedzi brygadyer ze wstydem opuścił głowę; żałował swego niezręcznego odezwania się.

— Czego więc pan sobie od nas życzy? — zapytała jedna z , ań.

— Poprosiłbym panie o pozostanie w tym pokoju, dopóki nie ukończę badania służby.

— Dobrze, zamknijemy się i nie otworzymy nikomu, dopóki pan nie powróci.

Słowa te wywołały na twarz szpiega wyraz wielkiego zadowolenia, to też skłonił się głęboko na znak wdzięczności. Nagle zadowolenie jego zamieniło się w niepokój.

— Obawiam się o jedno — rzekł — ten, którego podejrzewam, może być człowiekiem śmiałym, a widząc, iż ma do czynienia z kobietami...

Patapon nie dokończył, brygadyer zrozumiał go i pragnąc naprawić swoją omyłkę, odezwał się:

— Pragniesz pan, abym pozostał z temi paniami?

— Masz pan słusność — odparł agent łaskawie — ta myśl okupuje pańską niedawną opieszałość. A więc rzecz postanowiona, pan będziesz się starał o bezpieczeństwo pań, a ja tymczasem udam się na górę badać służbę. Główna rzecz, abyś pan nie wychodził ani na chwilę, gdyż pańska nieobecność, choćby najkrótsza, może mieć bardzo poważne następstwa.

Następnie zwrócił się do pań:

— Czy panie się na to zgadzają?

Zamiast odpowiedzi panie powstały i udały się do pokoju senatora w towarzystwie agenta i brygadyera.

— Teraz proszę cierpliwie czekać mojego powrotu, moje panie, a co się tyczy pana, brygadyerze, to zrozumiałeś mnie pan dobrze?

— Bądź pan spokojny, nie ruszę się ani na krok z miejsca, dopóki pan nie powrócisz.

— Dobrze, postaram się załatwić jak najprędzej i powrócę tutaj — rzekł agent i skłoniwszy się nisko paniom, wyszedł, zabierając ze sobą świecę.

Zostawszy sam w sieni, Patapon roześmiał się lekko i rzeczywiście miał się z czego cieszyć: w zamku, w którym mieszkało siedm osób, znajdowali się brygadyer i dwunastu żandarmów; udało mu się tak urządzić, iż mógł obejść cały dom od góry do dołu, nie narażony na niczyje spojrzenia.

Uzyskawszy w ten sposób swobodę działania, Patapon zamiast rozpocząć badanie służby, udał się

na dół i wszedł do małego salonu. — Tutaj postawił świecę na stole i wsuwając rękę do kieszeni, szepnął:

— Teraz przypatrzmy się planowi Bernarda...

Plan ten był narysowany na brudnym, zatłuszczonym papierze, który nasz agent rozwinął z uczuciem wstrętu.

— No, Jakób nie bardzo czystą miał podszewkę, papier przeszedł cały tłuszczem.

Przez kilka chwil przypatrywał się uważnie planowi, a następnie ujął świecę i podszedł do ściany, której się zaczął pilnie przypatrywać.

— Senator tutaj schował to, co nam jest potrzebnem — szepnął do siebie z uśmiechem.

Minęła przeszło godzina od chwili, w której brygadyer pożegnał się z Pataponem. Stał dotychczas bez ruchu prawie na swoim stanowisku, oparty o drzwi, zaledwie mając odwagę oddychać.

Obie panie, siedzące w wygodnych fotelach, zdrzemnęły się i pod opieką policyj kończyły przerwany sen.

Nagle wśród ciszy nocnej rozległ się odgłos kroków.

Bystry słuch brygadyera natychmiast poznał kroki żandarma.

— Który z tych gałganów ośmielił się opuścić swoje stanowisko? — pomyślał.

Tymczasem słyhać było, jak żandarm chodził tu i tam, otwierał i zamykał drzwi, brygadyer jednak, słuchając danego mu rozkazu, nie miał odwagi wyjść z pokoju, aby się zapytać, co się dzieje.

— Szuka mnie — pomyślał.

Nareszcie kroki zbliżyły się do pokoju i do drzwi ktoś lekko zapukał.

— Kto tam? — zapytał brygadyer.

— To ja, Godu.

— Dlaczego zszedłeś ze stanowiska?

— Przyszło dwóch ludzi, którzy chcą się z wami rozmówić... Silvain i ja powiedzieliśmy im, iż nie wolno nikogo wpuszczać, ale tak uporczywie domagali się rozmowy z panem, że postanowiłem zawiadomić was o tem.

— Nie mogę zejść na dół przed powrotem obywatela Patapona, który mi kazał tutaj czekać.

— Ale ci ludzie pragną się widzieć z wami właśnie z powodu tego obywatela Patapona i zapewniają, że ten agent jest zwykłym oszustem, a jeżeli będziecie go słuchali dalej, to będziecie...

Szacunek dla przełożonego nie pozwolił żandarmowi dokończyć rozpoczętego zdania.

— Co będziecie?

— Durniem, brygadyrze... Wybacz mi pan to wyrażenie. Tak, ci ludzie mówią, że wasz Patapon nie jest prawdziwym Pataponem, że was poprostu oszukuje... zapewniają, iż w tej sprawie mają wam wiele do powiedzenia.

Aczkolwiek żandarm bywa czasami łatwowiernym, w głębi duszy jego ukrywa się zawsze pewna doza podejrzliwości. Ta podejrzliwość zbudziła się teraz w duszy brygadyera, mimo to jednak nie śmiał otwarcie postąpić wbrew otrzymanemu rozkazowi i postanowił połączyć swój obowiązek z obawą, że go oszukano.

— Przeprowadź tu po cichu tych ludzi — rzekł — opowiedzą mi tutaj wszystko, co chcą powiedzieć, ale postaraj się, aby się nie spotkali z agentem.

— Dobrze — odpowiedział Godu odchodząc.

Wyobrażał sobie, że idzie jak sylf, ale ciężkie buty przeszkadzały mu w szlachetnym zamiarze chodzenia cicho.

W dwie minuty potem żandarm powrócił z gospodarzem i z Germainem.

Na ich widok brygadyer wyszedł do sieni.

— Dlaczego to ja mam zostać durniem? — zapytał z gniewem.

Wtedy konduktor wystąpił, jako odważniejszy.

— Dlatego, że pozwalasz pan się oszukiwać łajdakowi, który jest takim samym agentem policyi jak i ja... Prawdziwego agenta ukradziono z dylizansu... Kto, co, niewiadomo. Ten, który występuje pod jego nazwiskiem, nie jest Pataponem, a kim on jest, nie wiem, ale gotów jestem przysiąc na to, iż on zabił swych dwóch towarzyszków podróży, aby usunąć świadków, którzyby mu mogli przeszkadzać.

— Do dyabła, czy jesteście przekonani o tem, co mówicie?! — zapytał trochę zmieszany brygadyer.

— Tak. Dzisiaj wieczorem spotkałem się z człowiekiem, który zna z widzenia króla szpiegów; opisał mi jego wysoki wzrost, jego wielkie usta, żółte zęby i okrągłe, sowe oczy, a to właśnie zgadza się z rysopisem człowieka, którego ukradli szuani... Sam widziałem jego usta, zęby i oczy, i gotów jestem dać głowę za to, że prawdziwego Patapona ukradziono... Człowiek, który wami rozporządza, to z pewnością Cabaigneaux, a przynajmniej tak się nazwał, gdy wsiadał do dylizansu w Orleanie... Po katastrofie zaczął odgrywać rolę agenta, mówiąc, iż Cabaigneaux został ukradziony... Nikt mu nie mógł zaprzeczyć, gdyż zabił swoich dwóch towarzyszków podróży.

— To, co mi teraz opowiadacie, jest zbyt ważnem, ale co on mógł mieć za interes w tem, aby zgładzić ze świata swoich dwóch towarzyszków podróży? — zapytał brygadyer, który ciągle jeszcze się wahał.

— Co do Bernarda nie umiem dać wyjaśnienia, ale co do drugiego, to zupełnie to rozumiem, gdyż był on pomocnikiem agenta i nazywał się Jakób.

— Jesteście o tem przekonani?

— Tak, sam to powiedział, gdy wynoszono umierającego z dylizansu; rzekomy Patapon nazwał go po nazwisku... Biedaczysko już umierał i dlatego nie mógł

rozdzielić, kto z nim mówi, i wymówił jakieś słowa, których z oddali nie mogłem zrozumieć.

— To ciekawa rzecz — rzekł brygadyer.

— Ale ja słyszałem te słowa — wmięszał się do rozmowy gospodarz. — Umierający rzekł do tego, którego uważał za swego kolegę: „Patapon, spal wszystko!“.

— Co to może znaczyć? — zapytał brygadyer, który, jak każdy porządny żandarm, przywykł słuchać, nigdy niczego nie rozumiejąc.

Konduktor przybył mu z pomocą.

— Ci dwaj agenci przysłani byli tutaj z planem, który rzekomy Patapon chce unicestwić, pozbywszy się ich. Nie ulega wątpliwości, iż celem ich wyprawy był ten zamek, i łotr, chcąc się dostać do niego bez przeszkód, był na tyle sprytnym, iż zmusił żandarmów do towarzyszenia mu tutaj. Samo się przez się rozumie, iż nikt nie będzie miał nieufności do człowieka, któremu towarzyszą żandarmi.

Brygadyer wyprostował się, gdyż nawet w jego głowie zaczęło się coś rozjaśniać.

— Do diabła! — zawołał. — Jeżeli mówicie prawdę, to ten łotr miał dosyć czasu, aby zrobić wszystko, czego mu było potrzeba. Już przeszło od godziny przechadza się po zamku, urządziwszy się w ten sposób, iż ani ja, ani moi ludzie nie mogą mu w niczem przeszkodzić.

— Teraz, skoro was uprzedziłem, brygadyerze — kończył konduktor — czyń pan, co się panu podoba.

Godu, żandarm, który przyprowadził gospodarza z konduktorem, odezwał się:

— Jeżeli ten, który przyjechał z nami, jest istotnie Pataponem, to powinien znajdować się na górze i badać służbę. Możeby tam pójść?

— Doskonała myśl!... Idź!

W trzy minuty potem żandarm powrócił... Nie widział nikogo.

Brygadyer ryknął z wściekłości.

A więc na ziemi istnieli ludzie na tyle zuchwali, aby sobie drwić z żandarmów!!!

— Może jeszcze zdołacie schwytać go, gdyż koń jego przywiązany jest do sztachet — zauważył Germain.

Brygadyer nareszcie postanowił działać.

— Idź czempredzej zawiadomić resztę, a my tymczasem udamy się na polowanie — rzekł do żandarma.

Wkrótce na schodach dał się słyszeć wielki hałas... to biegli żandarmi w towarzystwie uwolnionej służby.

— Znajdźcie mi tego łotra, który ośmielił się okryć hańbą żandarmów! — wrzeszczał brygadyer, jak opętany.

Przeszukano starannie drugie i trzecie piętro, ale napróżno. Gdy nakoniec wszyscy udali się na dół, pozostały na warcie żandarm zapytał się ich, kogo szukają.

— Szukamy tego agenta policyi... widziałeś go? — zapytał brygadyer.

— Tak, przed dziesięciu minutami przeszedł obok mnie, mówiąc: „Pilnuj dobrze, kochanku, chcę sobie obejrzeć podwórze i pomieszczenia służby“.

— Zkąd wyszedł?

— Słyszałem, jak otwierał dwoje czy troje drzwi na parterze, ale do sieni wyszedł z drzwi, prowadzących do małego saloniku.

Żandarmi i służba wpadli do tego saloniku, w którym na stole paliła się jeszcze świeczka, pozostawiona przez rzekomego Patapona.

W środku jednej ze ścian otwarta była skrytka, obita dotąd tapetami, przysłaniającymi ją.

Nikt ze służby nie wiedział o istnieniu tej skrytki, która w tej chwili była zupełnie pustą.

— Nie słyście, aby kto w tej chwili odjeżdżał na koniu? — zapytał brygadyer żandarma.

— Nie.

— W takim razie łotr jeszcze nie zdążył uciec, a my go pochwycimy! — zawołał z ożywieniem brygadyer.

W tej samej chwili przy sztachetach rozległ się tentent kopyt końskich, a odgłos ich świadczył, że koń pędził w kierunku Langers.

— Łotr ucieka!... Chwytajcie go!... — zawołał brygadyer.

Wszyscy żandarmi rzucili się do koni, skoczyli na nie i pomknęli... Po chwili wszyscy znaleźli się na ziemi... wszystkie popręgi były poprzecinane.

— Siadajcie na oklep! — wrzasnął brygadyer, pniąc się z wściekłości.

Żandarmi usłuchali natychmiast rozkazu i popędzili za zbiegiem; słyszeli jeszcze tentent kopyt jego konia.

Dopędzili szybko do Langers, a przed bramą stacyi pocztowej zastali konia spienionego wskutek szalonego galopu. Strzemiona były przywiązane na górze do siodła, a na grzbiecie konia dogasała jakaś czarna masa. Był to dogorywający kawałek hubki.

Żandarmi ścigali konia bez jeźdźca; koń pędził szalenie wskutek tego, iż hubka sprawiała mu nieznośny ból.

Wobec tego podstępu oszukany brygadyer nie chciał dać za wygraną, i postanowił powrócić do zamku.

Zamek przeszukano na nowo, ale zupełnie bezowocnie. Przez następne dwie doby przeszukiwano całą okolicę przy pomocy włościan, których za-

chęcono do tego przyrzeczeniem wysokiej nagrody.

Po zbiegu wszelki ślad zaginał.

XII.

Co się stało z tym, którego żandarmi poszukiwali z taką gorliwością?

Przeglądał zawartość skrytki, którą mu się udało znaleźć, gdy nagle usłyszał głosy, które zamąciły ciszę nocną.

— A to co takiego? — pomyślał, podchodząc na palcach ku drzwiom, wychodzącym na schody, gdzie właśnie toczyła się rozmowa.

Usłyszał, jak konduktor i gospodarz rozmawiali z żandarmem, pragnąc się koniecznie widzieć z brygadyrem, aby mu powiedzieć, że oszukał go rzekomy Patapon.

— Do licha! Może być źle! — pomyślał nieznamy. — Najwyższy czas wynosić się stąd!

Schował do kieszeni papiery i powrócił znowu do drzwi; usłyszał, jak żandarm, który chodził na górę do brygadiera, zeszedł na dół i rzekł do dwóch przybyłych:

— Brygader nie może zejść ze swego stanowiska, ale zaprowadzę was do niego, a wy opowiecie mu swoją historię.

Wszyscy trzej udali się potem po schodach na górę.

— Nie minie ani dziesięciu minut, a powstanie tutaj istne piekło — pomyślał rzekomy agent, otwierając drzwi do sieni.

Żandarm, który pozostał, skłonił się i spokojnie wypuścił agenta, który rzekł do niego w przechodzie:

— „Pilnuj dobrze, kochanku, chcę sobie obejrzeć podwórze i pomieszczenia dla służby“.

Następnie powolnym krokiem, jak człowiek, który się niczego nie obawia, doszedł do sztachet, gdzie był przywiązany jego koń i konie żandarmów.

— Trzeba wysłać tych wszystkich durniów w ślad za moim Rosynantem — rzekł do siebie — ale trzeba to urządzić tak, aby go nie tak prędko schwytali.

Następnie poprzecinał nożem wszystkie popręgi u siodła żandarmskich i odwiązał swego konia, którego skierował w stronę Langers.

Przy pomocy krzemienia zapalił kawałek hubki i położył ją na grzbiecie konia.

— Gdy ogień chwyci jego sierść, ból zmusi go do szalonego biegu — pomyślał nieznajomy.

Nie czekając na następstwa swej działalności, powrócił szybko na podwórze, i skradając się wzdłuż ścian, doszedł do parku, w którym się schował, czekając, co z tego wszystkiego wyniknie.

— Szczęśliwej drogi! — rzekł do siebie rzekomy agent, widząc żandarmów, którzy bez siodła zaczęli ścigać konia bez jeźdźca.

Chciał następnie powrócić na drogę, ale przed zamkiem stała jeszcze służba, konduktor i gospodarz, którzy mogli go spostrzedz i puścić się za nim w pogoń.

— Nie — postanowił. — W tej chwili szosa jest dla mnie zanadto niebezpieczna. Trzeba wybrać inną drogę.

Przypomniał sobie zamek, o którym mówił mu gospodarz w czasie badania. Zamek ten otoczony był obszernym parkiem, a oddzielony był od parku Klemensa de Riz tylko murem.

— Ten stary dureń nie powiedział mi, do kogo należy ten zamek, ale wszystko jedno, nie znajdę się tam w większym niebezpieczeństwie, niż tutaj.

Postanowiwszy w ten sposób, zaczął się wydrapywać na mur, a gdy już wylazł na wierzch, zetknął

się oko w oko z jakimś człowiekiem, którego głowa wysterczała z tamtej strony muru.

— Jak się pan miewa, markizie de Coignier? — zapytał wesoły głos, choć trochę przyciszonym tonem.

Ponieważ znaleźli się z sobą oko w oko, przeto mimo ciemności poznali się natychmiast.

— Saint-Régent! — zawołał Coignier.

— On sam!

— Zkąd się tu wziąłeś?

— Co za ciekawość!... Zdaje mi się, iż zanim wdamy się w przyjemną rozmowę, należałoby nam wybrać daleko odpowiedniejsze miejsce, a w szczególności tobie, gdyż następują ci już na pięty.

— Masz rację — rzekł Raul, siadając na murze, jak na koniu.

— Jest tutaj drabinka — mówił dalej Saint-Régent. — Uważaj na pierwszy stopień.

Za chwilę obaj młodzieńcy znaleźli się na ziemi.

Zaledwie odetchnęli, markiz powołał swoje zapytanie:

— Zkąd się tu wziąłeś tak w samą porę z drabinką?

— Czekałem na ciebie, a raczej ponieważ byłem przygotowany pospieszyć ci z pomocą, gdyby tego było potrzeba. Już od pół godziny siedzę tutaj i przysłuchuję się. Byłem przy odjeździe żandarmów... wiesz... wyplatałeś im porządnego figla, który zresztą przyczyni się do tem zaciętszego ścigania ciebie.

Roześmiał się, ale zaraz potem spoważniał.

— Czy ci się przynajmniej udało? — zapytał.

— Tak samo, jak i tobie w napadzie na dyliżans — odparł Raul. — Co zrobiłeś z Pataponem?

— Byłbym go był chętnie rozstrzelał, ale otrzymałem od hrabiego rozkaz, który mi tego zabraniał. Limoilans sądzi bowiem, iż agent ten może się nam jeszcze przydać.

— Cóż zrobiłeś?

— Wypełniłem ściśle dane mi polecenie. Opu-
szczając oddział Mont-Louis, który mi pomagał w na-
padzie na dyliżans, pozostawiłem przy nim Patapona.
Mont-Louis uda się ze swymi ludźmi trochę dalej na
zachód, gdyż po naszym napadzie niewątpliwie na-
gnają tutaj mnóstwo wojska. Po ujechaniu piętnastu
do dwudziestu mil przywiążą policyanta do jakiego-
kolwiek drzewa w lesie lub na drodze, a pierwszy
lepszy przechodzień uwolni go. Słowem, rozkazano
tak postąpić, aby ci dać możliwość odegrania roli króia
szpiegów, który, skoro go tylko uwolnią, bezwątpienia
zaraz się tu zjawi.

— Tak, ale się spóźni — odparł Raul.

— Ehe! — rzekł baron, śmiejąc się — prawda,
że zapóźno dla ciebie, ale mam nadzieję, iż nie zapó-
źno dla jednego biedaka.

— Jakiego biedaka?

— Dla Klemensa de Riz, którego porwał Jakób,
wyprawiony przez ciebie na tamten świat.

— Ztamtąd za daleka droga, aby mógł powrócić
i uwolnić senatora z kryjówki, do której sam go
wpakował.

— A ty wiesz, gdzie?

— Tak, Limoilans mi to powiedział, gdyż pod-
słuchał rozmowę Fouchégo z Patapönem.

— Gdzież on schował tego senatora?

— W starej, opuszczonej piwnicy, należącej do
stacyi pocztowej w Langers... Rozumiesz, iż apetyt
senatora, któremu Jakób nie może przynieść poży-
wienia, powinien się być porządnie wzmódz, a to
zmusi go do krzyku.

Po tych słowach Coignier roześmiał się na cały
głos, gdyż przypomniał sobie jedną rzecz.

— Czego ty się śmiejesz? — zapytał baron.

— Z tego, iż senator nie czekał, aż go głód
zmusi do krzyku, lecz już oddawna tem się zajmuje.

— I nikt go nie słyszy?

— Przeciwnie, gospodarz stacyjny słyszał jego krzyki.

— I uwolnił go?

— Wcale nie.

— Należy więc także do agentów Fouchégo?

— Także nie... Ale badając tego durnia, strasznie zabobonnego, dowiedziałem się, iż już przez kilka nocy krzyki te spędzają sen z jego powiek, a ten idyota zamiast zbadać, z kąd one pochodzą, sądzi, iż to jęczy dusza jego teścia, która powróciła po to, aby go męczyć.

Przyjaciele rozmawiali jeszcze, gdy na kościele we wsi wybiła godzina trzecia.

— Trzeba iść — odezwał się Raul — jeszcze tylko przez dwie godziny będzie ciemno.

— Gdzież pójdziemy, skoro cię szukają po wszystkich drogach?... Nie, mój kochany, nigdzie nie będziemy tak bezpieczni, jak tutaj właśnie; dlatego też niema najmniejszego powodu, abyśmy się ruszali z miejsca. Tem więcej, iż miejsce jest bardzo wygodne — dodał ze śmiechem.

— Miejsce? — zapytał Raul, sądząc, iż jest mowa o krzakach, wśród których stali. — Czy sądzisz, że tu będziemy musieli czekać? Zginiemy z głodu, nim nas przestaną szukać.

Saint-Régent uderzył się w czoło, jak człowiek, który sobie nagle coś przypomniał.

— Tak, to prawda — rzekł. — Nie powiedziałem ci jeszcze, iż jestem gościem w tym zamku... to jest nie gościem, ale przyjechałem tu z polecenia hrabiego. Rozkaz polega na tem, iż mam czekać tu na odpowiedź, którą mi przywiozą.

— Na co odpowiedź?

— Tego nie wiem; odpowiedzi na pytanie bez wątpienia bardzo ważne, gdyż hrabia, wiedząc, jak niebezpiecznym jest każdy pisany dokument, uprzedził mnie, że otrzymam ustną odpowiedź.

— Przez właściciela tego zamku? — zapytał Coignier.

— Pst!... — odparł Saint-Régent zamiast odpowiedzi.

Po drugiej stronie muru, przez który markiz przed chwilą przelazł, dały się słyszeć kroki służby senatora, przeszukującej park.

— Kto wie, może przelazł przez mur? — dał się słyszeć głos konduktora Germaina. — Trzeba uprzedzić tę panią, która mieszka w zamku.

— A więc jesteś w gościnie u damy?... Młoda, czy stara?... Ładna, czy brzydka?... — z ciekawością szepnął Raul.

Baron przez chwilę wahał się, a potem odparł z westchnieniem:

— Tak, młoda i ładna.

To wahanie się i to westchnienie wznieciły ciekawość markiza jeszcze w wyższym stopniu.

— Oh! — rzekł trochę szyderczym tonem — wiesz co, zdaje mi się, iż nie jesteś obojętny na wdzięki tej damy.

— Ja... no... to znaczyłoby już zanadto szybko zakochać się, gdyż bawię tu dopiero od trzech godzin — odparł Saint-Régent.

— Mówią, iż miłość podobna jest niekiedy do uderzenia piorunu — zauważył Raul.

Saint-Régent wzruszył ramionami.

— Czyż ja kiedy byłem zakochany? — odparł.

— Tem więcej powodu do zakochania się.

Baron wahał się przez kilka chwil, potem szybko odwrócił się do swego przyjaciela, jak człowiek, który się chce z kimś podzielić swoją tajemnicą, która go niepokoi.

— No, tak, prawda — rzekł — na widok tej kobiety serce moje zabiło silnie, a sądziłem, iż jest ono zabezpieczone przed wszelką miłością, ale...

— Mów dalej — rzekł Raul, widząc, iż jego towarzysz nie kończy.

— Będziesz się ze mnie śmiał.

— Wcale nie, mój kochany.

— Ot widzisz, przed chwilą śmiałeś się z zaboru gospodarza, który wyobraża sobie, iż dusza jego teścia przychodzi go męczyć po nocach.

— Ba! Czyż wierzysz w dusze umarłych, które przybywają z tamtego świata, aby męczyć swych zięciów? — zapytał ze śmiechem markiz.

— To nie, ale wierzę w przeczucia — odpowiedział poważnie Saint-Régent.

— Czyż miałeś jakieś przeczucie na widok tej kobiety?

— Tak, jakiś głos wewnętrzny mi mówił, iż będzie ona miała fatalny wpływ na moje losy.

— Daj spokój, po co się męczyć jakimiś czarnymi myślami! Ty, taki wesoły!

Baron powoli wstrząsnął głową.

— Tak... a nieszczęście nastąpi niezadługo.

— No — zauważył Raul — najgorsza rzecz, która cię spotkać może, to ta, iż piękna ta dama odrzuci twoje oświadczenia... Prócz tego nie będziesz miał czasu do zakochania się po same uszy... Kto wie, może odpowiedź, po którą przysłał cię Limoilans, nadejdzie za parę minut, wtedy będziesz musiał znowu wsiadać na koń i opuścić zamek. Znasz przysłówie, iż co z oczu, to i z myśli, a wierzaj mi, iż nie minie trzy dni, a ty zapomnisz o swojej bogdance.

Ponieważ baron, pogrążony w ponurych myślach, nic nie odpowiadał, postanowił Raul zmienić temat rozmowy.

— Długo tu jeszcze będziemy siedzieli w tych krzakach? — zapytał.

— Nie, zaprowadzę cię do zamku.

— Do tej pięknej damy?

— Tak, czeka na ciebie, a mogę nawet dodać, iż to jej przyszło na myśl, że przejdiesz przez mur do parku. Powiedziała mi też, gdzie znajdę drabinę, na której czekałem na ciebie.

— W takim razie chodźmy.

— Idź za mną. Musimy iść w cieniu, gdyż inaczej mogłaby nas zauważyć służba zamkowa, którą prawdopodobnie zbudzili już ci, którzy przed chwilą mówili o tem po tamtej stronie muru, aby przeszukać ten park.

Ująwszy markiza za rękę, poprowadził go Saint-Régent przez wąskie ścieżki wśród drzew do małej furtki, przymkniętej tylko.

— Tędy wyszedłem do parku — rzekł.

Mówiąc to, postawił nogę na pierwszym stopniu za furtką.

Raul powstrzymał go za rękę.

— Nie obawiasz się, iż możemy kogoś spotkać po drodze?

— Nie, te tajne schody prowadzą wprost do sypialni naszej gospodyni, Angielki.

— Więc to Angielka?!

— Nie jestem tego bardzo pewny, ale chociaż mówi po francusku bez zarzutu, to przecież po jej akcencie czuć, iż musi to być Angielka.

— Zresztą to dla nas obojętne. Prowadź, haronie! Idę za tobą.

W chwili, gdy dwaj młodzi ludzie zaczęli iść w górę po schodach, niebo zaróżowiło się na wschodzie, zapowiadając zbliżanie się dnia.

Na połowie schodów Coignier nagle stanął.

— Dziwna rzecz — pomyślał — czyż i ja stałem się takim łatwowiernym, jak baron? Mną także owłada przecucie, iż ta kobieta przyniesie mi nie-szczęście...

To chwilowe zatrzymanie się było przyczyną, iż Saint-Régent pierwszy stanął na górze i czekał na Raula.

Dał mu znak, aby się zachowywał, jak można najostrożniej i nie zdradzał niczem swej obecności.

— Oto ona — szepnął do markiza, pokazując mu przez napoły otwarte drzwi kobietę, siedzącą w pokoju.

— Tak, ale co ona robi? — zapytał również szeptem Raul.

Rzeczywiście kobieta siedziała przy stole, plecami do przybyłych, i oddawała się jakiemuś zajęciu, które najwidoczniej pochłaniało całą jej uwagę.

Nachylona cokolwiek wprzód i oparta łokciami na stole, trzymała prawą rękę na wysokości oczu. Patrzyła na zegarek uważnie i liczyła półgłosem:

— Dwadzieścia sześć... dwadzieścia siedm... dwadzieścia ośm... dwadzieścia dziewięć... trzydzieści... trzydzieści jedna...

Nie wymówiła jeszcze ostatniej cyfry do końca, gdy rozległ się słaby huk, a nad głową kobiety ukazała się chmurka białawego dymu.

— Trzy i pół minuty — rzekła kobieta. — Spróbujemy teraz tego podziału...

Rzekłszy to, zaczęła czegoś szukać na stole.

— Zapach prochu i hubki — szepnął znowu Raul.

Kobieta usłyszała ten szept i odwróciła głowę.

— Jaka ona piękna! — rzekł Coignier na widok tej istotnie pięknej twarzy.

Spostrzegłszy młodych ludzi, gospodyni wcale się nie zmieszala, lecz spokojnie zwróciła się do barona, mówiąc wesoło:

— Ach, to pan, panie de Saint-Régent!... A jak widzę, przyprowadziłeś pan ze sobą swego przyjaciela.

Odpowiedziała na ukłon Raula lekkim skinieniem głowy i dodała:

— Bardzo się cieszę, iż pana widzę, panie markizie de Coignier. Zdaje się, iż ścigają pana z wielkim zapalem, ale nie obawiaj się pan, u mnie jeszcze wszyscy śpią, nikt nie widział, jak pan wchodził, to też umieszczę pana w najzupełniej bezpiecznym miejscu, zanim Longlumeaux, który prawdopodobnie jeszcze bawi w zamku senatora, tutaj się zjawi.

— Co to za jeden, ten Longlumeaux? — zapytał Saint-Régent.

— Brygadyer żandarmów, głupi, jak stary osioł... zresztą jeden z moich dobrych przyjaciół — odparła z uśmiechem gospodyni.

— Czy ten Longlumeaux jest bardzo okrutny? — zapytał baron, zbliżając się do stołu, aby się przekonać, czem się przed chwilą zajmowała pani domu.

— Jest tem okrutniejszy, iż obawia się swego pułkownika, Baludarea, także głupiego, jak osioł... i znowu mojego przyjaciela. Nim nastanie dzień, zjawią się u mnie Longlumeaux, Baludare i tutejszy syndyk, Jorry.

— Czy on także taki głupi, jak osioł? — zapytał baron.

— On? O nie!... on jest głupszy od osła!... Ale zresztą to także mój przyjaciel.

Wszystko to wypowiedziała gospodyni domu tak wesołym tonem, jakby ci dwaj ludzie, których wczoraj jeszcze nie знаła, byli jej dawnymi przyjaciółmi, wobec których nie miała potrzeby kępowania się.

Raul stanął przy drzwiach, pożerając oczyma kobietę, która mu dała schronienie pod swoim dachem.

— Teraz rozumiem, dlaczego baron zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia — myślał w duchu.

Milczący jego zachwyty przerwał głos gospodyni, która zwróciła się do niego:

— Proszę bliżej, markizie, zdaje się, iż pan nie jesteś tak ciekawym, jak pański przyjaciel, który po cichu podszedł, aby się przypatrzeć, co się dzieje na moim stole.

— Oh! — rzekł baron takim tonem, jakby się chciał usprawiedliwić z swej niewczesnej ciekawości.

Protestując w ten sposób przeciw niesłusznemu na pozór podejrzeniu, myślał jednakże w duchu:

— Zegarek, lont, hubka... pudełko z prochem... świeca... co ona z tem wszystkim robiła?

Ciekawość młodego człowieka została zaraz zaspokojona, gdyż jeszcze Raul nie doszedł do stołu, a już piękna gospodyni zaczęła mówić:

— Czekając na panów, obawiałam się, iż zasnę, więc aby się rozerwać, wymyśliłam sobie zabawkę, która zapewne i panów zmusi do śmiechu.

Spostrzegłszy, iż obaj czynią ruch, jakby chcieli zaprotestować przeciwko temu, iż wyśmiewać się będą z jej zabawki, dodała:

— Bawiłam się tem, iż z zegarkiem w ręku liczyłam, wiele potrzebuje czasu lont tej lub owej długości do spalenia się.

— A dalej? — zapytał Saint-Régent, oczekując na wyjaśnienie co do prochu.

— Dalej nic!... Zadanie to zresztą nie było bardzo trudnem i zawikłanem, gdyż jak panowie widzicie, nie zasnęłam, czekając na was.

Mówiąc to, gospodyni patrzyła na barona, stojącego przed nią, a on czuł, jak mu serce silniej biło pod palącym wzrokiem jej cudnych oczu.

Nagle wzruszenie jego zmieniło się w jakiś niewymowny niepokój.

— Tak, ta kobieta będzie miała fatalny wpływ na moje losy — pomyślał.

Podczas gdy gospodyni domu i Saint-Régent rozmawiali ze sobą, Raul machinalnie spoglądał na roz-

maite przedmioty, leżące na stole, które służyły do tej szczególnej zabawy.

Uwagę jego przykuł do siebie jeden przedmiot, który bezwątpienia spadł ze stołu i leżał na podłodze z tej strony, gdzie ani dama, ani baron nie mogli go dostrzedz. Była to męzka rękawiczka, zwyczajna, zamiszowa, należąca widocznie do jakiegoś biedaka.

W tej samej chwili Coignier obok rękawiczki spostrzegł na podłodze dwa mokre ślady. Były to bezwątpienia ślady po mokrych butach, a pozostawiono je niedawno, gdyż jeszcze nie wyschły.

— W czasie nieobecności barona ktoś tu musiał być — pomyślał Raul.

Tymczasem wzrok gospodyni, który taki dziwny wpływ wywierał na barona, spoczął na markizie.

Spostrzegłszy, iż z całą uwagą przypatruje się podłodze, powstała z fotelu i nieprzymuszenie, jakby niechcący, obeszała stół dokoła.

Zauważyła rękawiczkę i dwa ślady.

Czy powiedziała to szczerze, czy nie — niewiadomo, ale pochyliwszy się, podniosła rękawiczkę, i rzucając na stół, rzekła:

— Ot, złapaliście mnie, panowie, na kłamstwie...

— Na kłamstwie? — podchwycił baron, zdziwiony więcej jej słowami, niż rękawiczką.

— Tak, na kłamstwie, gdyż powiedziałam, że moja zabawka z hubką była jedyną rzeczą, która nie pozwoliła mi zasnąć. Do tej rozrywki przyczyniła się jeszcze wizyta, wprawdzie krótka, ale tyczyła się ona pana, baronie.

— Mnie? — zapytał Saint-Régent.

— Tak jest, gość ten przywiózł mi odpowiedź, na którą pan czeka i którą mam panu powiedzieć, gdyż proszę mi wierzyć, iż we wszystkim jestem tylko pośredniczką, niczem więcej!

— W takim razie...

— Musisz pan jechać! — dokończyła gospodyni.

— Natychmiast?

— Tak, natychmiast, gdyż odpowiedź trzeba dać jak można najwcześniej.

Baronowi nie bardzo się chciało jechać w chwili, w której zaledwie zdążył się zakochać. Wolałby był zaczekać do jutra rana, a w razie potrzeby zadowolnićby się dwiema godzinami, jedną wreszcie, aby mógł być wyjawić swoje uczucia.

Nie mógł jednak zadowolnić swego pragnienia, gdyż wesoła gospodyni stała się nagle bardzo poważną i prawie rozkazującym tonem rzekła:

— Jedź pan, panie baronie, jedź pan natychmiast.

— Jeżeli koniecznie potrzeba, pojedę — rzekł baron, posłuszny głosowi obowiązku.

— Gdzie pan zostawił konia? — pytała dama.

— W samym kącie parku. Przywiązałem go do furtki, która wychodzi do lasu.

— Papiery pańskie w porządku?

— Tak, moje fałszywe papiery w najlepszym porządku — odparł baron ze śmiechem.

— W odległości dwóch mil od zamku możesz się pan powołać na mnie, gdyby pana aresztowano. Powołaj się pan na swoją kuzynkę, Maud Derbody.

— To istotnie Angielka — pomyślał Raul, który był milczącym świadkiem tej sceny, gdyż nic go to nie obchodziło.

— Dobrze, kuzynko — odparł wesoło baron — nie omieszkać skorzystać z pani pozwolenia, jeżeli dostanę się w ręce jednego z tych trzech mędrców, którzy, jak to pani sama powiedziała, należą do rzędu jej przyjaciół.

Spowaźniał znowu i dodał:

— Bądź pani tak łaskawą i daj mi odpowiedź, którą mam zawieźć:

— Nie zapomnij pan, iż tę odpowiedź trzeba powtórzyć słowo w słowo — rzekła Maud Derbody.

— Słucham pani.

Wtedy powoli wymówiła następujące słowa:

„Działajcie szybciej. Po Enghien — Chevalier. Człowiek gotów“.

Aby dowieść, iż zapamiętał sobie te słowa, baron powtórzył je. Następnie skłonił się i rzekł:

— A co mam powiedzieć hrabiemu Limoilans, gdy się zapyta, kiedy pani przyjedzie do Paryża?

— Nigdy! — odparła Maud tonem, który wskazywał na stanowcze postanowienie.

— Oh! słowa „nigdy“ nie należy nigdy wymawiać tak stanowczo.

— Nigdy! — powtórzyła młoda kobieta. — Za tydzień będę już w Anglii.

Po tej odpowiedzi, która była dowodem, iż po raz ostatni widzi kobietę, przed którą ostrzegało go przecucie, w duszy barona rozpoczęła się walka między miłością a rozsądkiem. Trwała ona tylko chwilę, ale rozsądek przecie zwyciężył.

— Chwała Bogu — szepnął — jestem uratowany!

Angielka wyciągnęła do niego rękę.

— Żegnam pana, baronie — rzekła.

— Wolałbym do widzenia — odparł baron.

— Nigdy! — Powtórzyła znowu Maud Derbody.

Saint-Régent podszedł do markiza Coignier.

— Jedziemy, mój kochany! — rzekł.

— Co pan mówisz! — zawołała Maud, chwytając za rękę Raula, który już postąpił kilka kroków, aby się z nią pożegnać. — Czyż pan zapomniał o tem, iż wszystkie drogi są strzeżone, że wszędzie posłano rysopis markiza, że może być aresztowany o sto kroków stąd? Trzeba poczekać, dopóki nie minie pierwszy zapał pościgu i dopóki usiłowań mych trzech

przyjaciół nie skieruję w taką stronę, aby nasz zbieg miał swobodny przejazd.

Wszystko to było tak słusznem, iż przekonany Saint-Régent zwrócił się do markiza.

— Teraz ty jesteś niewolnikiem — rzekł z uśmiechem.

— Ale przynajmniej mam zachwycającego dozorcę — odparł Raul, kłaniając się Angielce.

— No, jeżeli już mam jechać sam jeden, to bywaj zdrów, kochany markizie — dodał baron, ściskając Raula.

Podczas tego uścisku Saint-Régent szepnął do ucha Raulowi:

— Proszę cię, tylko się w niej nie zakochaj.

— Bądź spokojny, obroni mnie wspomnienie o innej.

— Prawda, zapomniałem o Gracini...

Baron udał się za Angielką, która zaczęła schodzić po tajnych schodach, aby zamknąć za baronem furtkę, prowadzącą do ogrodu.

Przez szczeliny w okiennicach Raul mógł dostrzedz, jak jego przyjaciel udał się w stronę lasu.

Był już zupełny poranek, aczkolwiek nie było jeszcze piątej.

— Teraz jeszcze nikt barona ze służby zamkowej nie zobaczy? — zapytał Raul.

— Niema obawy, nikt go nie spotka — odparła Angielka.

Zaledwie dokończyła tych wyrazów, gdy w bramie dał się słyszeć silny odgłos dzwonka.

— Przypuszczam, że to moi przyjaciele — rzekła Maud.

Raul pomyślał sobie, iż skompromituje swoją protektorkę, gdy go przyaresztują w jej sypialni.

— Może będę się mógł ukryć gdzie w parku? — zapytał.

— Nie, z bramy będzie widać, gdy pan będziesz wychodził przez małe drzwiczki, a przez inne drzwi także pan uciekać nie może, gdyż na odgłos dzwonka zbudziła się już cała służba i biega po kurytarzach. Zresztą nigdzie nie będziesz pan bezpieczniejszym, jak właśnie w tym pokoju.

Spojrzała Raulowi prosto w oczy i dodała, śmiejąc się.

— O ile pan się nie obawiasz pozostać w sypialni kobiety.

Markiz nie zdążył odpowiedzieć, gdy do drzwi zapukano, a za niemi dał się słyszeć głos służącej:

— Pan Jorry, pułkownik Baludare i jego brygadyer pragną zrewidować zamek. Szukają jakiegoś zbója.

— Powiedziałaś im, że jestem jeszcze w łóżku?

— Tak, to też odpowiedzieli mi, iż sypialni rewidować nie będą.

— Nie, nie — pospiesznie odparła Angielka — idź i powiedz im, że obowiązek stoi ponad uprzejmością i że mogą ich przyjąć.

Służąca odeszła.

Maud zwróciła się do Raula.

— Schowaj się pan do tej alkowy w nogach łóżka — rzekła.

Markiz zniknął natychmiast w wskazanem miejscu.

— Co ona robi? — zapytał się w duchu markiz, przysłuchując się szelestowi sukien.

Następnie dał się słyszeć trzask otwieranego zamka.

Przez szczelinę w zasłonie markiz widział, jak piękna Angielka się rozebrała i wskoczyła do łóżka.

— No — rzekła — teraz czekamy na wroga!

XIII.

Aczkolwiek słusznem było, że wspomnienie o Gracini mogło być obronić Raula od pokus innej miło-

ści, to w każdym razie wspomnienie to nie mogło uczynić markiza ślepym.

Z po za zasłony alkowy mógł ocenić piękność kształtów Angielki, zarysowywujących się pod prześcieradłem, mógł się zachwycać czarującą główką, otoczoną falą ślicznych płowych włosów, które Maud rozpuściła, aby nadać sobie pozór kobiety, która dopiero co się zbudziła.

— Oto i oni — rzekła do markiza, usłyszawszy odgłos zbliżających się ciężkich kroków.

Zapukano lekko, drzwi się otworzyły i służąca zapytała:

— Czy obywatele Jorry, Baludare i Longlumeaux mogą wejść?

— Tak, jeżeli nie będą tak okrutnymi, aby żądać, bym wstała z łóżka.

— Przeciwnie, błagamy panią, abyś pozostała w łóżeczku — dał się słyszeć za drzwiami jakiś basowy głos.

— Ah, to pan, panie pułkowniku — rzekła Maud tonem, który powinien był się wydawać jak prześliczna muzyka w uszach pułkownika.

Drugi głos, śpiewny jakiś, dodał:

— Uszanowalibyśmy sen pani, ubóstwiana czarodziejko, gdyby pani służąca nie była powiedziała nam, że pozwalasz nam pani przyjść i podziwiać siebie o zorzy porannej, mniej pięknej, niż pani.

— Poznaję pana po dowcipie, kochany obywatelu Jorry.

— Jesteś pani zanadto łaskawą, naprawdę, zbyt łaskawą — mówił syndyk.

— Wejdźcie więc obywatele! — rzekła Angielka. Syndyk i pułkownik stanęli na progu sypialni.

— A mój przyjaciel Longlumeaux? — zapytała młoda kobieta, nie widząc brygadiera.

— Longlumeaux dał się wyprowadzić w pole, jak dziecko, dlatego za karę nie wolno mu stanąć przed obliczem pani — odparł pułkownik.

Wywracając oczyma i wydymając usta, dodał:

— Widzi pani, iż umiem być surowym.

— To już nie surowość, to okrucieństwo! — zawołał syndyk, chcąc prześcignąć pułkownika w uprzejmości.

— Pochlebcy! Jak oni mnie psują swoimi komplementami! — rzekła z przesadą Angielka.

Obydwaj komiczni obywatele-wielbiciele nie ruszali się jednak z progu.

— Przystąpcie bliżej obywatele — rzekła Angielka.

Obydwaj zdaje się czekali tylko na to zaproszenie. Usłuchali z takim pośpiechem, że Angielka wyciągnęła ręce przed siebie, aby powstrzymać ich zbyt poryw.

— Nie tak blisko znowu! — zawołała. — Teraz po śnie muszę być bardzo brzydką, a nie chcę pozbawiać panów waszych złudzeń!

Współzawodnicy stanęli, jak wryci, wytrzeszczyszy oczy na obnażone ręce i ramiona Angielki, wykute jakby z białego marmuru.

— Wenus, wychodząca z fal morskich! — zawołał syndyk Jorry z zapalem.

Pułkownik był mniej szczęśliwym. Czy to zapal i zachwyty przytępiły jego krasomówstwo, czy też przyglądanie się pięknemu biustowi uczyniło go jeszcze poządliszym, niewiadomo, dość, iż westchnął tylko i rzekł basem:

— To za... albo to za mało.

— Cudny posąg! — mówił w tej chwili do siebie ukryty za zasłoną Raul, który także nie spuszczał z oka Angielki.

Mimo żołnierskiego odezwania się pułkownika, Maud nie uważała za rzecz potrzebną okrycie ramion prześcieradłem.

— Teraz siadajcie panowie przy stole, i zapomniawszy na chwilę o swej uprzejmości, powiedzcie mi, czemu mam zawdzięczać waszą wizytę?

— Poszukujemy pewnego zbójca, którego szajka napadła wczoraj na dylizans — zaczął pułkownik.

— Łotra, który zastrzelił dwóch podróżnych — dodał Jorry.

— Który wywiódł w pole żandarmów.

— Który oszukał policyę, porwawszy najzdolniejszego z jej agentów.

Lekkie drzenie przebiegło po ramionach Angielki.

— Oh, rozbójnicy! — zawołała. — Opowiedzcie mi to, obywatele, szczegółowo... Opowiadania takie napawają mnie zawsze obawą, ale ja je lubię.

Po tych słowach zarzuciła ręce pod głowę, przy czem prześcieradło zsunęło się jeszcze więcej, odkrywając szlachetne kształty biustu, zaledwie pokryte cienkim batysem koszuli.

— Opowiadajże pan, pułkowniku, słucham pana.

Pułkownik jednak otworzył gębę z zachwytu i nie mógł wymówić ani słowa.

Powinien był przemówić syndyk, zamiast pułkownika, ale i jemu język kołkiem stanął ze wzruszenia. Obcierał swą szeroką twarz chustką, wydając od czasu do czasu westchnienia, jakby się dusił w swej własnej skórze.

— No i cóż, Jorry, Baludare, oniemieliście! — zawołała Maud, udając, iż nie rozumie przyczyny ich nagłego zamilknięcia.

— Ależ opowiedzieliśmy pani prawie wszystko — odparł pułkownik, który pierwszy zapanował nad sobą. — Nadaremnie ścigaliśmy tego łotra... na drogach pilnowały wszędzie brygady, powołane przez

nas... Ponieważ nie mógł nigdzie dostać konia, nie mógł więc ująć i ukrywa się gdzieś w okolicy... dlatego też postanowiliśmy zrewidować wszystkie domy.

— I teraz przybyliście oglądać mój dom?

— Za pani pozwoleniem — wykrztusił z siebie syndyk, który już trochę ochłonął.

Maud Derbody stała się nagle poważną.

— Nietylko pozwalam — odparła — ale proszę was obywatele, dokonajcie tej rewizji jak można najszczegółowiej... Rozpoczniecie od mojej sypialni... Poproszę was tylko, abyście wyszli na chwilę, abym mogła wstać z łóżka.

— Nigdy na to nie pozwolimy! przenigdy! — zawołali obydwaj, podnosząc ręce w górę.

— Wystarczy nam, gdy zrewidujemy pozostałą część domu — dodał pułkownik. — A i to raczej dla uspokojenia sumienia, gdyż jesteśmy święcie przekonani, że nie u pani szukać nam należy łotra, który sobie drwi z policyi i żandarmeryi.

— Dobrze — odparła Angielka — ustąpię co do mej sypialni, ale co się tyczy reszty zamku, to mam nadzieję, iż spełnicie panowie wasz obowiązek... W tym celu oddaję do waszego rozporządzenia całą moją służbę... możecie ją także wziąć do pomocy włościanom przy obławie w okolicy.

Pułkownik wstrząsnął głową.

— Dziękuję pani, ale... już ja wolę działać z moimi żandarmami... Naturalnie włościanie dali dowody swej gorliwości, którą bardzo pochwalam...

— Ale z której już nie chcemy korzystać — dodał syndyk.

— Dlaczego? — zapytała zaciekawiona Angielka.

— Dlatego, iż właśnie wskutek nadmiaru tej gorliwości naszych pomocników, włościan, stało się nieszczęście, nad którym mocno ubolewamy.

— Jakie nieszczęście? — zapytała Maud, a twarz jej lekko się schmurzyła, co zresztą zauważył tylko sam Raul.

— Zupełnie niepotrzebnie zabili jakiegoś biedaka.

— Ah! — zawołała Angielka ze wzruszeniem, które pułkownik i syndyk przypisywali naturalnej litości, powstałej wskutek zabicia niewinnego człowieka.

— Tak — mówił dalej Jorry — włościanie, którzy siedzieli na czatach na skraju lasu Duncon, zabili nieszczęsnego jeźdźca, który właśnie wyjeżdżał z lasu.

— Jeźdźca? — zapytała Maud, mogąc zaledwie zapanować nad sobą.

— Biedny Saint - Régent zabity! — pomyślał Raul.

Śmierć nieszczęśliwego, zabitego przez włościan, była przedewszystkiem z winy pułkownika, który urządził pościg za zbiegami, dlatego też syndyk nie ominął tej sposobności, aby nie przyciąć pułkownikowi.

— Tak, przepiękna bogini — mówił. — Nieszczęsny zginął na miejscu. Wyjeżdżał z lasu, gdy włościanie zaczęli wołać, aby zatrzymał konia. Albo nie dosłyszał, albo też, co jest prawdopodobniejszem, pomyślał, iż ma do czynienia z szajką szuanów, którzy teraz grabią po drogach, i zaczął pędzić jeszcze szybciej. Wtedy włościanie widząc, iż ucieka przed nimi, i będąc przekonani, że jest tym, którego ścigają, dali ognia i wpakowali w niego pięć kul.

— Biedaczysko baron! — pomyślał Raul, najmocniej przekonany, iż zabitym jest Saint-Régent.

Maud Derbody nie zmieniła swej wyzywającej postawy, tylko zlekka pobladła, słuchając tego opowiadania.

— Kiedyż to się stało, pułkowniku? — zapytała spokojnym tonem.

— O czwartej rano.

Po tej odpowiedzi Raul o mało nie krzyknął z radości i nie zdradził się. Widocznem było, iż nie chodziło tu o barona, który wyjechał dopiero około piątej.

Odpowiedź ta uspokoiła markiza, ale nie Angielkę. Markizowi wydawało się, iż po tych słowach pułkownika zadrżała na całym ciele.

Markizowi przyszła nagle jedna myśli do głowy.

— Czy to nie ten jeździec, który dziś w nocy zapomniał tutaj swą rękawiczkę? — pomyślał. — Kto to mógł być? Może jej kochanek?

Przypomniawszy sobie jednak, jak brudną była ta rękawiczka i jak wielkie były ślady na podłodze, Raul przyszedł do przekonania, że stosunek miłosny nie mógł istnieć między nieboszczykiem i tem pięknem, dumnym stworzeniem, które teraz przed nim leżało.

Nie ulegało wątpliwości, iż był to człowiek, który przywiózł odpowiedź dla barona; musiała to być jakaś drugorzędna osobistość, jakiś służący, który zginął, wypełniając rozkaz swego pana.

Przypominając sobie ubiegłe niedawno chwile, Raul przypomniał sobie także dziwną zabawkę, której oddawała się Maud, gdy przyszli obydwaj z baronem.

— Szczególna fantazya — pomyślał — przekonywać się, jak długo tłą się kawałki hubki różnej długości.

Wszystkie te myśli przemknęły się w jednej sekundzie przez głowę Raula, a do jego uszu doszło nowe pytanie Angielki:

— Ale któż panu powiedział, pułkowniku, iż zabity nie jest właśnie tym, którego poszukujecie?

Było to wypowiedziane tak spokojnie, że markiz, widząc tylko dreszcze, przebiegające po ciele Angielki, mógł podejrzewać, jak straszne wzburzenie owładnęło nią w tej chwili.

— Niestety, to nie był nasz zbój — odparł Baludare.

— Zkąd pan o tem wie?

— Przyprowadziłem do zwłok konduktora ograbionego dyliżansu i pocztmistrza, którzy powiedzieli, iż poznają rzekomego Patapona. Tak oni, jak i brygadyer Longlumeaux zapewniali, że zabity nie jest nim.

— A zresztą prócz tych świadków — dodał syndyk — mogliśmy stwierdzić jego osobistość z jego papierów.

— Ah! Więc miał przy sobie papiery? — zapytała spokojnie Angielka.

— Jednakże! Co to może kobieta! — pomyślał markiz, przekonawszy się teraz, co ją kosztował ten pozorny spokój.

— Tak, a nawet jego papiery były w zupełnym porządku — odpowiedział syndyk.

— Znacie więc jego nazwisko i jego imię?

— Tak, był to niejaki Chevalier — odpowiedział pułkownik.

Tym razem młoda kobieta drgnęła tak silnie, że nie ukryło się to przed wzrokiem syndyka, który zawołał też zaraz ze skruszoną miną:

— Jacy my jesteśmy niedelikatni! Przerazamy niepotrzebnie czarującą osobę naszymi historyjami o zabitym... Po tysiąc razy proszę o przebaczenie, przepiękne bóstwo, za nasz głupi i okrutny nietakt.

Coignier jednakowoż znalazł inne wyjaśnienie tego nagłego wzruszenia, którego Angielka nie mogła ukryć, usłyszawszy nazwisko Chevalier.

— Gdzie ja słyszałem to nazwisko? — rzekł do siebie.

I nagle pamięć odpowiedziała mu: znajdowało się ono w odpowiedzi, zawieszanej hrabiemu Limoilans przez barona: „Działajcie szybciej. Po Eng-hien-Chevalier, człowiek gotów“.

— Może to zabili tego Chevaliera?

Tuż po wyłómaczeniu się syndyka odezwał się pułkownik:

— Do stu tysięcy skórzanych portek! Macie słuszność obywatelu Jorry, jesteśmy po prostu cielećkami!

Pułkownik posunął się trochę za daleko, ale energię jego należało przypisać głębokiemu żalowi, powstałemu wskutek przerażenia pięknej damy jego serca.

Żal obu wielbicieli spotęgował się jeszcze na widok ich bóstwa, które blade, przybite, mówiło bezdźwięcznym głosem z bolesnym uśmiechem:

— Chciałam pokazać moją odwagę i jestem teraz za to ukarana... Są wzruszenia, których my, słabe kobiety, powinneśmy unikać.

— Gdy ona stanie się słabą kobietą, pojedę opowiadać o tem do Rzymu — pomyślał Coignier, najzupełniej przekonany, iż w jego oczach rozgrywa się jaka komedia.

— Czy pozwolisz mi pani choć w części zatrzeć naszą winę? — zapytał syndyk.

— Jak, mój dobry Jorry? — zapytała Maud słabym głosem.

— Wzruszenie pani powstało głównie z powodu myśli, iż w miejsce winnego stracił życie człowiek niewinny, prawda?

— Zgadłeś pan.

— A więc niech pani nie sądzi, aby ten Chevalier był znowu tak niewinny, jak to z początku można było sądzić... Pułkownik powie pani to samo. Gdy podnieśliśmy zwłoki, zauważyliśmy, iż prawa jego ręka zakopcona była prochem... Z jakiego po-

wodu? Nie wiemy, ale to się wydaje bardzo podejrzanem.

Teraz Raul drgnął ze zdumienia.

— Oho! Ten Chevalier, który zgubił rękawiczkę, najwidoczniej zdjął ją dlatego, aby módz podpalić proch hubką.

Przepiękne bóstwo było tak przybite, droga bogini wydawała się tak słabą, twarz Wenery była taka pełna zmartwienia, iż syndyk zapał najcieńszym, jakim tylko mógł głosem:

— Opuścimy panią, czarodziejko, musisz pani wypocząć, a godzina snu przywróci twarzyczce pani jej lilie i róże.

Maud podziękowała mu niedbałym skinieniem głowy, a syndyk, ująwszy pod ramię pułkownika, wyszedł z nim razem z sypialni, starając się stąpać o ile możliwości jak najciszej.

Zaledwie drzwi się za nimi zamknęły, gdy nagle scena się zmieniła.

Angielka wyskoczyła z łóżka i rzuciła się ku drzwiom. Zamknęła je na klucz.

— Łajdaki! — szepnęła. — Zabili Chevaliera!

Głos jej drżał z wściekłości, a zaciśnięta pięść wznosiła się groźnie w stronę drzwi, za którymi zniknęli jej wielbiciele.

W tej chwili, cała zajęta myślą o śmierci Chevaliera, zapomniała najzupełniej o markizie.

Nie zauważyła przejrzystości swego ubrania, nie spostrzegła, iż koszula zsunęła się z jej ramion i obnażyła cały biust.

Stała nieruchomo, jak posąg, z twarzą zszpeconą gniewem, opierając się jedną ręką na stole, a przyciskając drugą do piersi — jedyna przeszkoda, aby nie stanęła w pełnym kostyumie Ewy.

Tak, do tego stopnia zapomniała o Raulu de Coignier, że zaczęła myśleć głośno:

— Jaktó! Po trzech miesiącach takich wysiłków wszystkie szanse były po naszej stronie, i oto nagle chłopska kula obraca wszystkie nasze nadzieje w niwecz! To okropne!

Następnie, jak zwyciężony wojownik, czerpiący w swej energii nowe siły, wyprostowała się i rzekła:

— Ale czyż nie można zastąpić Chevaliera?... Ten baron, zdaje się, zakochał się we mnie...

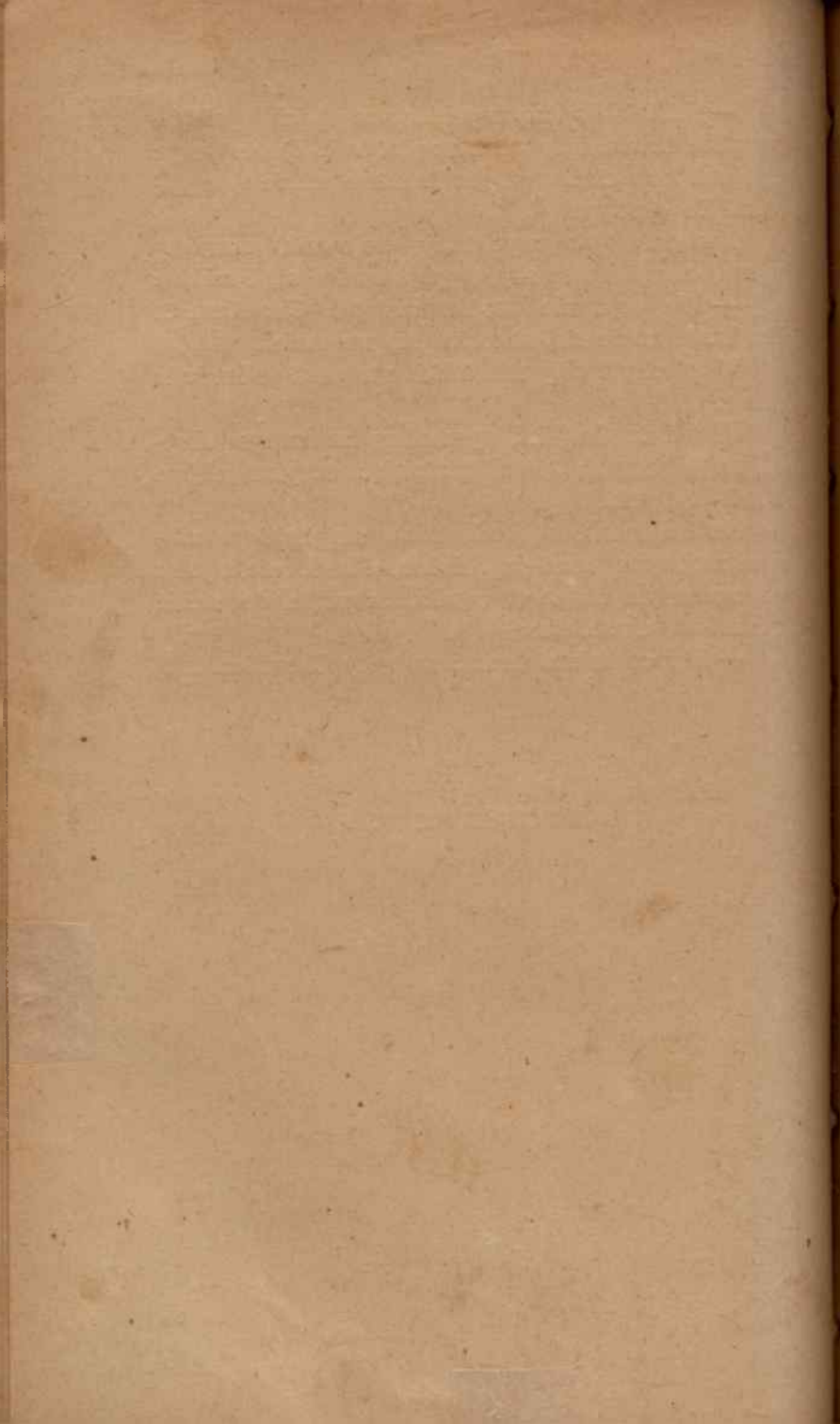
W tej chwili usłyszała lekki szelest i odwróciła głowę.

Markiz de Coignier, wyszedłszy ze swego ukrycia, stał w nogach łóżka, pozerając oczyma piękne kształty Angielki.

Na widok młodego człowieka, stojącego w niemym zachwycie przed jej łóżkiem, Maud, nie myśląc wcale o przykryciu swej nagości, szepnęła do siebie z leciutkim uśmiechem:

— I poco daleko szukać zastępcy Chevaliera!...

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.



CZEŚĆ DRUGA.

I.

W cztery dni po tych wypadkach w Turegne Paryż obchodził uroczystość odsłonięcia pomnika na placu Dauphina, wystawionego dla generała Desaix, bohatera i ofiary bitwy pod Marengo.

Pomnik nie był wspaniały, co świadczy o niewielkiej wdzięczności narodu francuskiego, gdyż wystawiony został ze składek publicznych, które przyniosły zaledwie 20.000 franków.

Po ceremonii otwarcia i mowach, przyczem musiał być, jako minister policyi, także Fouché, wsiadł ten straszny urzędnik do swej karety i kazał jechać do ministerstwa policyi. Z niecierpliwością oczekiwał wiadomości od swego ulubionego Patapona, który powinien był już powrócić przed trzema dniami.

Było święto i tłumy narodu, które zajęły Nowy Most i jego najbliższe okolice, zmuszały karetę ministra do zatrzymania się co kilka kroków.

Podczas jednego z takich przymusowych przystanków, Fouché, zniecierpliwiony, wysunął głowę przez okno, aby zwymyślać stangreta, gdy nagle usłyszał, iż ktoś z przeciwnej strony otwiera drzwiczki karety.

Jakiś człowiek skorzystał z zatrzymania się karety, wszedł i usiadł na przedniej ławeczce.

Na widok tego śmiałka Fouché drgnął ze strachu, ale nim zdążył zawołać o pomoc, niespodziany gość, którego zamiary nie były widocznie takie, jakich się spodziewał minister, rzekł do niego szyderczym tonem :

— Czy obywatel Fouché może mi udzielić posłuchania, o które przedtem prosić nie chciałem?

Na dźwięk tego głosu, który mu się wydawał znajomym, Fouché z uwagą spojrział na swego towarzysza, a pod ubraniem zwykłego dzierżawcy poznał jednego z najenergiczniejszych przywódców szuanów; był to jeden z tych, którzy nie chcieli przyjąć amnestyi i których partyzanci trzymali się jeszcze w polu, oczekując, aż przyrzeczona przez Anglię pomoc pozwoli im wzniecić na zachodzie nowe powstanie na korzyść króla.

— Hrabia Lamoilans! — zawołał Fouché.

— Ten sam, kochany obywatelu... A więc mówiliśmy, iż pan udzielisz mi posłuchania?

Zamiast odpowiedzi Fouché targnął za sznurek, przywiązany jednym końcem do ramienia stangreta.

— Ah, pan chcesz wstrzymać karetę? I na co to? — zapytał z uśmiechem hrabia.

— Dlatego, aby przywołać pierwszych lepszych dwóch żołnierzy i kazać im wziąć za kołnierz człowieka, którego policya dotychczas napróżno szukała.

— A gdy go pan każesz wziąć za kołnierz?...

— Wtedy dziewięćdziesiąt dziewięć przeciwko jednemu, że za tydzień będzie rozstrzelany!

— Ta, ta, ta, mój kochany ministrze! Powiedz pan raczej, iż nie zbadawszy zupełnie sprawy, chcesz pan popełnić głupstwo... Jak się to łatwo można omylić! A ja sądziłem, iż sprawię panu przyjemność, przywożąc mu najświeższą nowość z Langers.

Stangret wstrzymał konie i Fouché już wysunął głowę, aby zawołać o pomoc, gdy nagle po ostatnich

słowach hrabiego odwrócił się i spojrzał na niego zdumiony i zakłopotany zarazem.

Udając, iż nie zauważył efektu, który wywołały jego słowa, rojalista mówił najspokojniejszym w świecie tonem :

— Najprawdopodobniej jechałeś pan do ministerstwa, obywatelu? Skorzystaj pan z tego chwilowego zatrzymania się i zmień pan plan podróży. Każ pan stangretowi zawieść nas gdzieś w jakieś samotne miejsce, na przykład na bulwary zewnętrzne, to doskonale miejsce spacerowe dla tych, którzy chcą pomówić niesłyszani przez nikogo.

Nazwa Langers podziałała widocznie na ministra, jak talizman.

Minister, nie wahając się ani chwili, usłuchał rady swego towarzysza.

— Może mi pan nareszcie powie, co pana spowodowało do szukania mnie? — zapytał porywcz.

— Chcę panu opowiedzieć bajkę o złodziejach. Fouché rzucił się.

— Hrabio de Limoilans, uprzedzam pana, iż nie lubię mistyfikacyj — rzekł tonem groźnym — i...

Nie zdążył dokończyć rozpoczętego zdania, gdy rojalista, nie przerażony bynajmniej jego gniewem, rozpoczął swoje opowiadanie :

— Pewnego razu był w Langers...

Gniew Fouchégo ustał w tej chwili.

— Ah, ah! — zauważył szydyczko Limoilans — to pana zaczyna już zajmować? A więc chodźmy dalej... ale nie, lepiej rozpocznę inaczej... Był swego czasu generał, który pewnego pięknego dnia zuchwale pochwycił władzę w swe ręce i stał się głową republiki, a ta byłaby się zupełnie bez niego obeszła... No, jakby go nazwać, tego generała? Niech będzie Bonaparte. To nazwisko podoba się panu, kochany ministrze?

— Dobrze — odparł Fouché.

— A więc ten Bonaparte był raz na tyle nierozsądnym, iż powierzył władzę swym wiernym sługom, a sam stanął na czele armii i udał się do Włoch bić się z wrogiem, którego spotkał pod Marengo... Został tutaj pobity... I jeszcze, jak pobity!.. Była godzina druga, gdy wysłano depeszę o klęsce... Pan uważa, co ja mówię, obywatelu Fouché?

Minister, blady i wzburzony, skinął potakująco głową.

— Gdy Bonaparte urządził swój kawałek z Brumairem, miał pomocników, ludzi ambitnych, żądnych władzy i bogactw, nadętych psów, którzy, niestety, spostrzegli wkrótce, iż wybrali sobie pana niewygodnego: zabrał im całą zdobycz, na którą sami liczyli. Wśród tych wyciągaczy kasztanów z ognia znajdował się także jeden... jakbyśmy go nazwali?... No, nie będziemy dla niego szukali nazwiska!.. Powiedzmy, że był to minister policji... Pan mnie słucha z uwagą, obywatelu Fouché?

Minister policji znowu skinął głową.

Idźmy dalej. Gdy nadeszła depesza o klęsce pod Marengo, nasz minister pomyślał, iż nadeszła stosowna chwila wynagrodzenia sobie przeszłości przez ujęcie władzy w swoje ręce. Wśród współpracowników, którym przyrzekał złote góry, znajdował się także niejaki Klemens de Riz. Klęska powinna była unicestwić całą dotychczasową popularność Bonapartego... chwila była stosowna do obalenia generała. Po powrocie do Francji miał swoje miejsce znaleźć już zajętem... — Nasz sprytny minister ukrył dlatego na pewien czas depeszę i czempredzej swoją własną ręką — uważaj pan — swoją własną ręką, napisał tekst rozkazów, odezw, okólników, rozporządzeń, pouczeń... słowem przygotował wszystko, co było potrzebnem, aby nowy przewrót mógł się cieszyć powodzeniem. W pięć godzin potem proza ministra była wydrukowana w tysiącach egzemplarzy, które miały niezadługo zalać

całą Francję. Polecenie wydrukowania otrzymał Klemens de Riz. Wszystko było gotowe, nasz minister zbierał się już do czynu, gdy nagle... zgadnij, obywatelu, co się stało?

Fouché, jak piorunem rażony, milczał.

— Ooo! — mówił dalej Limoilans — jak widzę, nie umiesz pan odgadywać zagadek... No, ja panu pomogę... Przyszła druga depesza z doniesieniem, iż klęska pod Marengo zmieniła się w świetne zwycięstwo... I oto w jaki sposób... Ale czy pan tylko uważa, obywatelu-ministrze?

— Mów pan dalej — syknął przez zęby Fouché.

— Gdy nadeszła pierwsza depesza, wtedy Francuzi się cofali, a była to godzina druga. W tej chwili zjawił się generał Desaix ze świeżymi oddziałami. Spojrzał na zegarek i rzekł: „Zapóźno, aby wygrać bitwę, ale jeszcze czas na wydanie drugiej!”. Ruszył więc na nieprzyjaciela, który już poił się swem zwycięstwem. Wieczorem Francuzi jako zwycięzcy rozłożyli się na polu bitwy.

Osądź pan sam, co się stało z naszym ambitnym ministrem, gdy otrzymał wiadomość o zwycięstwie, które musiało w dwójnasób spotęgować popularność tego, którego miejsce sam chciał zająć. Przerażony zaczął w pierwszej chwili niszczyć ślady swego postąpienia bez namysłu. A najgorszymi śladami były właśnie te teksty, pisane jego ręką, które oddawał do druku Klemens de Riz... Minister zażądał ich z powrotem, aby je spalić... Wszystkie druki spalono, ale rękopisy zachował sobie de Riz, wyobrażając sobie bardzo słusznie, że minister po zniszczeniu wszystkich dowodów zdolnym jest także do pozbycia się świadka, bardzo niebezpiecznego świadka.

Tłumiąc w sobie bezsilną wściekłość, Fouché nie spuszczał swego ponurego wzroku z hrabiego.

— Klemens de Riz schował te niebezpieczne dokumenty w swoim zamku. Gdyby Bonaparte dowiedział

się o ich treści, sprytny minister byłby zgubionym człowiekiem. Dlatego też, aby owładnąć tymi drogocennymi wzorami swego pisma, wymyślił doskonały plan... Pewnej pięknej nocy pochwycił Klemensa de Riz z jego zamku... Gdy się rozpoczęły poszukiwania za zaginionym senatorem, najwidoczniej zajął się szczerze losem swego przyjaciela i wysłał swego najlepszego agenta, aby go odszukał. Dał mu tajne polecenie, aby odszukał i zniszczył te niebezpieczne papiery. W tym celu kupił plan zamku od starego sługi, Bernarda, który znał wszystkie zakątki i zakamarki zamku. Prawda, obywatelu Fouché, iż to było świetnie pomyślane? — zapytał hrabia, śmiejąc się szyderczo.

Fouché, przekonany teraz, iż tajemnica jego znajduje się w rękach rojalisty, zapytywał sam siebie, za jaką cenę sprzeda mu hrabia swoje milczenie.

Nie czekając odpowiedzi na zadane pytanie, mówił dalej hrabia:

— Tak, to było świetnie pomyślane, Patapon już ma papiery w ręku.

Po tych słowach minister, mimo wielkiej umiejętności panowania nad sobą, nie mógł powstrzymać lekkiego okrzyku zadowolenia. Skoro tylko jego król szpiegów odniósł zwycięstwo, Fouché nie miał się czego obawiać.

— Zresztą nie — poprawił się hrabia — omyliłem się, mówiąc, iż Patapon ma już papiery w ręku, ten prawdziwy Patapon, gdyż powinienem był powiedzieć, iż ktoś inny zajął jego miejsce... Muszę pana uprzedzić, obywatelu Fouché, iż Patapona spotkała w drodze mała przygoda.

Fouché spojrzał przerażony na hrabiego. Na chwilę tylko czuł się bezpiecznym, teraz jednak spostrzegł, iż zmieniły się tylko warunki, a co gorsza, wszystko zaczęło się zwracać przeciwko niemu, gdyż w miejsce Klemensa de Riz, wcale nie tak niebezpie-

cznego przeciwnika, wrogiem jego był człowiek, który szedł wprost do ataku.

Limoilans mówił dalej spokojnie:

— Zresztą przez Patapona, czy przez kogo innego, ale główna rzecz w tem była, aby wyrwać te papiery z rąk senatora... i to się stało, dzięki Bogu!

To „dzięki Bogu“ wcale nie uspokoiło ministra policyi, gdyż po długim milczeniu otworzył nareszcie usta.

— W czyich rękach są te papiery? — zapytał powoli.

— A! a! a! — rzekł hrabia — widzę, iż moja bajka przecież pana zajęła... Z początku byłeś pan trochę chłodny... a teraz pilno panu dowiedzieć się końca... W czyich rękach? — pytasz pan... W rękach ludzi, których rozsądek powinien uspokoić tych, o których właśnie mowa.

Wcale nie uspokojony tym rozsądkiem, który tak wychwalał przed nim hrabia, Fouché pomyślał, iż najlepiej będzie, gdy się dowie, w jakim stopniu grozi mu niebezpieczeństwo.

— Jakie są zamiary obecnych właścicieli tych papierów? — zapytał.

— O, najczystsze, najprostsze, najprzyjaźniejsze... Pragną tylko, aby autor tych rękopisów usłuchał, jak to mówią, głosu rozsądku.

— A co mówi mu ten głos?

— Jeżeli jutro Bonaparte dowie się prawdy, jeżeli się dowie, iż pan chciałeś zająć jego miejsce, wtedy... będzie bowiem musiał przekonać się o wątpliwej wierności swych pomocników — a strach jest najlepszym środkiem do osiągnięcia tego celu — wtedy, być może, skorzysta z tego wypadku, aby dla przykładu rozkazać... z natury jest przecież zapalczywym... rozstrzelać zdrajcę, albo przynajmniej zesłać go do Cayenny. A mówiąc między nami, Bona-

parte jest zdolny do wydania takiego rozkazu, — prawda?

— Tak — przyznał otwarcie Fouché.

— Powiem panu dalej, co powiedzą ministrowi ludzie rozsądni, posiadający teraz jego rękopisy. Powiedzą więc, iż te papiery, za które możesz pan otrzymać dwanaście kul w piersi lub dostać żółtej febry w Cayenne, mogą panu oddać, jeżeli pan zechce. Zgódź się pan na nasze warunki, a otrzymasz je pan z pewnością.

— Jakie są te warunki? — wykrztusił z siebie z trudem minister policyi.

— Oh, kochany obywatelu ministrze, sprzedajemy towar z rąk do rąk!... Zanim panu przedstawię te warunki, trzeba dać przynajmniej temu, kogo one dotyczą, czas przekonać się, iż znajduje on się w rękach swoich przeciwników... Musi się zastanowić, poradzić się kogoś... naprzykład Patapona. Sądzę, iż ten sprytny agent już powrócił. Od niego dowie się minister, że rzeczy istotnie tak się mają, jak mu mówiono... a potem, być może, że warunki nie wydadzą mu się tak ciężkimi.

Po tych słowach rojalista pociągnął za sznurek a gdy karetą stanęła, wyskoczył z niej i zamykając za sobą drzwiczki, rzekł do ministra, zdziwionego jego szybkim znikaniem:

— Zastanów się pan dobrze nad moją bajką, obywatelu ministrze... Do wjdzenia, do prędkiego wjdzenia!... Do ministerstwa! Twemu panu bardzo się spieszy! — dodał, zwracając się do stangreta.

Konie pomknęły galopem i naczelnik rojalistów został sam jeden na bulwarze.

— Co się mogło stać z moim królem szpiegów? — pytał się sam siebie po drodze przerażony minister policyi.

W dziesięć minut potem zatrzymał się przed gmachem ministerstwa.

— Patapon powrócił i czeka na górze, obywatelu ministrze — rzekł do niego szwajcar, który podbiegł, aby spuścić stopień karety.

II.

Przechodząc przez przedpokój, Fouché dostrzegł natychmiast wśród innych osób swego ulubionego agenta i dał mu znak, aby się udał za nim do gabinetu.

Wszedłszy tam, Patapon zatrzymał się przy drzwiach, zamknawszy je starannie za sobą.

— Co się z tobą stało, bydlaku jakiś?! — krzyknął minister, mając nareszcie na kimś wyrzucić swą złość, która go formalnie dusiła.

Bynajmniej takim wstępem nie przerażony, Patapon odpowiedział mu z całym spokojem:

— Stało się ze mną to, co się stać może z najsprytniejszym... najzupełniejsze niepowodzenie... Spotkałem się z człowiekiem sprytniejszym odemnie.

To otwarte przyznanie się było dla Fouchégo dowodem, iż przegrał partycję, ale jednocześnie przywróciło mu spokój, nieodzowny dlatego, aby mógł rozejrzeć się w położeniu i przekonać się, czy istotnie znajduje się w rękach hrabiego.

— Opowiedz mi wszystko! — rozkazał.

— Rzecz bardzo prosta... Nie wiem, jakim sposobem, ale ktoś się dowiedział o naszym projekcie i skorzystał z tego. Wyjechałem z pańskimi rozkazami i spotkałem w Tours tego biednego Jakóba. Muszę pana uprzedzić, że był napad i Jakób pozostał na placu martwy.

— Dobrze, a potem? — zapytał Fouché, który nie był tym człowiekiem, aby ubolewał nad losem drugorzędного agenta.

— Znalazłem więc w Tours nieboszczyka Jakóba, który czekał tam na mnie, stosownie do polecenia, po

porwaniu senatora. Wziął do pomocy jeszcze trzech agentów, których po dokonaniu czynu wysłał natychmiast z powrotem do Paryża... Był w Tours razem z Bernardem, tym starym sługą senatora, który miał nam dać plan zamku... Muszę powiedzieć na jego pochwałę, iż zaufał nam zupełnie i oddał towar, zanim jeszcze otrzymał pieniądze. Jakób dla ostrożności zaszył sobie plan w kołnierz swego paltota. Siedliśmy razem do dylizansu, który za dwie godziny powinien był stanąć w Langers, pojechał także z nami. Między nami trzema postanowionem było, iż celem powodzenia będziemy przez całą drogę udawali, że się nie znamy.

— A więc w dylizansie byli jeszcze inni pasażerowie?

— Jeden, który wsiadł w Orleanie.

— Co za człowiek?

— Lat może dwudziestu pięciu do trzydziestu, zdrów i silny.

Na wspomnienie tego człowieka król szpiegów zacisnął zęby i szepnął z głuchą wściekłością:

— Oh! Znajdę ja go i odpłacę mu z nawiązką za wszystko! Słowo Patapona!

— Rozmawiałeś z nim po drodze z Orleanu do Tours? — zapytał minister.

— Chciałem to uczynić, ale po pierwszym moim słowie dał mi do zrozumienia, iż jest głuchy. Nic nie można było z niego wydobyć.

— Czy istotnie był głuchy?

— Oh, potem dowiódł tego aż nadto wyraźnie, iż nie był głuchy. Aż do Tours nie udało mi się rozruszać go. On i ja przyjechaliśmy razem do Tours na obiad. Jakób i Bernard już tam czekali na mnie przy stole.

Patapon umilkł na chwilę i pokiwał smutnie głową.

— Ten obiad też nas zgubił — mówił dalej. — Ten Jakób był sprytnym chłopcem, ale na nieszczęście lubił pić, tak, iż gdy ruszyliśmy w drogę, był trochę podпиты. Z początku, stosownie do mej rady, udawał, iż nie zna ani mnie, ani Bernarda. Siedzieliśmy w milczeniu i patrzyli na siebie wzajemnie, jak fajansowe psięta.

— A głuchy?

— W Tours nie wychodził wcale i spał w karecie. Gdy weszliśmy do dylizansu, znaleźliśmy go rozwalonego w kącie i chrapiącego, a raczej udającego, że chrapie, jak prawdziwy głuchy. Było to tak doskonale udane, że Jakób wdepnął. Dzięki winu zapomniał wkrótce o umowie i zaczął rozmawiać z Bernardem, coprawda, o rzeczach obojętnych, ale raz mu się wyrwało: „Zapytaj się Patapona!“ W ten sposób dał do zrozumienia, iż się znamy; należy dodać, iż podczas tego głuchy chrapał, jak najęty. Spał też aż do Louisgny, ostatniej stacyi przed Langers, gdzie mieliśmy zmienić konie. Za godzinę mieliśmy być na miejscu, gdy nagle rozległy się strzały i musieliśmy się zatrzymać, gdyż jeden z koni padł. Wskoczyłem z karety, ale zaledwie stąpiłem na ziemię, schwytano mnie, związano i powleczono do lasu, przeszukując po drodze moje kieszenie.

— Szukali u ciebie planu?

— Tak, a ponieważ niczego nie znaleźli, ktoś dwa razy huknął, jak puhacz — był to prawdopodobnie umówiony sygnał, aby zawiadomić o bezskutecznej rewizyi. To było nieszczęściem dla biednego Jakóba.

— Dlaczego?

— Dlatego, iż głuchy, zrozumiawszy, że plan znajduje się u niego, roztrzaskał mu głowę.

— Do stu tysięcy dyabłów! — zawołał Fouché.

— Tak samo postąpił sobie i z Bernardem. Ten miły głuch nie chciał, aby zazdrościł Jakóbowi.

— A ty?

— Mnie skrępowano, zawiązano mi oczy, zakneblowano usta i uwieziono, rzuciwszy mnie, jak wiązkę siana w poprzek siodła, tak, iż nie mogłem przyjrzeć się twarzom napastników.

— A z ich rozmowy nie mogłeś wyciągnąć jakich wniosków lub wskazówek?

— Gdyby byli rozmawiali! Ale na nieszczęście po pięciogodzinnym galopie usłyszałem dopiero pierwsze słowa: „Przywiążemy cię do drzewa, za dwie godziny rozwidni się i pierwszy lepszy przechodzień uwolni cię“. Potem zdjęli mnie z konia i przywiązali do drzewa, nie zdejmując jednak opaski z oczu.

— Dalej? — zapytał niecierpliwie minister.

— Po upływie czterech godzin spostrzegli mnie nareszcie przechodnie i uwolnili. Znajdowałem się o dziesięć mil od Langers. Na najbliższej stacyi pocztowej wziąłem konia i pogalopowałem na złamanie karku do zamku de Riz, ale tam już wszystko było załatwione... wszędzie szukano fałszywego Patapona który jakby się w ziemię zapadł.

— Co powiedział senator, gdy ujrzał się na wolności?

— Zdaje się, iż w mimowolnem odosobnieniu pomyślał sobie o panu i domyślił się, z kąd ten cios pochodzi, gdyż skoro tylko znalazł się na wolności, popędził natychmiast do zamku i poblądkł, spostrzegłszy, że jego papiery zniknęły.

— W takim razie będzie się mścił na mnie, skoro wie, kto go zamknął.

Patapon z uśmiechem pokręcił głową.

— On... mścić się?!... Jeszcze czego!... Nigdy!...

— Nigdy, powiadasz, dlaczego?

— Z tej prostej przyczyny, że obywatel de Riz nie wierzy w historję fałszywego Patapona, którą uważa za bajkę, wymyśloną przez nas, aby lepiej ukryć pułapkę, w którą schwytałyśmy go. Teraz jest

przekonany, iż papiery znajdują się w naszych rękach, boi się nas i nie powie nigdy prawdy z obawy, aby nie ściągnął na siebie naszej zemsty. Dlatego też z radością chwycił się bajki, którą mu podszepnąłem.

— Jakiej bajki?

— Że go pochwycili szuani, aby wziąć od niego wielki okup. Ręczę głową, iż będzie wszystkim powtarzał tę bajkę, nawet gdyby się w tej sprawie rozpoczęło śledztwo. Jakiż miał pocieszny wygląd ten kochany senator, gdy się przekonał, że papierów nie ma... Nie mogę tego wspominać bez śmiechu.

Fouché jednak, wiedząc, w czyje ręce dostały się te przekłete papiery, nie podzielał wcale wesołości swego agenta.

Można było pomyśleć, iż Limoilans podsłuchiwał gdzieś w jakimś kącie, gdyż zaledwie Patapon skończył swoje opowiadanie, dało się słyszeć pukanie do drzwi.

— Otwórz — rzekł Fouché do agenta, który na samym początku rozmowy zamknął drzwi na klucz.

Wszedł jeden z urzędników i podał ministrowi zapieczętowany list.

— Czekają na odpowiedź — rzekł.

List zawierał tylko trzy słowa, napisane najwidoczniej zmienionym charakterem pisma:

„Od handlarza papierami“.

Fouché zrozumiał, iż chcą mu podać warunki, na których może otrzymać te niebezpieczne papiery.

— Poproś go pan, aby zaczekał chwilkę — rzekł minister tonem spokojnym, aczkolwiek serce zabiło mu silniej, czując zbliżające się niebezpieczeństwo.

Urzędnik wyszedł.

— Idź teraz — rzekł Fouché do Patapona. — Wyjdiesz przez gabinet sekretarza, gdyż ten, który tutaj teraz przyjdzie, nie powinien cię widzieć. Pójdiesz potem do przedpokoju i będziesz czekał. Jeżeli poze-

gnam się z tym gościem skinieniem ręki, pozwolisz mu odejść spokojnie, jeżeli zaś na pożegnanie kiwnę głową, będziesz go śledził, dokądkolwiekby się udał i jutro zdasz mi raport.

— Zrozumiałem — odparł Patapon, który od chwili, gdy już nie miał nic do opowiadania, powrócił do swego zwykłego lakonizmu.

Pozostawszy sam, Fouché zadzwonił i kazał wprowadzić człowieka, który przyniósł list.

— Nieznajomy — pomyślał na widok wchodzącego młodego człowieka o dumnym, stanowczym wyrazie twarzy.

— Obywatelu ministrze, czy pan wie, kto mnie do pana przysyła? — zapytał nieznajomy szyderczym trochę tonem.

— Tak, łaskawy panie — odpowiedział Fouché, wskazując krzesło.

— Dziękuję — rzekł z uśmiechem młodzieniec. — Nie chcę panu zabierać drogocennego czasu, tem więcej, iż dane mi polecenie jest bardzo krótkim.

— Słucham.

— Pański handlarz papierami, przypuszczając, iż miałeś pan czas przekonania się o wartości towaru, chciałby jak najprędzej umówić się co do warunków dostawy, o której rozmawiał z panem w karecie. Przysyła mnie więc z zapytaniem, czy nie mógłbyś pan dzisiaj wieczorem o godzinie dziesiątej przyjść w jakieś zaciszne miejsce... naprzykład na bulwar de la Gare?

— Oh, to rzeczywiście zaciszne miejsce, bardzo zaciszne, nawet zbyt zaciszne. Czy mogę wiedzieć, co mnie czeka w tym zapadłym kącie Paryża, pustym i w dzień i w nocy? Dla pańskiego handlarza papierami jestem niebezpiecznym wrogiem, który go może ubezwładnić. Kto mi zaręczy, że na wypadek, gdy się nie pogodzimy, powrócę cały i zdrow z tej schadzki?

Młody człowiek skłonił się i, nie mówiąc ani słowa, skierował się ku drzwiom.

— Dokąd pan idziesz? — zapytał go pośpiesznie Fouché.

— Idę zawiadomić tego, który mnie wysłał, iż pan się boi — odparł nieznajomy tonem, w którym czuć było pogardę.

Fouché wyprostował się dumnie.

— Przyjdę, łaskawy panie — rzekł sucho.

Myśl o Pataponie odgrywała niemałą rolę w tym porywie odwagi ministra, gdyż za młodzieńcem miał się udać Patapon i sam nie wiedząc o tem, zaprowadzi go na miejsce schadzki. W takim razie byłby pod ręką obrońca.

Otrzymawszy odpowiedź, młodzieniec skierował się znowu ku drzwiom. Fouché odprowadził go i na pożegnanie skinął głową, dając w ten sposób umówiony znak Pataponowi.

Nieznajomy już zniknął, a król szpiegów nie objawiał, zdaje się, zamiaru ruszenia się ze swego kąta.

— Na co czekasz jeszcze? — zapytał go podrażnionym głosem Fouché.

— Do licha!... — zawołał Patapon. — Ależ ja go znam!... To ten głuchy... fałszywy Patapon... A! Teraz już mi nie ujdzie!

Agent jak strzała puścił się za markizem. Wybiegłszy na ulicę, spostrzegł Raula de Coignier, idącego spokojnie może w oddaleniu stu kroków od ministerstwa.

Ubrany w szary kostyum i łąkowe buciki, odróżniał się od wszystkich i łatwo go było odszukać wśród tłumów. Szedł wolno, zaledwie wlokąc nogami z miną człowieka, który nie ma nic do roboty i któremu się nie spieszy. Nie odwrócił się ani razu, najwidoczniej szedł z takim spokojem, iż się to królowi szpiegów wydało podejrzanem.

— Mój zuch jest zanadto spokojnym — pomyślał sobie Patapon. — Czyżby podejrzewał, że go śledzę?

Aby usunąć wszelkie wątpliwości pod tym względem, postanowił zrobić próbę.

— Ma lat trzydzieści... doskonale pamiętam jego oczy... to nie oczy kapucyna. Dlatego na widok pierwszej ładnej kobiety, którą spotka, powinien się obrócić, aby ją obrzucić wzrokiem. Jeżeli tego nie uczyni, to znak, iż czuje, że go ktoś śledzi... Za wiele ostrożności, bardzo za wiele, mój kochanku! Patapona nie tak łatwo wyprowadzić w pole.

Dwie kobiety rozminęły się z markizem, ale nie obejrzał się za nimi.

— Tak, tak, ma przecież słuszość, te nie warte nawet pół sekundy uwagi — pomyślał Patapon, przyglądając się z miną znawcy kobietom, gdy te z nim się zrównały.

Zwierzyna i myśliwy przeszli jeszcze ze sto kroków, spotykając po drodze same tylko brodate i wąsate stworzenia.

— Do dyabła! — zawołał nagle Patapon na widok kobiety, która szła naprzeciw nich. — Fanchetta! No, dla tej to się już warto odwrócić. Zobaczymy, co zrobi mój figlarz.

Próba Patapona zawiodła, gdyż nim służąca zrównała się z markizem, on skreślił nagle i przeszedł na drugą stronę ulicy; tu wmięszał się w tłum, który stał przed budą z wielkim napisem :

„Człowiek-fenomen, czyli ofiara niezaspokojonego kaprysu“.

Rozrywki ojców naszych nie były bardzo doborowe. Człowiek-fenomen zajmuje w historii gapiostwa paryskiego jedno z pierwszych miejsc. Cały Paryż pędził w r. 1800 na ulicę św. Honoracyusza, aby oglądać ten dziw natury.

Za marne cztery sous pokazywał się obnażony do pasa, a w różnych miejscach jego tułowia można było oglądać: główkę sałaty, dwa szczury, głowę konia i widelec. Przyczyną tego naturalnego przyozdo-

bienia było, jak sam opowiadał, to, iż nie zadowolono kaprysu jego matki, gdy znajdowała się w stanie błogosławionym.

Naciągał publiczność przez pół roku, aż wreszcie policja przekonała się, że wszystkie te rysunki robione są na jego ciele lapisem. Zapisano go przemocą do pułku jazdy, a rzekomy fenomen poległ pod Wagram w randze oficera.

Przed tą budą więc zatrzymał się markiz de Coignier.

Z ust Patapona zerwało się przekleństwo, gdy spostrzegł, iż jego głuchy za przykładem innych wszedł do środka.

— Do stu piorunów! — mruknął. — Mój figlarz mi ujdzie, jeżeli buda ma drugie wyjście!

Patapon mógł także wejść do budy, ale narażał się na to, iż rzekomy głuchy pozna go natychmiast, a dotychczas najwidoczniej nie przeczuwał, iż ktoś go śledzi. Wobec tego trzeba było pozostać na ulicy, zdając się na szczęśliwy przypadek, że buda nie posiada drugiego wyjścia.

— Ah, to wy, obywatelu Pataponie! — odezwał się obok niego jakiś dzwięczny głosik.

Patapon odwrócił się i zobaczył podchodzącą do niego Fanchettę, o której na razie zapomniał.

— Do usług, moja piękna — odpowiedział.

Aczkolwiek służąca była przystojną bardzo z daleka, to przecież, przypatrzywszy się jej z bliska, można było poznać, iż jakaś chmura troski spoczywa na jej obliczu.

Słowa agenta zastanowiły ją. Zamyśliła się na chwilę, jakby radząc się sama siebie, co począć.

— Zresztą dlaczego by nie! — zawołała.

— Potrzebujesz mej pomocy?

— Tak, to leży w pańskim rzemiośle.

— Słucham.

— Trzeba znaleźć jedną zgubioną rzecz.

— Czyją?

— Mojego narzeczonego, który zginął przed tygodniem.

Pograżona w rozpacz z powodu zniknięcia swego ukochanego, zapomniała Fanchetta o tej scenie, gdy z wstydlivością oświadczyła Pataponowi, iż ona nie z takich dziewcząt, które... i t. d. Dlaczego agent zachowywał się wobec niej z takim niedowierzaniem?

Teraz król szpiegów mógł jej tę scenę przypomnieć, ale się powstrzymał. Dowiedzieć się sekretu służącej, to znaczyło mieć ją później w swem ręku. Udał też, iż gotów jest pomóc jej.

— Jego nazwisko? — zapytał.

— Pierrot.

— Pierrot... a dalej?

— Cóż jeszcze „dalej“?

— Pierrot, to imię chrzestne, ale nazwisko?

Patapon żądał za wiele od służącej, która pokochoła Saint-Régenta, zadawałnając się imieniem Pierrot, przezwiskiem, pod którym baron znany był wśród szuanów.

— Czem się zajmuje ten Pierrot? — pytał dalej.

Ale z własnej winy agent nie otrzymał odpowiedzi. Rozmawiając z Fanchettą, nie spuszczał z oka wejścia do budy. Ta uwaga, a raczej nieuwaga wzbudziła ciekawość służącej, to też odwróciła się, aby zobaczyć, co tak mogło zająć Patapona.

— Ah! To tutaj jest ten człowiek - fenomen! — zawołała, patrząc na szyld na budzie. — Mój narzeczony przyrzekł, iż mnie tu kiedyś przyprowadzi... Pójdę się popatrzeć, co to takiego!

I zapomniawszy o swoim zmartwieniu, porzuciona kochanka przebiegła przez ulicę i zniknęła w bramie budy.

— To i lepiej — mruknął Patapon. — Gdyby mój chłopiec wyszedł, musiałbym opuścić służącą, nie powiedziawszy jej nawet dobranoc!

Czekał dalej cierpliwie, schowawszy się w bramie sąsiedniego domu.

Nastała już prawie noc, gdy człowiek w szarem ubraniu i łajkowych bucikach wyszedł nareszcie z budy.

Ku zdziwieniu Patapona nie był sam. Prowadził pod rękę kobietę, którą Patapon poznał natychmiast po ubiorze i po ruchach: to była Fanchetta.

W chwilę potem agent ruszył za młodymi, którzy uszli, nie spiesząc się wcale i rozmawiając ze sobą, jak para zakochanych.

Wyszli na bulwar, a potem przeszli przez most naprzeciw ulicy Baque. Noc nastąpiła już zupełna, ale szare ubranie młodzieńca można było widzieć doskonale. Patapon szedł za nimi w oddaleniu może pięćdziesięciu kroków.

Para weszła w ulicę Baque, po kilku krokach jednak skrzyła w zaułek, wychodzący na rynek Boulainviliers i zatrzymała się przed furtką w murze, którą otworzyła Fanchetta.

— Ah, to tylna strona domu Gracini — rzekł do siebie agent, chowając się w przyległej bramie.

Doszedł go odgłos pocałunków, którymi żegnali się zakochani.

— Dobrze — pomyślał Patapon — mój ptaszek tylko odprowadzał Fanchettę. Żegnają się i on pójdzie dalej sam... Doskonale, mój gołąbku, dowiem się przecież, w którym się chowasz gołębniku.

Słysząc było, jak drzwi zamknęły się za Fanchettą i młodzieniec, wracając, przeszedł obok Patapona.

Zwierzyna przeszła może w oddaleniu trzech kroków od myśliwego, nie zauważywszy jego obecności.

Gdy przeszła, Patapon wyskoczył ze swojej zasadki, drżąc cały z wściekłości.

— Oszukano mnie! To nie głuchy!... — szeptał do siebie urywanym głosem.

Człowiek, którego śledził był w szarem ubraniu i łajkowych butach... ale to nie był Raul de Coignier!

Oslawiony król szpiegów jakoś nie miał szczęścia. Ujrzał się po raz drugi haniebnie pokonanym.

Gdy minęła pierwsza chwila wściekłości, a trwało to najwyżej z minutę, powróciła mu zwykła jego zimna krew. Zaczął się zastanawiać. Jeżeli ten nieznamy, ubrany jednakowo z głuchym, zbił go z tropu, to znaczyło to, iż sztuczka była z góry obmyślana i obaj znali się doskonale.

Można było iść o zakład, iż ten wielbiciel Fanchetty pójdzie teraz do swego przyjaciela, który czeka na niego gdzieś w jakimś kącie, aby się razem mogli wyśmiać z Patapona.

— Śledząc tego człowieka, może przecież wpadnę na ślad mojego głuchego — pomyślał Patapon.

Nie tracąc ani chwili, wyszedł z ukrycia i poszedł przez zaułek, aby się dostać na ulicę Baque.

Ale szczęście biedakowi wcale nie sprzyjało. Za ledwie postąpił trzy kroki, gdy nagle pochwyciono go za obie ręce.

— Do diabła! — zawołał zdumiony, czując w oczach piekący ból.

Nasypano mu do ócz tabaki.

Następnie zarzucono na niego wielki wór, aż do samych pięt, obrócono głową na dół i zawiązano. Agent znalazł się w więzieniu nowego typu, tem więcej, iż obwiązano go jeszcze dokoła sznurami na wzór kielbasy lyońskiej; to była za wielka ostrożność.

Z myśliwego zamienił się Patapon w zwierzyne, w dodatku złapaną w sidła.

— Jest ich sześciu — pomyślał sobie, policzywszy, iż około niego pracowało dwanaście rąk.

Obwiązawszy go starannie, podnieśli go i zaczęli dźwigać, gdzie... mógł się tylko domyślać.

— Może mnie wrzucą do Sekwany? — mówił do siebie, a zimny pot wystąpił mu na czoło.

Patapon, który miał pewne wiadomości z dziedziny historyi, wpadł na tę myśl, przypomniawszy

sobie legendę o Małgorzacie Burgundzkiej, która wyprawiała do wody swych kochanków, zaszywając ich przedtem we worki, aby im oszczędzić trudu ratowania się w pław.

W sześć minut potem, a tyle właśnie było czasu potrzeba, aby się dostać nad brzeg Sekwany, a nawet na środek mostu, więzień, mimo swego niewygodnego położenia, pragnący bardzo dalszego spaceru we worku, poczuł, iż ludzie niosący go, zatrzymali się.

Z poziomego, położenie jego stało stę pionowym, ale zawsze głową na dół.

Nastąpiło lekkie bujanie na huśtawce — znowu głową na dół — i agent poczuł, że gdzieś leci.

— Zginąłem — pomyślał.

Ale zamiast wody głowa jego spotkała się z czemś twardem, a wskutek silnego uderzenia Patapon stracił przytomność. Na szczęście dla niego miał taki wytrzymały czerep, że mu się nic nie stało.

W pół godziny potem agent przyszedł do siebie. W czasie upadku płótno pękło i sznury się rozluźniły. W chwilę potem nasz bohater był wolny i stanął na nogi.

Zaraz się zorientował, dokąd go los rzucił. Wrzuciono go do otworu piwnicy jednego z domów na bulwarze, a ten otwór widział doskonale wśród mroku na wysokości 4 metrów od podłogi. Wprowadziło go to na myśl wydostania się tą samą drogą, którą się tutaj wbrew swej woli dostał. Posunął się ku ścianie, aby się przekonać, czy przedsięwzięcie to się uda.

— A to co takiego? — pomyślał, czując, iż nogi jego w pobliżu ściany natrafiły na jakąś przeszkodę.

Zaczął macać rękami i przekonał się, iż była to mała beczka na 25 litrów.

Miał właśnie wleźć na nią, aby się zbliżyć choć trochę do otworu, gdy ten nagle się przysłonił. Ktoś stanął przy otworze i zapytał półgłosem:

— Carbon, ty tu?

Nie otrzymując odpowiedzi, gdyż Patapon uznał za stosowne nie odzywać się wcale, pytający świsnął dwa razy.

Widocznie świst ten usłyszeli ci, do których on się odnosił, gdyż natychmiast w pobliżu dały się słyszeć ciężkie kroki człowieka, schodzącego po schodach, a światło, które się wdarło do piwnicy, pozwoliło Pataponowi zauważyć, iż drzwi były otwarte na oścież.

W jednej chwili Patapon wraz ze swym workiem schował się w kąt piwnicy.

Agent mógł być zwrócić się wprost do wchodzącego i objaśnić go o sposobie, w jaki się dostał do piwnicy, ale nagle zbudził się w nim szpieg; jakiś wewnętrzny głos mu mówił, iż dowie się tutaj czegoś nowego.

Obawa, iż mogą spostrzedz jego obecność, zniknęła wkrótce, gdyż przybyły, zamiast przynieść ze sobą do piwnicy latarkę, postawił ją na ziemi na kurytarzu, z którego wyszedł.

Podszedłszy w półmroku do otworu, świsnął sam.

— Jeszcze jeden — dało się słyszeć z ulicy.

— Dobrze, rzucaj! — odezwał się gość piwniczny, wznosząc obie ręce do góry.

Dało się słyszeć wsuwanie jakiegoś twardego ciała do otworu, potem nagle odgłos ten ucichł, a głos z góry zapytał pospiesznie:

— Słuchaj, Carbon, nie palisz teraz fajki?

— Nie, rzucaj...

— Światło, z którym przyszedłeś, daleko ztąd?

— Bądź spokojny, latarnia została w kurytarzu.

— Widzisz, pytam się tylko dlatego, iż w tej beczce jest szpara i sypie się. Rozumiesz, co by się mogło stać, gdybyś miał w gębie fajkę. No, trzymaj!

I beczka, owiązana sznurkiem, stoczyła się powoli wzdłuż ściany na ręce czekającego na nią człowieka.

Patapon tymczasem pomyślał, iż gdyby dłużej pozostawał w piwnicy, mogliby go zamknąć, to też

przesunawszy się ostrożnie przy ścianie wyskoczył na kurytarz, gdzie ukrył się po przeciwnej stronie tej, z której przyszedł Carbon.

Ze swej nowej kryjówki mógł Patapon usłyszeć ostatnie słowa człowieka, który dla swego towaru tak bardzo obawiał się ognia.

— Na dziś dosyć, stary... Jutro o tej samej porze. Dobranoc.

— Dobranoc — odpowiedział Carbon.

— Aha! Zamknijże te kraty, bo przez tę dziurę możnaby wjechać konno.

Po tych słowach nieznajomy odszedł, a Carbon usłuchał jego rady i zamknął ciężkie kraty otworu.

Następnie wyszedł, zamknął drzwi piwnicy na klucz, wyszedł po schodach na górę i wziął do rąk latarnię.

— Po co oni tutaj składają proch? — pomyślał agent, pozostawszy sam w ciemnym kurytarzu.

Nie było nikogo, ktoby był mógł dać mu na to odpowiedź.

Patapon, zapomniawszy o swoim głuchym, podszedł omackiem ku schodom.

— Oto przygoda, której się nie spodziewałem — mówił do siebie. — Już ja się dowiem, co to za sprawa, choćby to mnie nie wiedzieć ile kosztować miało!

III.

W tej samej chwili, gdy król szpiegów wybierał się na nowe poszukiwania, karetą, która jechała przez bulwar nadbrzeżny, po minięciu Ogrodu botanicznego zatrzymała się przy la Gare w miejscu, wybranem przez hrabiego Limoilans na widzenie się z ministrem policyi.

Teraz Paryżanin nie podejrzewa nawet, czem w r. 1800 był ten pusty kąt Paryża, nazwany la Gare.

W tem miejscu, gdzie dziś wznosi się dworzec Orleańskiej kolei żelaznej i sąsiednia dzielnica, rozprze-strzeniło się od Sekwany aż do Salpetriere puste pole, zwane la Gare.

Nazywało się tak dlatego, iż zaczęli tu kopać półokrągły basen, aby w czasie puszczania lodów lub powodzi ochraniać (*garer*) statki handlowe, kursujące po Sekwanie. Pożyteczną tę pracę wstrzymano, gdyż parlament nie chciał potwierdzić patentu, pozwalającego na tę budowę.

Była godzina dziesiąta, gdy karetka zatrzymała się pod drzewami w pobliżu szpitala, a z niej wyszli Limoilans i Raul de Coignier.

— Czy on przyjdzie? — zapytał hrabia, gdy obeszedszy budynek, wyszli na otwarte pole.

— Zanadto się nas obawia, aby mógł myśleć o wyprowadzeniu nas w pole... Przyjdzie, bądź pan spokojny, a nawet, jako człowiek rozsądny, przyjdzie sam, aby nie powierzać innym swojej tajemnicy. Jeden tylko człowiek wie o istnieniu tych dokumentów, nie przypuszczając jednak, jak one są ważne, a mianowicie Patapon.

— Przyjdzie więc z nim.

— Wątpię bardzo — odparł Raul, śmiejąc się. — Teraz powinien się znajdować w rękach sześciu naszych, którzy spłatali mu najwidoczniej jakiegoś brzydkiego figla, aby go oduczyc od manii śledzenia innych ludzi.

Limoilans z kolei roześmiał się także.

— A więc nie omyliłem się — zauważył — przypuszczając, iż Fouché wyszle za panem szpiega.

— Nie... z pańskiego polecenia wiodłem przez pewien czas za sobą Patapona, aż wreszcie wszedłem do budy człowieka-fenomena, gdzie czekało na mnie siedmiu naszych, ubranych tak samo, jak ja.

— I z nastaniem nocy wyszliście wszyscy ośmiu z budy i rozeszliście się w różne strony, aby zbić z tropu szpiega?

— Nie, ten manewr był zupełnie zbyteczny. Jeden z nas wystarczył, aby wprowadzić Patapona na manowce... a to dzięki kobiecie, która przypadkowo weszła wtedy do budy. Była to Fanchetta, służąca u Gracini. Spostrzegłszy barona, swego Pierrota, którego nie widziała przez cały tydzień, tak się do niego przyczepiła, że postanowił odprowadzić ją do domu.

— I Patapon puścił się w pogoń za nim?

— Naturalnie, i to z takim zapałem, iż nie zauważył, że sześcioru naszych deptało mu po piętach.

— Cóż z nim zrobili?

— Nie wiem... z budy poszedłem prosto do hotelu Murinet, gdzie miałem czekać na pana.

— Saint-Régent będzie mógł opowiedzieć panu o przygodzie Patapona.

— Skoro go zobaczę, zaraz się zapytam — rzekł Raul.

— Nie potrzeba chodzić daleko, gdyż naszym wóźnicą jest właśnie sam baron. Udasz się pan do niego podczas mej rozmowy z Fouchem... A oto i on sam... Idźże pan teraz do barona.

Po tych słowach udał się Limoilans na spotkanie ciemnej postaci, która się pojawiła w oddaleniu trzydziestu kroków od nich.

Nie omylił się, był to istotnie minister policyi.

Między dwoma ludźmi, którzy się nienawidzili wzajemnie, wszelkie ceremonie były zbyteczne, to też hrabia przystąpił wprost do rzeczy.

— Obywatelu — rzekł — w moich rękach znajdują się papiery, których doniosłość obu nam jest znana. Czy pan się chce dowiedzieć, na jakich warunkach możesz otrzymać te papiery?

— Oh, domyślam się. Chcecie, abym dopomagał do waszych projektów.

— Nie, obywatelu, nie potrzeba mi wcale pańskiej pomocy — odparł sucho Limoilans.

— Więc czego pan właściwie chce?

— Pańska neutralność mi potrzebna. Urządź się pan tak, a pod tym względem ufam pańskiemu sprytowi, abyś pan nie stawał w poprzek mojej drogi. Zakryj pan oczy na mnie i na moich... słowem, w swej sieci pozostaw pan otwór, przez który mógłbym przejść... a papiery będą panu zwrócone.

— Jak długo będę musiał zachowywać tę neutralność?

— Przez trzy miesiące — odparł po chwili Limoilans.

— Narażam się na otrzymanie dymisji.

— Za dobrze znam pański spryt i rozum, obywatelu ministrze, abym nie był przekonany, że unikniesz tej nieprzyjemności — odparł szyderczo hrabia. — Porządek we Francji jest jeszcze tak nietrwałym, że pan będziesz miał wiele wypadków do okazania w pełnym blasku swego talentu, nie tykając mnie zupełnie.

Fouché uśmiechnął się.

— Jeżeli pana dobrze zrozumiałem, — rzekł — powiadasz mi pan: „Napieraj pan innych, a mnie pozostaw w spokoju“. Prawda?

— Tak — przyznał Limoilans.

Minister zaczął się zastanawiać.

— Dla której części Francji ofiarujesz mi pan ten warunek? — zapytał powoli.

— Dla Paryża.

— W takim razie omyliłeś się pan w adresie — odparł Fouché. — Paryż mnie nie dotyczy, zarządza nim nowy prefekt, obywatel Dubois.

— Oh, Dubois! — zawołał pogardliwie Limoilans.

— Nie mów pan takim tonem... Dubois jest niebezpiecznym. Teraz za jakąkolwiek cenę chce się odznaczyć... Nie mając stosownego wypadku, umie go przygotować... Ot niedawno dowiedziałem się o małym spisku przeciwko pierwszemu konsulowi, a stworzył go sam przy pomocy swego agenta policyjnego Garella. Dziś w teatrze robi sobie tę przyjemność i każe a-

resztować spiskowców. Tacy biedacy republikanie, jak Arena, Zerragi i Topinaud-Lebrun zginą na gilotynie dla sławy obywatela Dubois... Widzisz pan, wymieniam nawet ich nazwiska, zanim zostaną aresztowani, gdyż jestem przekonany, że plan obywatela prefekta powiedzie się w zupełności.

Duch stronnictwa podszeptał hrabiemu następujące okrutne słowa:

— Dlaczego nie miałbyś pan postąpić jak Dubois? Stracenie kilku republikanów odwróci od nas uwagę społeczeństwa.

— Ah, powracasz pan do swego! Napieraj pan na innych!... Prawda?

Nie czekając na odpowiedź hrabiego, Fouché mówił dalej tonem poważnym:

— Istotnie ci wściekli republikanie nie mogą usiedzieć spokojnie. Mamy z nimi bardzo wiele kłopotu.

— Skoro pan się zajmiesz republikanami, nie będziesz pan miał czasu śledzić nas — podchwycił Limoilans, zrozumiawszy, do czego zmierza Fouché.

Ten spojrzał mu w oczy.

— I zadowolnisz się pan moją neutralnością? — zapytał.

— My tylko tego żądamy.

Po otrzymaniu takiej odpowiedzi, minister w milczeniu zwrócił się ku swej karecie. Widząc, iż jest zadumany, Limoilans czekał na odpowiedź przeczącą, jakież jednak było jego zdziwienie, gdy Fouché, siadając do karety, odwrócił się do niego i rzekł:

— Zrobił mi pan propozycję, panie hrabio, ale trzeba się nad nią zastanowić w spokoju. Na nieszczęście republikanie nie dają mi ani chwili spokoju, tak, iż być może, że się nie spotkamy bardzo długo...

— Naprzykład trzy miesiące...

— Dobrze, trzy miesiące... Nie gniewaj się pan, jeżeli w tym czasie zapomnę o panu

Fouché skłonił się hrabiemu, i kareta pomknęła.

— Uff! — myślał minister policyi, wracając do domu. — Ci ludzie wyplatają w Paryżu jakiegoś bardzo niemiłego figla, który zgubi tego nadętego osła Dubois... Otrzymać z powrotem te przekłete papiery i pozbyć się przeciwnika!... To zaprawdę jest warte trzy miesiące neutralności!

IV.

Po zjawieniu się Fouchégo, Raul de Coignier udał się do swego przyjaciela barona, który w tej chwili zmienił się na stangreta naczelnika rojalistów.

Powróciwszy tego dnia z Turegne, Raul udał się najpierw do hrabiego, potem chodził z poleceniem do ministerstwa policyi, mógł więc ze swym przyjacielem widzieć się tylko przez kilka chwil w budzie, w towarzystwie sześciu szuanów, ubranych w jednakowy z nim kostyum. Po przywitaniu zapytał markiz:

— Co zrobiliście z sirem de Patapon?

— Zanieśli go do piwnicy, aby odetchnął trochę świeżem powietrzem — odparł Saint-Régent. — Zresztą muszę ci podziękować — dodał niby z gniewem. — Tobie zawdzięczam spotkanie się z Fanchettą... Gdybym nie był musiał czekać na ciebie w budzie, nie spotkałbym się z moją pięknnością, a sądziłem, iż się już raz na zawsze odczepiłem od niej... Jak ona się do mnie przyklepiła!... Żądała bezwarunkowo, abym ją odprowadził, na co zresztą się zgodziłem, gdyż to wchodziło w nasz plan. Ale, mój drogi, musiałem przełknąć cały wór zarzutów, wyrzutów, skarg...

— Fanchetta jest bardzo miłą dziewczyną — rzekł markiz, biorąc ją w obronę.

— Tak, ale posiada jeden wielki brak... biedaczki już więcej nie kochają.

Po tych słowach baron wydał głębokie westchnienie, które przypisać można było wyrzutom sumienia.

— Przyznajesz więc, iż kochałeś ją?

— Ja, kochałem?... Ależ chciał tego Limoilans, który koniecznie chciał wiedzieć wszystko, co się dzieje u Gracini.

— Ta konieczność nie przestała istnieć, o ile mi wiadomo — odparł Raul.

— Tak, ale moja osoba już tu więcej niepotrzebna... posiadam już zastępcę w osobie Raula de Coignier, który, zamiast do służącej, zwrócił się prosto do samej pani... która go kocha mimo jego zniknięcia.

Od chwili powrotu z Turegne myśl o Gracini nie odstępowała markiza, nie śmiał jednak pojawić się u niej, gdyż wysłany do Langers wyjechał, nie pożegnawszy się z nią nawet i to zaraz po pierwszym widzeniu się.

Po ostatnich słowach barona serce zabiło mu silnie.

— Zkąd ty wiesz o tem? — zawołał drżącym ze wzruszenia głosem.

— Dowiedziałem się o tem od Fanchetty, przed którą najwidoczniej Gracini się zwierza. Dzisiaj powiedziała mi: „Pani i ja wpadłyśmy w szpony dwóch potworów! A pani jeszcze lżej, gdyż nie traci nadziei i co dnia czeka, że on wróci“...

— Naprawdę?... Gracini to mówiła?

— Zaczekaj kochanku... ja za nic nie odpowiadam, powtarzam tylko to, co mi mówiła Fanchetta.

— A więc mogę się rzucić do jej nóg... mówić do niej o mej miłości?...

— Mój kochany, w tej sprawie ty sam jesteś najlepszym sędzią. Jeżeli serce ci doradza...

— Kocham ją całą duszą!

— W istocie! — rzekł z lekkim odcieniem szyderstwa Saint-Régent. — Słuchając cię, można w to uwierzyć... A nasza Angielka w Turegne, co?... Przyznaj się! Czy wspomnienie o Gracini uchroniło cię od głupstwa, jak mi wtedy mówiłeś?

Coignier znał za dobrze swego przyjaciela, aby nie zauważyć goryczy w jego ostatnich słowach. Zro-

zumiał, iż przemawia przez niego zazdrość. Położył więc rękę na ramieniu barona i rzekł poważnie:

— Z kolei, mój kochany, chcesz być otwartym?... Przyznaj się, iż kochasz tę kobietę!

— Ja?... Jeszcze czego!... Czyż ty nie czyniłeś mi setki razy wyrzutów, iż jestem niestały... czyż nie mówiłeś, iż nie wierzę w miłość? — odparł baron z wymuszonym uśmiechem.

— Tak, ale przepowiadałem, iż nastąpi dzień, w którym miłość cię pokona... a dzisiaj powtarzam, ty kochasz tę kobietę... Spojrz mi w oczy... czy ośmielisz się powiedzieć nie?

— No, dobrze — odparł porywczo baron. — I przed chwilą w najgłupszy w świecie sposób zazdrościłem ci. Tak, kocham ją do tego stopnia, że myśl o niej nie opuszczała mnie ani na chwilę.

— A twoje przeczucie?

— Tak — odparł ze smutkiem baron — to przeczucie, które mówi, że ta kobieta przyniesie mi nieszczęście.

— I które ci radzi, abyś jej unikał.

— Co tu o tem myśleć, skoro jej zobaczyć nie można.

— Nie można?

— Bezwątpienia. Czyż nie przypominasz sobie, co odpowiedziała mi Maud, gdy się jej zapytałem, czy przyjedzie do Paryża?... „Nigdy!“

— A ty przypominasz sobie, iż odpowiedziałeś, że nie należy mówić ani nigdy, ani zawsze?

— Tak, to prawda, ale czyż nie odpowiedziała na to, iż za tydzień powraca do Anglii? Zapomniałeś o tem?

— Nie, ale do czego zmierzasz?

— Do tego, iż będąc przekonany, że jej nigdy nie zobaczę, i że nie zagraża ona mej przyszłości, zakochałem się w niej... — To szaleństwo, powiesz... wszystko jedno, jakbym pokochał gwiazdę... Ale co

począć!... Jestem oczarowany... Kocham tę kobietę od chwili, w której przestałem się jej bać.

— A gdyby przypadek sprowadził cię z nią razem?

— Mówisz o tem co się nigdy nie stanie.

— Dobrze! Ale przypuśćmy rzecz niemożliwą... to znaczy, iż jutro spotkasz się z Maud?

— Dla niej gotówbym poświęcić nawet honor — odparł z ponurą energią Saint-Régent.

Markiz de Coignier drgnął.

— Zaklinam cię, mój przyjacielu, nie myśl więcej o Maud Derbody — rzekł prawie błagalnym tonem.

— Przeciwnie, daj mi się upić tą miłością, którą to słynne „nigdy!“ uczyniło nie niebezpieczną — odparł baron, któremu zaczynała już powracać wesołość.

— Pamiętaj, że los może cię sprowadzić znowu razem z Maud... A oto przed chwilą przyznałeś się sam, że nie masz siły, aby jej się oprzeć, gdyby ona zażądała nawet twego honoru!

Słowa te były wypowiedziane tak bolesnym tonem, iż baron osłupiał.

Spojrzał bystro w oczy przyjaciela.

— Ukrywasz coś przedemną — rzekł, blednąc. — Przysięgnij mi na honor, iż jej nie ma w Paryżu.

— Dziś rano przyjechała ze mną z Turegne — odparł Raul, nie chcąc kłamać.

— Ah! Razem...? — zawołał baron, a głos jego drżał z wściekłej zazdrości.

Coignier wyprostował się dumnie.

— Baronie — rzekł — przysięgam ci, iż Maud jest teraz najgorszym moim wrogiem. Mam powody doradzania ci, abyś unikał tego piekielnego tworu! Ona ciebie zgubi! — dodał błagalnym tonem.

Zdawało się przez chwilę, iż baron zażąda wyjaśnień, ale po krótkim wahaniu wzruszył ramionami i szepnął:

— Niech się los mój spełni!

W tej chwili dał się słyszeć odgłos kroków. — Był to Limoilans, który po rozmowie z Fouchém powracał do karety.

Saint-Régent zmierzył wzrokiem odległość, która go dzieliła od hrabiego i zapytał szybko:

— Czy odpowiesz mi na trzy pytania?

— Pytaj.

— Dlaczego Maud przyjechała do Paryża?

— Dlatego, iż śmierć niejakiego Chevaliera pokrzyżowała jej wszystkie plany.

Pragnąc uniknąć dalszego badania o szczegóły, Raul dodał szybko:

— Spiesz się... hrabia nadchodzi... Drugie pytanie?

— Kochasz ty tę kobietę?

— Nie! — odparł markiz tonem, którego szczerść nie ulegała najmniejszej wątpliwości.

— Wiesz, gdzie mieszka w Paryżu?

Zanim Raul zdążył odpowiedzieć, hrabia stanął przy nich.

— W drogę, panowie! — zakomenderował.

Saint-Régent wskoczył na kozioł, a Raul siadł w karecie naprzeciw hrabiego. Konie ruszyły, ale po chwili baron zapukał do szyby na przodzie karety.

— Dokąd mam jechać? — zapytał, gdy Raul spuścił szybę.

— A gdzie chce wsiąść markiz de Coignier? — zapytał hrabia.

— Na Nowym moście, jeżeli to jest możliwem — odparł Raul.

Kareta ruszyła.

— No i cóż, markizie, jakże idzie pańska sercowa sprawa z Gracini? — zapytał hrabia z uśmiechem po krótkim milczeniu.

Mimo wesołego tego tonu, markiz drgnął. Miłość dla śpiewaczki tak go oślepiła, iż zapomniał, że w party, rozpoczętej przez hrabiego, Gracini była tylko

pionkiem, który on, Raul, miał posuwać, stosownie do przebiegu gry.

Usłyszeć hrabiego, mówiącego o Gracini, było dla Raula, znającego doskonale hrabiego, jawną oznaką, iż śpiewaczka mimo wiedzy odegra jakąś rolę w nowych projektach nieubłaganego partyzanta, który był zdolny bez litości poświęcić biedną artystkę, byle tylko władza królewska mogła odnieść tryumf.

Wzruszenie, które opanowało Raula, nie pozwoliło mu natychmiast odpowiedzieć, to też hrabia mówił dalej wesoło:

— Pańskie milczenie jest dla mnie dowodem, iż pan jesteś skromny. Pytam się pana o to tylko dlatego, iż chciałbym załagodzić tę okrutność, z którą przed tygodniem rozłączyłem parę gruchających gołąbków... Prawdopodobnie chcesz pan wznowić przerwany duet... Bardzo się cieszę, iż mogę pana zawiadomić, że przez pięć dni możesz pan spokojnie rozporządzać swoim czasem... i swoim sercem. Tym sposobem czynię szczęśliwemi dwie kobiety.

— Dwie kobiety szczęśliwemi? — powtórzył Raul, mimowoli zaniepokojony temi niezrozumiałemi dla niego słowy.

— Rozumie się, że dwie — mówił dalej wódz rojalistów — gdyż nie mogę przypuścić, aby miłość dla jednej uczyniła pana niewdzięcznym dla drugiej, która, przyznaj pan sam, jest bardzo przyjemną towarzyszką podróży.

— Pan mówi o Maud Derbody? — zapytał markiz, starając się być obojętnym.

— A o kimże mogę mówić? Czyż nie przyjechałeś pan z Turegne razem?... Bądź pan trochę otwartym i przyznaj pan sam, że w drodze pańskie serce było nietylko dla jednej Gracini!

Przeczekawszy chwilę i nie otrzymawszy odpowiedzi, Limoilans mówił dalej ze zdwojoną wesołością:

— Jestem przekonany, iż Maud i pan staliście się przyjaciółmi.

Prawdopodobnie los chciał, aby hrabia nie wyduślił z Raula jakiegoś przyznania się, gdyż w tej chwili karetą się zatrzymała.

— Ah, oto i Nowy most! — zawołał młody człowiek, otwierając drzwiczki karety i wyskakując na ulicę.

— Życzę panu szczęścia, markizie! — rzekł hrabia.

— A więc mam pięć dni wolnych? — zapytał Raul.

— I pięć nocy, skromny młodzieńcze! — odparł hrabia. — Ach, prawda! Powiedz pan baronowi, aby jechał bulwarem, a ja już mu powiem, gdzie się ma zatrzymać.

Raul zamknął drzwiczki i powiedział baronowi, czego sobie hrabia życzy; odstąpił potem na krok, aby się nie dostać pod koła.

— No, ten nie zastąpi Chevaliera — pomyślał hrabia, spoglądając po raz ostatni na młodzieńca.

Tymczasem Saint-Régent mruczał na koźle:

— Nie spytałem się, gdzie markiz zamieszkał. Jakże ja go teraz znajdę?

Tymczasem karetą toczyła się po bulwarach, a hrabia nie dawał znaku zatrzymania się.

— Gdzież my u dyabła jedziemy? — pytał się baron w duchu. — Przecież chyba nie do Gracini... Wyobrażam sobie zdziwienie Fanchetty, gdyby mnie tak zobaczyła na koźle, a ojca Topinarda, wyłażącego z karety... Przejedziemy prędzej, aby nas nie spostrzegła.

Dom śpiewaczki znajdował się w odległości może pięćdziesięciu kroków i baron chciał już zaciąć konie, gdy hrabia wysunął głowę z okna i zawołał:

— Stać! Nie pojedziemy dalej.

W tej chwili brama domu, przed którym hrabia kazał się zatrzymać, otworzyła się natychmiast, a na progu ukazał się człowiek, prawdopodobnie czekający na przybycie karety.

— To Carbon! — szepnął baron na jego widok. Tymczasem hrabia wysiadł z karety i podszedł do Carbona.

— Otrzymaliście... wino? — zapytał półgłosem.

— Tak, już dwie beczki. Jouayaux obiecał przynieść jutro więcej — odparł Carbon.

— W bezpiecznym miejscu?

— W piwnicy, w najzupełniej bezpiecznym.

Baron z wysokości swego kozła napróżno chciał podchwycić jakieś słowo.

— Co oni tam mruczą? — zapytał sam siebie.

— W dzień nie było nic nowego? — pytał dalej hrabia.

— Tego powiedzieć nie umiem, gdyż po obiedzie nie byłem prawie w domu — odparł Carbon.

— Po co wychodziłeś?

— Wskutek bardzo dziwnego polecenia wiadomej panu osoby.

— Jakiego polecenia?

— Abym znalazł stary wóz do sprzedania.

— Ah! — rzekł tylko hrabia, i nie badając dalej, zmienił temat rozmowy. — Dookoła domu nie kręciły się jakie podejrzane osoby?

— Nie, ani cienia szpiega.

— A ona... czeka na mnie?

— Tak, i to z wielką niecierpliwością.

Limoilans odwrócił się do karety.

— Baronie, chodź pan tutaj — rzekł — a ty Carbon siadaj na kozioł i odprowadź karete, wiesz, gdzie... Powiedz, aby do drzwiczek dorobiono zamki i to jak można najprędzej... Uprzedź ich, iż za pięć dni mają być przygotowane dobre konie, któreby mogły wytrzymać długą podróż.

Saint-Régent tymczasem zlął z kozła i podszedł do hrabiego, który zdążył jeszcze zapytać Carbona:

— Ile służby posiada ta dama?

— Trzy osoby, dwie służące i lokaj, który czeka na pańskie przybycie.

Saint-Régent widząc, iż rozmowa trwa dalej, zatrzymał się o trzy kroki.

— Kochany baronie, pan pójdiesz ze mną... chcę pana przedstawić pewnej osobie.

Baron skłonił się na znak zgody i wszedł za swoim wozem do domu.

— Przedstawienie po północy... Cóż to za sztuka? Żart? — myślał baron po drodze.

W przedpokoju zastali starego sługę, który otworzył im drzwi do małego saloniku.

— Poczekaj pan tu na mnie, wrócę natychmiast — rzekł Limoilans, znikając za ciężką aksamitną portyera.

Fałdy materji jeszcze się kołysały, gdy uszu barona doleciał młody i świeży głos:

— Nareszcie pan jesteś, Limoilans!

Baron drgnął i zbladł, zdawało mu się, iż poznał głos Angielki.

Zwrócił się szybko ku wyjściu, jakby chciał uciekać, ale zastanowił się i pozostał.

— Mówiłem: niech się spełni mój los! — szepnął do siebie.

V.

Prawdopodobnie Limoilans dał znak, iż nie był sam, gdyż żeński głos umilkł w tej chwili, a do uszu barona dolatywał tylko niewyraźny szept.

Zresztą biedny baron nie myślał nawet podsłuchiwać, o czem mówiono w przyległym pokoju. Drżał na całym ciele, serce mu się ścisnęło, a w głowie huczało, jak w młynie. Był do tego stopnia rozgorączkowany, iż odczuł potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza. Odsunawszy ciężką zasłonę, otworzył okno, wychodzące na ogród, oświetlony w tej chwili jasnym światłem księżyca.

Dom, do którego wprowadził barona jego zły geniusz — jeżeli można wierzyć przeczuciu — był to maleńki hotel, podobny do domu Gracini, od którego dzieliły go na bulwarze tylko dwa domy, a ogród jego tak samo, jak i ogród śpiewaczki, wychodził na ulicę Boulainvilliers.

Noc była tak cicha, że mimo ponurych myśli, które owładnęły baronem, uwagę jego zwrócił na siebie lekki szelest na dole przed domem. Nie można się było omylić. Ktoś cichym krokiem przekradał się wzdłuż ściany domu pod oknem, przy którym stał baron.

Uciekał, czy chciał się dostać do domu?

W każdym razie nieznajomy obawiał się, aby go nie zauważono, a wskazywało na to jego zachowanie się.

Doszedłszy do ścieżki, oświetlonej światłem księżycy, przeskoczył przez nią w trzech susach i zniknął w cieniu drzew.

Baron przypomniał sobie, jak on sam nieraz wchodził cichaczem do jednego z sąsiednich domów dla pięknych oczu Fanchetty, i powiedział sobie, że ten nieznajomy to jakiś pierrot lub „narzeczony“ miejscowej jakiejś Dulcynei.

Wkrótce do uszu barona doszedł z za drzew trzask łamanych gałęzi. Jako człowiek doświadczony, baron wytłumaczył sobie zaraz ten trzask, przypominając sobie własne swoje wyprawy.

— Ah — pomyślał — to samo zrobiłem raz i ja, gdy zapomniałem zabrać z sobą klucza od furtki ogrodowej... Wlazł przez mur.

Nie mylił się. Prawie w tej samej chwili na wierzchu muru, oddzielającego ogród od ulicy, pokazała się głowa, potem biust, a potem wszystko zniknęło i z za muru doszedł głuchy łoskot padającego ciężkiego ciała.

Wszystko stało się tak szybko, iż baron mógł zauważyć tylko olbrzymi wzrost nieznajomego.

— No — pomyślał — służąca w tym domu posiada jakąś słabość do olbrzymów.

Baron nie podejrzewał nawet, iż tym olbrzymem był nikt inny, tylko jego przyjaciel Patapon, któremu teraz nadarzyła się stosowna chwila do wyrwania się z piwnicy, do której dostał się tak niespodzianie.

Tymczasem na widok ogrodu przyszło baronowi na myśl, iż przyjemniejszym będzie dla niego czekanie na ławce w ogrodzie, niż w dusznym pokoju.

Zamknął okno i zeszedł po schodach do przedpokoju, gdzie stary sługa siedział jeszcze, czekając na odejście gości.

— Pójdę do ogrodu odetchnąć trochę świeżem powietrzem — rzekł do niego baron, przechodząc. — Gdyby mnie szukano, przyjdziecie mi powiedzieć.

Wszedłszy do ogrodu, siadł na ławeczce przed murawą. Pogrążył się w głębokiej zadumie.

Zatopiony w swych myślach, nie zauważył, jak czas uciekał. Gdy wybiła trzecia, skoczył z miejsca.

— Trzecia godzina! Widocznie o mnie zapomnieli — pomyślał.

Wróciwszy do domu, udał się znowu do maleńkiego saloniku. Lampa dotąd paliła się w przedpokoju, ale starego sługi już nie było.

W saloniku także jeszcze paliły się świece w kandelabrze, stojącym na kominku.

Portyera, po za którą zniknął Limoilans, była teraz podniesiona, a za nią widać było otwarte drzwi. To umożliwiło zaglądnienie do przyległego pokoju, gdzie odbywała się przedtem narada wodza rojalistów z kobietą, której głos tak wzburzył barona.

— Limoilans prawdopodobnie sądził, iż poszedłem, gdyż mi się sprzykrzyło czekać, i pojechał, nie zapytawszy się nawet o mnie — rzekł do siebie baron.

Nagle w przyległym pokoju dał się słyszeć szelest papieru, widocznie ktoś tam był.

Saint-Régent podszedł i zajrzał przez szczelinę we drzwiach.

Ujrzał kobietę, która coś czytała przy świetle lampy; szelest przerzucanych arkuszy papieru zwrócił na siebie uwagę barona.

Tą kobietą była Maud Derbody.

VI.

Rojaliści czynili rozliczne próby, aby przekupić Bonapartego i zniewolić go do poświęcenia Rzeczypospolitej dla Burbonów.

Gdziekolwiek się z nim spotkali, nie wzbudzając podejrzania w jego otoczeniu, rojaliści ofiarowali Bonapartemu następujące warunki:

1) Przywracano dla niego dożywotnią godność wielkiego marszałka Francji z pensją milion dwakroć set tysięcy franków rocznie.

2) Oddawano mu w posiadanie zamek Chambord i drugi zamek według jego wyboru, lub też odpowiednią nieruchomość w Paryżu.

3) Wreszcie ofiarowywano mu poważną sumę dwudziestu milionów franków w monecie brzęczącej.

Takimi były główne warunki, które emisariusze królewscy proponowali pierwszemu konsulowi przy pierwszej lepszej sposobności, na przykład, gdy nocą wybierał się do Gracini, lub też na wyżynach Belleville, gdzie umieścił panią Fourret, swoją kochankę w czasie wyprawy egipskiej, albo nakoniec w okolicach Malmaison, gdzie spotykali go w czasie samotnej przejażdżki.

Nareszcie pewnej pięknej nocy, gdy pracował z Durokiem, Bonaparte spostrzegł wchodzącą do niego księżnę de Guiche, jedną z najpiękniejszych piękności tego czasu, która w tualecie wcale nie purytańskiej pojawiła się ponowić wyżej przytoczone warunki. W swym rojalistycznym zapale postanowiła podtrzy-

mać je osobiście i gotowa była do poniesienia wszelkiej ofiary.

— Nie byłbym się mógł oprzeć — mówił potem Bonaparte — gdyby nie był przy tem obecny Duroc.

Dlaczego te wszystkie pokusy i próby pozostały prawie nieznanymi? Dlatego, iż Bonaparte, który wtedy się wahał, uznał za stosowne ukrywać je przed najlepszymi swymi przyjaciółmi i wrogami.

Wrogowie byliby go oskarżyli o zdradę Rzeczypospolitej, która uczyniła go swoim wodzem.

Z przyjaciółmi była inna sprawa.

Dla nich wszystkich, krewnych i sprzymierzeńców, którzy mu pomagali w przewrocie z 18-go Brumaira, sojusz Bonapartego z Burbonami oznaczałby utratę zdobyczy, a wyciągali po nią chciwe ręce.

Ta potworna chciwość była powodem tego, iż gdy ci ludzie zaczęli podejrzewać pierwszego konsula o chęć zawarcia sojuszu z Burbonami, postarali się zapobieżenie temu, rzucając między Bonapartego a rojalistów trupa.

W chwili naszego opowiadania, to jest na trzy lata przed zbrodnią w Vincennes, nikt jeszcze z otoczenia pierwszego konsula nie wiedział, jakie walki toczyły się w jego umyśle co do propozycji rojalistów.

Po klęsce, którą poniosła piękna pani de Guiche, Bonaparte, czując, iż poddaje się, nie chciał inaczej słuchać jej wywodów, jak tylko w obecności Duroca — hrabia Limoilans postanowił wprowadzić rokowania na tory poważniejsze, prowadząc je przez osobę jeszcze poważniejszą.

Oto dlaczego dał Raulowi i baronowi urlop na pięć dni — czas, który wystarczał na to aby z Niemiec przybyła pewna znamienita osoba, zaopatrzona w daleko idące pełnomocnictwa w celu rokowań z pierwszym konsulem.

Dlatego też Limoilans wiedząc, iż ta próba będzie ostatnią, kazał przygotować karetę z zamkami i końmi, któreby mogły wytrzymać długą podróż.

W razie stanowczej odmowy pierwszego konsula, wódz rojalistów postanowił pochwyć go i tym sposobem usunąć tę przeszkodę w powrocie Burbonów.

Tylko jeden człowiek, którego sprytu się obawiał, mógł przeszkodzić w wykonaniu tego planu. — Był nim Fouché, a hrabia zmusił go już do neutralnego zachowania się.

Pozostawał prefekt Dubois, ale tego Limoilans nie obawiał się wcale, gdyż był najzupełniej przekonany o jego nieudolności.

O Pataponie, królu szpiegów, hrabia nie myślał wcale... tak mało ważna figura!... Powinien był wiedzieć, iż czasami ziarnko piasku wstrzymuje najpotężniejszą maszynę.

* * *

Minęło pięć dni, gdy Raul wyszedł z karety hrabiego na Nowym moście, i gdy baron de Saint-Régent spotkał piękną Angielkę, Maud Derbody.

Teraz, gdy koleje żelazne zwożą do Paryża stopy towarów ze wszystkich krańców świata, bulwary nadsekwańskie nie są tem, czem były w roku 1800, gdy ruch towarowy odbywał się przeważnie drogami wodnymi.

Nad brzegami Sekwany stały te długie składy, w których gromadzono najrozmaitszego rodzaju towary, w oznaczonym dla nich miejscu. Tu składano spławiony las, tam kosze z owocami, dalej kamienie brukowe, materiały budowlane i tak dalej. Na bulwarze Woltera składano przeważnie węgiel drzewny. Celem ważenia i chowania worków nad brzegiem wybudowano drewniane baraki, które wynajęty specyjalnie

w tym celu stróż zamykał na noc, aby nie stawały się one przytułkiem dla nocnych włóczęgów.

Stróż jednak widocznie nie tego spełniał swoje obowiązki, albo też ktoś po jego odejściu otwierał zamki, gdyż jeden z tych baraków przez pięć nocy był przytułkiem jakiegoś olbrzyma, który wchodził tu z nastaniem nocy, a wychodził o świcie.

I tego wieczora wspomniany olbrzym szedł swoim zwyczajem powoli przez bulwar, już opustoszały — była to godzina jedenasta — gdy nagle usłyszał po za sobą czyjeś pospieszne kroki.

Olbrzym stanął i odwrócił się.

— Ah, to Fanchetta! — rzekł do siebie.

Rzeczywiście służąca śpiewaczki spieszyła do domu z teatru, gdzie tego wieczora śpiewała jej pani.

Na jej widok olbrzym siadł na jednym ze słupków, połączonych z sobą łańcuchami.

— Dobry wieczór, piękna obywatelko Fanchetto! — rzekł, gdy służąca przechodziła obok niego.

— Ah, to wy, obywatelu Patapon!... Czyż pan nocuje na bulwarach?... Już trzeci raz spotykam pana w tem miejscu! — zawołała Fanchetta.

— Jestem zakochany w pięknej dziewczynie — westchnął agent.

— Stara piosnka, iż nie możesz pan usnąć, nie westchnąwszy przynajmniej z pół tuzina razy pod mojem oknem... Wzdychaj pan sobie, ile tylko ci się podobają... ale uprzedzam pana, iż nadaremnie tracisz czas... A teraz dobranoc!

— Ale przecież porzucił cię twój kochanek? — zapytał Patapon, który koniecznie chciał się czegoś dowiedzieć od służącej.

— Kto to panu powiedział? — zapytała sucho Fanchetta, której ambicyę podrażniono.

— Powiedziałaś mi to sama wtedy, gdy staliśmy razem przed budą z człowiekiem-fenomenem.

Serce Fanchetty pękało, ale nie chciała okazać Patapanowi swej rozpacz.

— Być może — odparła — ale zapewne pan nie wiesz, iż w tej samej budzie spotkałam mego Pierrota, który nie myślał wcale o zdradzie, gdyż był chory przez cały tydzień.

Naturalnie kłamała trochę, ale trzeba było ocalić honor sztandaru.

— Tak — mówiła dalej — znalazłam go więcej zakochanym, niż kiedykolwiek... Koniecznie chciał mnie odprowadzić do domu i gdybyś pan był poczekał jeszcze chwilę, byłbyś pan był widział, jak wyszliśmy razem pod rękę z budy.

Te słowa przypomniały Patapanowi smutny wynik jego pogoni za człowiekiem w szarem ubraniu.

— Ah — pomyślał sobie — ten twój Pierrot należy więc do szajki tego rzekomego głuchego, który mi spletał takiego paskudnego figla... trzeba to sobie zapamiętać.

Fanchetta mogła była dodać, iż niestały Pierrot po wszystkich przysięgach wierności, które ponowił, odprowadzając ją do domu, jeszcze ani razu się nie pokazał, ale nie chciała się przyznać do tego poniżającego obchodzenia się z nią i pożegnała się z agentem.

— Dobranoc — rzekła — muszę się spieszyć do domu.

Król szpiegów przeprowadził ją wzrokiem i szepnął szyderczo:

— Pójdę ja kiedyś za tobą, moja miła, a twój Pierrot zaprowadzi mnie do rzekomego głuchego!

Zeszedł z bulwaru i schował się w jednym z baraków węglowych.

Ze swego ukrycia Patapon, jak przez wszystkie noce ubiegłe, śledził otwór piwnicy, przez który nieznanym człowiekiem podawał swemu przyjacielowi Carbonowi beczułkę z prochem.

Tymczasem Fanchetta podeszła do domu i nie ruszając drewnianego młotka, wyjęła z kieszeni klucz, aby otworzyć drzwi.

— Po co pukać? — rzekła do siebie. — Można iść o zakład, że ten stary hulaka Topinard znowu gdzieś poszedł.

Fanchetta niesłusznie obwinała starego, gdyż wszedłszy do przedsiionka, spostrzegła go, jak wychodził ze świecą w rękach ze swej komórki.

— Ah, to wy, ojczy donżuanie! — zawołała.

— Dlaczego nazywasz mnie donżuanem? — zapytał stary z głupim uśmiechem.

— Ładne życie prowadzisz pan w ostatnich czasach! Dwadzieścia razy szukałam ojca Topinarda... Tiu-tiu-tiu!... Uleciał gdzieś!... Gdyby pani o tem wiedziała!... Byłaby ładna historia!

— Ależ ona wie o tem, uprzedziłem ją. Widzisz, panno Fanchetto, jestem stary i chciałbym się udać na odpoczynek na prowincję, gdziebym mógł żyć z moich czterech sous... Poprosiłem panią o pozwolenie wyszukania nowego odźwiernego, któremu można by było zaufać... Dlatego nie było mnie przez tych kilka dni.

— Szczególny jednak czas wybrałeś pan sobie do poszukiwań. Słyszałam raz, iż wróciłeś pan o trzeciej w nocy do domu, może nieprawda?

— Ach, byłem wtedy u obywatela Pierrota — odparł naiwnie stary.

— Cooo?

— Otóż widzisz, polecono mi tego obywatela... młody, roztropny, dobrego prowadzenia się... Przy nim będziecie mogły spać spokojnie...

— I nazywa się Pierrot?

— Tak, Pierrot.. przystojny brunet, włosy kędzierzawe, na policzku mała szrama.

— I przedstawiłeś go pan mojej pani? — zapytała Fanchetta, poznając po opisie swego Pierrota.

— Nie jeszcze... Nie postanowiłem jeszcze, gdyż wydaje mi się trochę za młody...

— To raczej powód, aby go przyjąć.

Stary zamyślił się.

— Może masz i słuszność — rzekł po chwili. — Tutaj potrzebny jest młody; w moim wieku człowiekowi potrzebny jest sen i dlatego też opuszczam to miłe mi miejsce, gdyż tu muszę wysiadywać po nocach, gdy pani przyjmuje gości. Muszę czekać zawsze, dopóki nie wyjdzie... Młody łatwiej to zniesie... Przedstawię więc obywatela Pierrota twojej pani — dokończył stanowczym tonem.

— Tak, jutro, nie później, jak jutro — przytwierdziła Fanchetta.

— Mam nadzieję, iż choć ostatnią noc prześpię tutaj spokojnie — rzekł wesoło Topinard.

— Nieszczęście gotowe, ojczy Topinard! — zawołała Fanchetta z goryczą.

— Nieszczęście? Dlaczego?

— Dlatego, że dziś czekamy na generała.

Czy nie dlatego, aby otrzymać tę wiadomość, hrabia Limoilans odgrywał tak długo komedię?

Można przypuszczać, że tak, gdyż po tych słowach służącej przesunął się po jego ustach uśmiech zadowolenia, to też dodał szybko:

— No, z powodu jednej nocy jeszcze nie umrę... Ale nie chcę was dłużej zatrzymywać, obywatelko, macie zapewne jeszcze dużo do roboty.

— Ach! — zawołała Fanchetta — zapomniałam, iż należy uprzedzić panią o wizycie generała.

Pobiegła na górę po schodach, wesoła i szczęśliwa.

— Ach, mój kochany zajmie miejsce tego starego z miłości ku mnie... Jak to ładnie z jego strony!... A ja czyniłam mu jeszcze wyrzuty! — mówiła do siebie, pędząc po schodach.

Fanchetta pobiegła wprost do budoaru, w któ-

rym siedział Raul, układając madrygały na cześć damy swego serca i czekając na jej powrót z teatru.

— Dlaczego wróciłaś sama? — zapytał z niepokojem i zdumieniem zarazem.

W tym czasie wojen bratobójczych, rozpaczliwej walki stronnictw, gdy spis emigrantów zawierał przeszło sześćdziesiąt tysięcy nazwisk, wielu było ludzi, którzy nie mogli rozgłaszać swych tytułów i unikali tego starannie.

Do liczby ich należał i Raul de Coignier, który nie przyjął amnestyi po uśmierzeniu powstania na zachodzie. Ogłoszono go za buntownika, na co zresztą w zupełności zasłużył, sądząc po jego czynach. Gdy go poznano, nie minęłaby go kula.

Nie ulega wątpliwości, iż Raul podał swe prawdziwe nazwisko artystce, którą pokochał, a która była mu wzajemną, ale dla Fanchetty był on tylko Raul'em Loigny, malarzem, którego Gracini znała jeszcze z Włoch.

Zresztą pod tym względem służąca nie była bardzo wymagająca: zadawałniała się nazwą Pierrot, nie będąc wcale ciekawą, kto się pod nią ukrywa.

— Tak — odparła na pytanie Raula — powróciłam sama, po pierwsze dlatego, iż przedstawienie jeszcze się nie skończyło, a po drugie, iż pani dała mi dla pana polecenie.

— Poiecenie dla mnie? ... Za pół godziny powróci przecież sama — odezwał się markiz, przeczuwając jakieś nieszczęście.

— Tak, to prawda, iż za pół godziny powróci, ale muszę panu powiedzieć, iż...

Służąca utknęła, nie mając odwagi dokończyć rozpoczętego zdania. Pod wpływem radosnej wieści, otrzymanej od Topinarda, odczuła mimowolną litość dla Raula, którego miała spotkać nieprzyjemność.

— Cóż mi masz powiedzieć? — zapytał Raul.

Nie chcąc mu wprost powiedzieć nieprzyjemnej nowiny, postanowiła zawiadomić go ogródkami.

— Muszę panu powiedzieć — odparła — iż w czasie pierwszego antraktu pani widziała się z generałem Berthier. Rozumiesz pan?

Nie, markiz nie rozumiał.

Nie wiedząc nic o roli Merkurego, który zwiastował przybycie Jowisza — rola ta należała do czynności adjutanta — markiz spojrzął z podziwieniem na Fanchettę. Nie wiedział, o co chodzi.

Fanchetta nie zrozumiała tego niemego zapytania i, wyobrażając sobie, że po osłabieniu ciosu już nie ma potrzeby ukrywania czegoś, dodała z pośpiechem:

— Pomyśl pan sobie, co by za minę zrobił generał Bonaparte, gdyby pana tutaj zastał!

Serce Raula ścisnęło się boleśnie. Wiedział naturalnie o prawach tego, który tutaj miał przybyć, ale przez te pięć dni zapomniał zupełnie o generale Bonapartem i pocieszał się iluzją, iż może się rozporządzać, jako gospodarz tam, gdzie był tylko kłusownikiem.

Zaledwie się opamiętał, gdy nowa złowroga wieść przypomniała mu, iż czas otrząsnąć się z porywu tej miłości, która nim władała przez całych pięć dni, darowanych mu przez hrabiego.

Pod oknami, wychodzącymi na ogród, dał się słyszeć złowieszczy krzyk sowy, to hasło szuanów, ten sygnał krwawych dramatów, które pochłonęły tyłu przyjaciół Raula, ale honor nie pozwalał mu pozostać na ten krzyk obojętnym.

— Ah, wstrętny ptak!... Już od miesiąca zagnieżdziła się tutaj sowa, a nie mogę w żaden sposób znaleźć jej gniazda... Prawda, że jej krzyk przepowiada jakieś nieszczęście? — zapytała Fanchetta, drżąc ze strachu.

— Jakaś ty zabobonna! — rzekł markiz, śmiejąc się.

Pod maską tej wesołości ukrywała się jednak wielka troska, gdyż przebudzenie się jego było straszne. Wzrok jego błądził po pokoju, gdzie każdy przedmiot mówił do niego o ukochanej kobiecie, której może już nigdy w życiu nie zobaczy.

Krzyk sowy położył kres pięknym marzeniom i wysyłał go na ponure i tragiczne przygody, a koniec ich był jednaki: śmierć... czy to w bitwie, czy też na szafocie.

— Bądź zdrowa, Fanchetto — rzekł markiz, wychodząc z budoaru.

— Bądź zdrów?... Nie, do widzenia! Albo raczej do jutra — odpowiedziała wesoło służąca, odprowadzając go do drzwi.

Markiz wyszedł.

— No — pomyślała sobie, zamykając za nim drzwi — chłopiec jakoś nie bardzo wziął to sobie do serca.

W pół godziny po wyjściu Raula wróciła Gracini do domu.

Tak samo, jak markiz, rzuciła okiem dookoła, ale nie rzekła ani słowa.

— Znam ja to... Pierrot doprowadził mnie do tego samego — mówiła do siebie Fanchetta, szanując to nieme cierpienie, aczkolwiek język świerzbiał ją niewypowiedzianie.

Ku wielkiemu jej zdziwieniu, Gracini nagle zaśpiewała. Głos artystki nigdy nie dosięgał takiej doskonałości. W teatrze byłaby wszystkich doprowadziła do szaleństwa.

Ten sposób wyrażania swej boleści przechodził pojęcie służącej, która w razie sercowych nieprzyjemności cierpiała na brak apetytu, ból głowy i rozbijanie talerzy.

Nagle artystka urwała wśród śpiewu.

— Wszak prawda, Fanchetto, iż z takim głosem można żyć, gdzie się podoba, nie mając potrzeby do uciekania się do czyjejkolwiek protekcji?

— O tak! — odparła zachwycona śpiewem służąca, a w duchu dodała: — Stanowczo nasz generał otrzyma dzisiaj dymisyę.

Gracini siadła i zamyśliła się.

Była to pierwsza godzina w nocy, wszędzie było cicho w śpiącym mieście.

W kwadrans potem oddalony turkot kół naruszył ciszę nocną.

— Jedzie! — pomyślała Fanchetta.

Nie omyliła się, gdyż turkot kół się zbliżał, aż nareszcie ustał przed domem śpiewaczki, od strony ulicy Boulainvilliers.

— Generał idzie przez ogród — rzekła Fanchetta, spojrzawszy przez okno. — Otworzę mu drzwi.

Wszedłszy do przedpokoju, uważała jednak Fanchetta za rzecz zbyt cną okazać uprzejmość uprzedzającą człowiekowi, któremu groziła dymisyja — to też nie otwierając zawczasu drzwi, czekała na odgłos dzwonka.

Minęło pięć minut, a dzwonka słyhać nie było.

— Co on tam robi na dole? — pomyślała Fanchetta, tracąc cierpliwość.

Czekała jeszcze.

— Ale widziałam przecież, jak szedł przez ogród! — mówiła do siebie, otwierając drzwi i nad słuchując.

Cisza panowała zupełna.

— Co się tam stało? Dlaczego generał się nie pokazuje?

Zeszła na dół po schodach, nad słuchując uważnie, a następnie wyszła do ogrodu. Za płotem ogrodowym, na ulicy, słyhać było parskanie koni i grzebanie kopytami. Adjuwant, wysiadłszy z karety, aby

rozprostować nogi, chodził tam i z powrotem, nucąc pod nosem jakąś piosenkę, poświstując od czasu do czasu.

Bonaparte, jakby się w ziemię zapadł.

VII.

Co się stało z pierwszym konsulem?

Po wyjściu od Gracini, Raul spotkał przy schodach na dole hrabiego, który na niego czekał.

— Markizie de Coignier, czas bezpieczeństwa minął, czy można liczyć na pana? — zapytał.

— Rozkazuj pan! — odparł krótko Raul.

— Chodź pan za mną.

Hrabia wszedł do niezamieszkałych pokojów na parterze.

Tam znajdowali się już Poiignac, de Saint Hilaire i de Jouayeaux, wszyscy trzej przyjaciele Raula.

— Wszystko umówione, panowie? — zapytał Limoilans. — Zaczekacie w przedsionku, zgasiwszy tam światło, a gdy tylko wejdzie, pochwycicie go natychmiast... usta zawiążecie mu tylko w tym wypadku, gdyby chciał wzywać na pomoc swego adjutanta. Następnie wyprowadzicie jeńca na bulwar i wsadzicie go do karety, którą znajdziecie na rogu ulicy Baque. — Pilnują jej de Costere i Dauvrais, przebrani za pocztylionów. Pan, markizie, pójdiesz ze mną.

Wszyscy czterej skłonili się w milczeniu.

O baronie de Saint-Régent hrabia nie wspomniał ani słówkiem, co bardzo zadziwiło Raula.

Wyszli z domu, a na rogu ulicy Baque istotnie znaleźli karete, zaprzęzoną w czwórkę tęgich koni.

— De Costere — rzekł hrabia do jednego z pocztylionów — gdy przywiodą panu jeńca, pojedziesz pan pod fosy arsenału i zaczekasz pan tam na mnie.

Wydawszy w ten sposób wszystkie rozporządze-

nia, Limoilans podszedł do drugiej karety o jednym koniu, która stała w oddaleniu trzydziestu kroków od pierwszej.

W celu wykonania swego planu, hrabia uważał za stosowne nie posługiwać się drugorzędnymi pomocnikami, którzy mogliby zepsuć cały plan. Dlatego też i stangretem drugiej karety był wicehrabia, jeden z najlepszych przyjaciół hrabiego.

— Przejeżdż na tamtą stronę rzeki — rzekł do niego hrabia — i podwieź nas pod fosy arsenału. Gdy będziemy przejeżdżali przez bulwar Méguissery, wstrzymaj konie, dopóki nie spostrzeżesz, iż ktoś wskoczył do naszej karety. Wtedy jedź już szybko na miejsce.

— Tym ktosiem jest z pewnością de Saint-Régent — pomyślał Raul, dziwiąc się, iż dotychczas w tej wyprawie nie bierze udziału ten, którego odwagę i śmiałość hrabia tak wynosił pod niebiosa.

Pragnąc rozwiązać swoje wątpliwości, Coignier, gdy tylko kareta ruszyła, zapytał hrabiego:

— Jaką rolę wyznaczyłeś pan baronowi?

— Baronowi? Właśnie w tej chwili chciałem się pana o niego zapytać — odparł Limoilans. — Co się z nim stało?

— Pan nie wie, gdzie on jest?

— Nie można go było odszukać.

To zapewnienie wydało się Raulowi podejrzanem, znał bowiem dobrze charakter hrabiego. Zaczął się obawiać o barona.

Chciał się jeszcze pytać hrabiego, lecz w tej chwili drzwiczki karety się otworzyły i do niej pospiesznie wskoczył jakiś człowiek.

Było to miejsce na bulwarze, na którym hrabia kazał zatrzymać konie.

— Kto to może być? — myślał Raul, który wskutek panujących w karecie ciemności, nie mógł

widzieć twarzy nowego towarzysza. Z pewnością nie był to starszy człowiek, sądząc po jego skoku.

W tej chwili, jakby na potwierdzenie słuszności zapatrywania markiza, odezwał się młody i świeży głos:

— Widzisz pan, kochany hrabio, iż dotrzymałem przyrzeczenia... Zjawiłem się na pierwsze wezwanie i...

Widocznie Limoilans trącił w tej chwili nieznanego, aby poskromił swoją otwartość, gdyż urwał pół zdania i zapytał:

— Czyż nie jesteśmy sami?

— Ze mną jedzie jeden z naszych najwierniejszych przyjaciół — odparł hrabia — ale nie mając pozwolenia powiedzieć mu o wszystkim, wołałem nie mówić wcale.

— Kto to taki?

— Markiz de Coignier.

— Ah! — zawołał wesoło nieznanomy. — To on zdaje się odegrał w Langers rolę agenta Patapona? Opowiadanie o tem w waszem piśmie bardzo mnie ubawiło.

— Tak, to on.

— Oh, wobec niego możemy mówić.

— Chwała Bogu! — pomyślał Raul, nastawiając uszy.

— Otrzymawszy pański list — mówił nieznanomy — puściłem się w drogę i przyjechałem tutaj po trzech dniach podróży, nie zatrzymując się nigdzie.

— Do dyabła! Z daleka przyjechał — pomyślał Raul.

— Nie śmiałem spodziewać się takiego pośpiechu — rzekł Limoilans.

— Oh, oh, oh, zdaje się, iż mówisz pan nieprawdę, zapewniając, iż nie spodziewałeś się mnie

pan tak wcześniej. W liście pańskim było jedno zdanie, które musiało mnie znaglić do pośpiechu... Posądzałeś pan nas o tchórzostwo...

— O tchórzostwo?! Oh, wierzej mi pan...

— Tak, tak, wiem, naturalnie nie było to napisane wprost, ale cóż innego znaczyły te słowa, w których mówiąc o postępku księżnej de Guiche, wyrzucałeś pan nam, iż powierzyliśmy kobiecie sprawę, do załatwienia której powinien się być zabrać mężczyzna.

— Wziąłeś pan za wyrzut to, co było tylko przyjacielską szczerością. Pisałem, iż zmęczyłem się trochę, dźwigając sam jeden na mych barkach cały ciężar mego zadania, i że pragnąłbym mieć kogoś przy sobie, z którymbym mógł odbyć naradę w tych wypadkach, gdy odpowiedzialność napawa mnie obawą.

Nieznajomy roześmiał się.

— Daremnie się pan tłumaczysz, mój przyjacielu — odparł — gdyż najzupełniej pana pojmuję. Powiedziałeś pan sobie: „On jest młody i tylko postronnie zainteresowany jest w tej sprawie, dlatego będzie go można poświęcić, gdy tego wymagać będą okoliczności. Sprowadzę go przez to, co się młodym podoba: niebezpieczeństwo“. I napisałeś pan do mnie.

— Kim jest ten młody człowiek? — łamał sobie głowę Raul, starając się daremnie w jego słowach odnaleźć jakąś wskazówkę.

— Chciałeś mnie pan zobaczyć i przyjechałem — mówił nieznajomy poważnie. — Gotów jestem pomagać panu ze wszystkich moich sił, nawet więcej, życiem, jeżeli to będzie korzystnem, przecież niekiedy odcina się gałęzie, aby drzewo lepiej rosło...

W tej chwili kareta się zatrzymała.

— Ah! Przyjechaliśmy? — zapytał nieznajomy.

— Pozwól pan, iż najpierw zbadam miejsco-

wość — rzekł Limoilans, otwierając drzwiczki i wychodząc z karety.

W karecie zrobiło się jaśniej, dzięki otwartym drzwiczkom i Raul mógł się przypatrzeć twarzy nieznajomego. Zresztą nie posunął się ani o krok dalej, gdyż przekonał się tylko, że tego człowieka widzi po raz pierwszy w życiu.

Z całej rozmowy jeden tylko szczegół najwięcej uderzył Raula, a mianowicie ten szacunek, z którym Limoilans zachowywał się wobec młodego człowieka.

Po upływie dziesięciu minut Limoilans powrócił ze swego obchodu; nieznajomy, zoczywszy hrabiego, szybko wyskoczył z karety.

— No i cóż? Porwanie się udało? — zapytał z widocznym niepokojem.

— Generał często bardzo późno przyjeżdża do swej bogdanki... Obawiam się, iż będziemy musieli poczekać. Gdyby nasi przyjaciele wykonali wszystkie polecenia, kareta pocztowa powinna się już znajdować na drugim końcu fosy, w miejscu, gdzie dawniej stała Bastylia... Widocznie jeszcze nie przyjechali, gdyż nie widzę latarni.

— Może pan daremnie szukasz świateł — odezwał się Raul. — Kareta pocztowa, z zapalonymi latarniami, stojąca na takim pustkowiu, mogłaby łatwo sprowadzić patrol policyjny... Nasi przyjaciele najwidoczniej pogasili latarnie i czekają na nas w ciemności.

Nieznajomy, usłyszawszy takie wyjaśnienie markiza, zwrócił się do niego i rzekł rozkazującym tonem:

— Idź pan i dowiedz się!

Raul spojrział w milczeniu w twarz człowieka, który ośmielał się dawać mu w taki sposób rozkazy.

— Nie słyszałeś pan? — pytał nieznajomy tym samym rozkazującym tonem.

Coignier nie odznaczał się cierpliwością.

— Czyż panu nie powiedziano przed chwilą, że nazywam się markiz de Coignier? — zapytał szyderczo, a w głosie jego czuć było tłumiony gniew.

— Przepraszam pana, markizie — odparł szybko nieznajomy — bardzo żałuję mej porywczosci, a może mi pan wybaczysz, gdy zrozumiesz, jak jestem w tej chwili rozgorączkowany: . . . Jestem księżę d'Enghien.

Raul po tych słowach skłonił się z uszanowaniem księciu, a na dowód tego, iż uznaje jego prawo rozkazywania, rzekł:

— Stosownie do rozkazu waszej księżęcej mości pójde natychmiast zobaczyć, czy nasi przyjaciele przywieźli już generała Bonapartego.

Udał się natychmiast na poszukiwanie karety polem, pełnem jam i dziur, powyrywanych z korzeniami drzew i zawałonem stosami kamieni... resztkami ścian i murów Bastylji. Mimo tego, iż gruzów tych używano do budowy mostu Zgody, mimo, iż część sprzedano w czasach terroru i dyrektoryatu, miejsce, gdzie stała Bastylja, pełne było jeszcze gruzów.

— A co? Nie mówiłem? Oto i kareta! — szepnął Raul, przedostawszy się przez ten labirynt, gdzie co krok mógł sobie skrócić kark. — Mówiłem, iż ze względów ostrożności pogaszą latarnie.

Rzeczywiście w pobliżu dał się słyszeć stuk kopyt końskich.

Raul nie uszedł jeszcze dwudziestu kroków, gdy nagle poczuł, iż pochwycono go z dwóch stron.

— Obywatel nie obawia się przeziębienia, przechadzając się o tak spóźnionej porze? — zapytał jeden z napastników.

— Eh! Jouayaux, daj pokój tym żartom! — zawołał Raul, poznawszy po głosie swego przyjaciela.

— Ah, to ty, Coignier! Dobrze, że się odezwaleś, gdyż uważaliśmy cię za ciekawego szpiega politycznego i mieliśmy cię już zadusić.

— Udało się wam?

— Tak, ptaszek siedzi już w klatce.

— Nie opierał się?

— Wcale nie. Z początku tylko się zapytał, czy nam wiadomo, z kim mamy do czynienia.

— Pójdę więc i przyprowadzę tych, którzy mnie wysłali.

W dziesięć minut potem Raul powrócił, prowadząc z sobą księcia d'Enghien i hrabiego Limoilans.

Kareta ich tymczasem objechała dokoła dzielnicę arsenału i zatrzymała się u wylotu ulicy św. Antoniego.

Księżę zbliżył się do karety pocztowej, w której był zamknięty Bonaparte.

— Otwieraj pan — rzekł do hrabiego.

Ten usłuchał w milczeniu.

Księżę wszedł do karety i zamknął za sobą drzwiczki.

— Tym razem generał chyba uwierzy w szczerść naszych propozycji — szepnął do siebie Limoilans.

Ten energiczny obrońca władzy królewskiej widział się w przededniu tryumfu.

— A jeżeli odmówi? — zapytał Raul, który do słyszał słowa hrabiego.

— Jeżeli odmówi... jeżeli odmówi... — powtórzył hrabia, a w głosie jego czuć było wściekłość. — Wtedy... Czyż nie znajduje się w naszych rękach?

— Oho! — pomyślał Raul. — Nie zostawimy przecież trupa Bonapartego w fosie arsenału?!

Prócz odmowy i przyjęcia rozmowa w karecie mogła mieć trzeci wynik, daleko mniej określony.

Nareszcie drzwiczki karety się otworzyły; tym

razem wysiadł z karety Bonaparte, a księżę pozostał w niej.

— Jesteś pan wolnym, generale — rzekł do niego na pożegnanie księżę — a zatem za dni dziesięć, prawda?

— Tak jest, za dziesięć dni dam odpowiedź pańskiemu wysłannikowi, który powtórzy umówione między nami słowo — odparł ze spokojem w głosie pierwszy konsul.

— Na konie, panowie! — zawołał Limoilans do przebranych pocztylionów.

Wsiedli, a hrabia zbliżył się do stopni karety.

Księżę nachylił się ku niemu i szepnął mu do ucha kilka zdań; prawdopodobnie zawiadomił go o wyniku rozmowy i dawał rozkazy na przyszłość.

Hrabia wysłuchał tego wszystkiego w milczeniu i zamknąwszy drzwiczki karety, zawołał do pocztylionów:

— Do granicy niemieckiej!

Kareta ruszyła.

Pozostawszy sam jeden z hrabią i jego pomocnikiem, Bonaparte zaniepokoił się, a miał istotnie czego, gdyż Limoilans, przysłuchując się oddalającemu się coraz więcej turkotowi karety, uwożącej księcia d'Enghien, mówił w tej chwili do siebie:

— Po co odraczać termin człowiekowi, który teraz znajduje się w naszych rękach?... Może on oszukał księcia?... Czyż nadarzy się kiedy spokojniejsza i stosowniejsza chwila do usunięcia przeszkody, zagrażającej Burbonom drogę do tronu?

Bonaparte pierwszy przerwał milczenie.

— Panowie, słyszeliście, iż jestem wolny! — rzekł sucho, przypominając w ten sposób rojalistom, iż powinni słuchać rozkazów swego naczelnego wodza.

Gdyby towarzysze hrabiego byli pozostali na miejscach, pomyślałby, iż gotowi są poprzeć jego zamiar „rozstrzygnięcia sprawy“ na swój sposób. Widząc

jednak, iż rozstępują się przed generałem, Limoilans zrozumiał, iż pomimo wszelkiego poświęcenia się dla rojalistów, nie dopuszczą się zbrodni. Postanowił wypuścić swoją zdobycz.

— Gdzie obywatel pierwszy konsul każe się dowieść? — zapytał.

— Tam, gdzie mnie spotkano — odparł Bonaparte po chwili wahania.

— Dobry znak! — szepnął Coignier do hrabiego.

— Dlaczego?

— Dlatego, iż najwidoczniej nie chce rozgłaszać tej przygody. Prawdopodobnie ma zamiar przyjąć nasze warunki.

Limoilans pokiwał głową z niedowierzaniem.

— Daj Boże — syknął przez zęby — aby nam nie przyszło żałować, iż dziś nie zrobiliśmy tego, co koniec końcem będziemy musieli uczynić.

— Do licha! — pomyślał Raul, pojmując niebezpieczeństwo, które groziło Bonapartemu.

Hrabia podszedł do pierwszego konsula i rzekł do niego:

— Obywatelu generale, czy będziesz pan łaskaw pójść za mną? Odprowadzę pana do karety.

Wszyscy w milczeniu ruszyli w drogę.

U wylotu ulicy św. Antoniego stała karetka, która przywiozła hrabiego, markiza i księcia.

Bonaparte postawił już nogę na stopniu, gdy wtem odwrócił się i zapytał drwiącym tonem:

— Czyż mam odjechać sam jeden?

— I na cóż panu teraz towarzysza, generale? — zapytał Limoilans.

— Chciałbym porozmawiać.

Hrabiemu przyszło na myśl, iż może generał teraz chce dać odpowiedź, którą odłożył na dziesięć dni, aby nie dać pozoru, iż ustępuje wobec siły. Li-

moilans rzucił okiem na swych towarzyszków, którzy stali opodal.

Coignier zrozumiał ten niemy rozkaz i nie waha-
jąc się ani chwili, wszedł do karety, siadając tuż obok
pierwszego konsula.

— Do Gracini, na bulwarze! — zawołał Bona-
parte do stangreta.

Z początku Bonaparte siedział w milczeniu.

— Da mi odpowiedź, czy nie da? — myślał
markiz.

Wreszcie pierwszy konsul przemówił.

— Czy pan masz dobrą pamięć? — zapytał
markiza.

— Doskonałą!

— A więc podejmiesz się pan powtórzenia jednej
dobrej rady dosłownie? Chcę jej udzielić panu i twoim
towarzyszom.

— Słucham.

— Najpierw jedno pytanie... Znasz Fouchégo?

— E, obrzydliwa znajomość — odparł ze śmie-
chem Raul.

— A więc Fouché zacznie was jutro poszukiwać,
to też radzę wam, abyście skorzystali z tych kilku
godzin, które wam pozostają, żeby się wynieść z Paryża.

— Jestem panu bardzo wdzięczny za radę.

— Skorzystacie z niej pan i pańscy towarzysze?
Prawda?... Aby was przekonać, iż mówię szczerze
i radzę dobrze, dodam, że Fouché otrzymał rozkaz,
aby aresztowanych rozstrzeliwać po dwóch godzinach.

W tej chwili kareta stanęła przed domem Gracini.
Generał już miał wysiadać, gdy Raul zapytał tonem
spokojnym:

— Czy Fouché rozstrzelać każe i tego, który po
upływie dni dziesięciu przyjdzie po odpowiedź?

— Po moją odpowiedź dla księcia?

— Tak.

— Ale pocóż biedaka narażać na niebezpie-

czeństwo? Mówisz pan, iż posiadasz doskonałą pamięć, otóż zanieś pan moją odpowiedź.

Generał po tych słowach był już na ulicy i szukał w kieszeni klucza do bramy, który zawsze miał przy sobie, gdy jechał do śpiewaczki.

— Powiedz pan odemnie księciu d'Enghien — rzekł z źle ukrywanym gniewem — iż prędeż, czy później skorzystam z danej mi nauczki, którą mi dał w sztuce porywania ludzi.

Otworzył bramę, a znikając w niej dodał:

— Prędeż, czy później!

Zamiast się udać na górę do Gracini, Bonaparte przeszedł przez sień do ogrodu i przystąpił do oczekującej na niego karety.

— Hej! Rappe! Zbudź się! — krzyknął Bonaparte, potrząsając swym adjutantem, który znudzony długim czekaniem zasnął w kącie karety snem sprawiedliwego.

Ruszyli.

— Fouché wynajdzie mi tych łotrów — myślał Bonaparte w drodze. — Zresztą to raczej durnie, niż łotry, powinni byli pozbyć się mnie. Przy sposobności dowiodę tego księciu d'Enghien, iż nie popełniam takich pomyłek.

Gdy pierwszy konsul wszedł do domu Gracini, przed Raulem jakby z ziemi wyrósł Limoilans i wskoczywszy pospiesznie do karety, zawołał do stangreta:

— Jedź prędeż! Niebezpiecznie jest pozostawać przed tym domem dłużej!

Raul patrzył z podziwem na hrabiego, nie pojmując, jakim sposobem mógł tak prędko powrócić z placu Bastylii.

— Przyjechałem, uczepiwszy się z tyłu waszej karety — rzekł hrabia.

— Dlaczego pan nie siadłeś razem z Bonapartem? — zapytał Raul.

— Gdyż znajdując się z nim sam na sam, nie byłbym się może mógł oprzeć zabiciu go.

Markiz opowiedział hrabiemu o groźbie Bonapartego i odpowiedź, którą miał podać księciu d'Enghien.

— Widzisz pan, jak to źle nie słuchać pierwszego porywu — rzekł Limoilans z gorzkim uśmiechem. — Nic nie szkodzi zresztą... rozpoczniemy nową partyę...

Po przejechaniu pewnej przestrzeni karetą zatrzymała się, a Raul i hrabia rozeszli się w różne strony.

Raul machinalnie skierował się w stronę domu Gracini i po drodze zastanawiał się nad ostatnimi słowy hrabiego.

— Gdzie on widzi tutaj nową partyę? — pytał sam siebie. — Ostatnia była najlepszą... i ta się nie udała.

Nagle przypomniał sobie słowa Maud Derbody, zawarte w odpowiedzi, którą baron de Saint-Régent miał zawieźć hrabiemu: „Działajcie szybciej. Po Enghienie Chevalier. Człowiek gotów“.

Gotowym człowiekiem był ten Chevalier... a ten nie żyje.

Kto go zastąpił, albo też zastąpi w tej nowej partyi, którą rozpocznie Limoilans?

To wspomnienie przypomniało markizowi jego przyjaciela barona, który gdzieś się zapodział.

— Co się z nim stało? — szepnął, mimowoli doznając uczucia jakiegoś zaniepokojenia.

VIII.

Minęło dwa miesiące.

Był dzień mroźny trzeciej dekady Frimairea, czyli według kalendarza gregoryańskiego, którego znowu zaczęto używać, 16. grudnia, a za dziesięć dni miał

się skończyć okres neutralności Fouchégo. W tym dniu miał otrzymać z powrotem swoje papiery.

Minister policji dotrzymał danego słowa. Gdy Bonaparte na drugi dzień po swoim porwaniu, o którym nie powiedział nikomu ani słówka, kazał Fouchému wszelkimi siłami prześladować rojalistów, ten natychmiast rozwinął energię i działalność, godną wszelkiej pochwały, ale niestety bez wszelkiego powodzenia. W sieci policji wpadali sami tylko jakóbin, to jest zaciekli republikanie, którzy głosili wszędzie, iż pierwszy konsul chce zapanować nad republiką.

Z rojalistów nie pochwycono nikogo. W stosunku do nich Fouché był bardzo nieszczęśliwym.

Nie miał także szczęścia i prefekt Dubois, którego Bonaparte postawił na nogi. Dwadzieścia razy zdawało mu się, iż trzyma w ręku nić, która go musi doprowadzić do odkrycia i dwadzieścia razy nić ta się zrywała z jakiejś niewytłumaczonej przyczyny. Można było pomyśleć, iż jakiś dobry geniusz otacza rojalistów swoją opieką.

Aczkolwiek bezowocnymi były te wszystkie poszukiwania, doprowadziły przecież do pewnego wyniku, a mianowicie przstraszyły rojalistów i zmusiły ich do opuszczenia Paryża, gdzie ich tak prześladowano.

Istotnie, jakoś o nich ucichło.

— Moja energia przeraziła całą szajkę rojalistów — mówił do siebie Dubois. — Pozbyliśmy się ich nareszcie... niech się wynoszą na prowincję, jeżeli im tam wygodniej... To już rzecz Fouchégo.

Co się tyczy ministra policji, to ten wcale nie podzielał zapatrywań prefekta i jego ufności.

— Z pewnością Limoilans wymyślił coś nowego — pomyślał sobie, otrzymawszy od Bonaparte go rozkaz ścigania rojalistów.

I teraz, gdy rojaliści zniknęli i nie dawali o sobie znaku życia, powtarzał w duchu:

— Może urządzią coś takiego, wskutek czego runie Dubois?

Pilnując kozy i kapusty, Fouché mimo tego liczył dni i uważał, że czas wlecze się bardzo powoli.

Rano 16. grudnia minister rzekł do siebie:

— Jeszcze dziesięć dni! Jak ja się odplacę hrabiemu, gdy te przekłete papiery znajdą się nareszcie w moich rękach... Jeżeli do tego czasu nie znajdzie sposobu pozbycia się Bonapartego...

Dwa stuknięcia w drzwi przerwały rozmyślenia Fouchégo.

Drzwi otworzyły się, a do pokoju wszedł małejki człowieczek, lat około trzydziestu z głupekowatą miną.

— Ah, to wy Bolleau! — rzekł Fouché.

Obywatel Bolleau był golibrodą ministra i zjawił się, aby dokonać swej codziennej czynności.

Ze wszystkich szpiegów najlepszymi, zdaniem Fouchégo, byli nieświadomi, to jest ci, z których można było wydobywać wiadomości tak, aby oni tego nie podejrzewali, słowem gaduły, a na czele gadułów stawał Fouché cyrulików. Zwykle zmieniał ich co miesiąca, albo dlatego, iż dowiedział się wszystkiego, czego się było można dowiedzieć, albo dlatego, iż oni, spostrzegłszy, jaką odgrywają rolę, stawali się mniej rozmownymi.

Obywatel Bolleau był tu dopiero po raz piąty i dlatego ostrożność jeszcze nie nałożyła kagańca na jego krasomówstwo. Dumny z tego, iż sam minister jest jego słuchaczem, pracował językiem, co się zowie.

Wszedłszy do pokoju, skierował się zaraz do kominika, na którym palił się jasny ogień, i kręcił się

przed nim z zadowoleniem, podstawiając do ognia to jeden, to drugi bok.

— Zimno dzisiaj? — zapytał Fouché.

— Oj tak, obywatelu ministrze. Straszne zimno, aż w nos szczypie... Tak, jak w zimie 1793 roku.

Wreszcie Bolleau rozgrzał się i zaczął mydlić szczęki ministra.

— Cóż nowego słyhać w mieście? — zapytał Fouché jak zwykle codziennie.

— Nic nowego, o ile mi wiadomo, obywatelu ministrze — odparł golibroda, ale połapał się natychmiast i dodał: — Ach, nie, nie, jest coś nowego... Właśnie przeczytałem na afiszu, iż oratorium „Saul” pójdzie 1-go Nivosea... za sześć dni... spodziewam się, iż to już ostateczne postanowienie. Już trzy, czy cztery razy odraczano przedstawienie z powodu choroby obywatelki Gracini.

Bolleau urwał i pokiwał głową z miną człowieka, który wie, co w trawie piszczy.

— Jednakowoż — mówił dalej — obywatelka Gracini jest tak samo chora, jak i ja, sądząc z tego, co słyzałem.

— A cóż słyzaeliście, Bolleau? — zapytał napozór obojętnie Fouché.

— Że wszystko to jest robione z umysłu, aby naruszyć kontrakt i powrócić do Włoch; zerwie się stosunek, który zaczyna ciężyć śpiewacze.

Pojmując, iż choć pośrednio dotyka pierwszej osoby w Rzeczypospolitej, Bolleau czempredzej chciał zrzucić z siebie odpowiedzialność i dodał:

— Pan mnie rozumie, obywatelu ministrze, za co kupiłem, za to i sprzedaję... Powtarzam tylko obce słowa.

— Pogłoski te nie mają najmniejszej podstawy... Gracini ma poprostu silny katar... Nic to dziwnego wobec takiej pogody.

— Tych mrozów nie zniosłaby nawet i góra z że-

laza. Przed dziesięciu minutami przechodziłem przez plac Karuzelu, a przejął mnie ze wszystkich stron taki psi wiatr, iż pomyślałem sobie, że zamarzną gdzie po drodze.

— Jesteście widocznie wielkim zmarzlakiem?

— Tak... a potem muszę panu powiedzieć, obywatelu ministrze, że zwykle rano, celem rozgrzania się, pijam kieliszek, a dzisiaj nie piłem, aby sobie nie

— Aby nie wzbudzać podejrzeń, Fouché zwykle pozostawiał się wypalać swemu golibrodzie, a niekiedy wypisywał go się o różne głupstwa. Bez wątpienia i teraz w tym samym celu rzekł ze śmiechem:

— Nie stracić apetytu? Eh, mistrzu Bolleau, widocznie macie dzisiaj jakąś wyzerkę?

— Prawdę mówiąc, tak... Zaprosił mnie na śniadanie mój przyjaciel Lambelle, handlarz zbożem w ulicy Melée. Zrobił doskonały interes. Wziął dobre pieniądze za lichy wóz i starą klacz, nie warte nawet dwudziestu talarów, a w dodatku wymówił sobie od kupującego piętnaście liwrów na śniadanie.

— No, to tego kupca obdarł porządnie! Widocznie nie zna się wcale na tych rzeczach?

— A tymczasem, sądząc z jego zajęcia, powinien się na tem znać, tak na koniach, jak na wozach.

— Czemże on się zajmuje?

— To kupiec jarmarczny. Przywozi z Lavallo do Paryża płótno, a zabiera mączkę cukrową w beczkach.

Mówić Fouchému o człowieku, który przyjeżdżał z Lavallo, ogniska jeszcze nie uspokojonych departamentów, to znaczyło zwrócić jego uwagę na śmiałka, który był na tyle zuchwałym, iż woził towary po drogach, gdzie grabież była na porządku dziennym.

Nadstawił uszy, czekając na nowe szczegóły, ale Bolleau powrócił do pierwszego tematu.

— Tak, doskonale będzie śniadanie... Mam nadzieję, iż za trzy godziny będzie mi tak ciepło, iż nie będę się obawiał mrozu. Kto wie, może sam, nie zważając na mróz, zacznę naśladować tego dziwaka, który mnie tak swem zachowaniem się zadziwił dziś rano na placu.

— A cóż to za dziwak? — zapytał Fouché. — Opowiadaj pan!

— Czy pan, obywatelu ministrze, zna dom Longueville na rogu placu i ulicy Sainte Niquesse?

— Znam... i cóż z tego?

— Zna pan także sztachety przed Tuileryami?

— Zapewne...

— Wyobraź więc pan sobie, obywatelu ministrze, iż przy ośmnastu stopniach mrozu, gdy wszyscy uciekają, aby nie zamarznąć, widziałem człowieka, który z zegarkiem w ręku chodził wolnym krokiem od sztachet do rogu ulicy Sainte Niquesse. Widocznie sprawiało mu to przyjemność, gdyż po dojściu do rogu ulicy powracał nazad do sztachet.

— Tym samym powolnym krokiem?

— Tak i zawsze z zegarkiem w ręku. Myślałem, że to jakiś skoczybruzda. Zajął mnie najpierw jego zegarek, później jednak zrozumiałem, iż mierzy odległość krokami i jednocześnie liczy, ile potrzeba czasu, aby tę przestrzeń przejść.

Bolleau roześmiał się, a minister dziwnie spoważniał.

— Trzeba przyznać — mówił golibroda — iż wybrał sobie do swych doświadczeń bardzo niestosowną porę... Boże!... Ośmnaście stopni mrozu!... A jemu się widocznie zdawało, że to lato! — roześmiał się golibroda.

— Co was tak bawi, Bolleau?

— Przypomniałem sobie jeszcze jedną rzecz.

— Gotów jestem iść o zakład, iż tak samo oryginalną, jak człowiek z zegarkiem.

— A która ma z nim pewien związek.

— W istocie? — zapytał Fouché, który już się obawiał, aby gadatliwy golibroda nie przeskoczył na inny temat.

— Tak, ma pewien związek... Osądź pan sam, obywatelu ministrze. Liczyć kroki przy ośmnastu stopniach wzniesienia, narażać się na zapalenie płuc — to już trochę było dumem, prawda?... Ale znalazłem jeszcze głupszego.

— Czy to znówu?

— Ano był taki, który stał i patrzył się na człowieka z zegarkiem.

— Mówicie o sobie? — zapytał Fouché, trochę zaskoczony tą otwartością golibrody.

— Nie, nie! Widziałem to tylko w przechodzie. Mówię o tym człowieku, który przycisnął się do ściany domu Longueville i uważnie śledził, jak tamten chodził tam i z powrotem przed sztachetami. Prawda, mówią, iż widzimy źdźbło w oku bliźniego, a w swoim własnym nie widzimy nawet belki... ale ten idyota mówił najwidoczniej do siebie: „Co to za dureń chodzi po takim mrozie?“, nie myśląc o tem, iż w ten sposób staje się sam takim durniem, a może większym nawet. Jeszcze teraz przypominam sobie jego śmieszny minę... długi, nosaty, oczy, jak u sowy, gęba od ucha do ucha... Boże! co to była za gęba!... A nogi!... Trzy takie wystarczyłyby na zbudowanie mostu!

Po tym opisie poznał Fouché natychmiast znajomą mu osobistość.

— To Patapon! — pomyślał. — A ten człowiek z zegarkiem... może to ten głuchy z Langers, któremu Patapon poprzysiągł zemstę.

Golibroda tymczasem zabrał swoje narządy i zabierał się ku wyjściu.

— A więc do jutra, Bolleau — rzekł minister — a mam nadzieję, iż dzisiejsze śniadanie tak was nie rozgrzeje, aby...

— Oh! — zawołał Boilleau z protestem. — Lubię sobie popić, to prawda, ale nigdy do takiego stopnia.

— A wybraliście sobie przynajmniej jakie przyzwoite miejsce na to śniadanie?

— U obywatela Dawida na ulicy Temple, pod „Złotym Bąkiem“.

— Doskonała nazwa! — zauważył Fouché, który nawet nie wiedział, iż istnieje taka knajpa.

Pozostawszy sam, Fouché zastanowił się nad plotkami swego golibrody.

— Kim może być ten kupiec jarmarczny, który powinien się znać na koniach, a tymczasem pozwala się tak haniebnie oszukiwać?... Wozi towary z La-valle, gdzie szuani grabią podróżnych... A ten drugi, który z zegarkiem w ręku łązi po placu? Co to za figury?... Hm... hm...

Na to ostatnie pytanie mogłby był odpowiedzieć Patapon, gdyż według opisu cyrulika on to właśnie śledził tego człowieka, mierzącego kroki na mrozie.

W ostatnich dwóch miesiącach jednak Patapon stał się rzadkim gościem u ministra, a gdy się tam zjawił, prosił zawsze, aby mu pozostawiono swobodę działania, przyrzekając, iż w wspaniały sposób pomści się za klęskę, którą poniósł w Turegne.

W jaki sposób?

O tem milczał, a Fouché unikał zapytań, obawiając się, aby po wydobyciu z niego prawdy nie musiał rozkazać agentowi, aby zaprzestał swej działalności.

— Oby tylko to bydlę — rozważał Fouché — nie stanęło w drodze rojalistom, zanim będę miał papiery... Pomyśleliby sobie, że nie dotrzymuję warunków. Ba!... Powiem im wtedy, że Patapon działał wbrew mojej woli, a w razie koniecznej potrzeby mo-

gę im go nawet poświęcić... Niech dyabli porwą za-
nadto gorliwych ludzi!

W dziesięć minut po odejściu cyrulika minister
dokończył ubierania się i udał się do swego gabinetu.

— Agent Patapon nie zgłaszał się dzisiaj? —
zapytał urzędnika.

— Nie, obywatelu ministrze.

— W takim razie niech tu natychmiast przyjdzie
Jolicoeur.

Jolicoeur był także agentem policyjnym, aczkol-
wiek nie mógł się porównywać z Pataponem. Zjawił
się natychmiast wielce zadowolony z tego, iż wezwano
go do samego ministra.

— Słuchaj — rzekł do niego minister Fouché —
pójdiesz na ulicę Temple, do szynku Dawida...

— Wiem, pod „Złotego Bąka“.

— Właśnie. Znajdziesz tam trzech lub czterech
ludzi, jedzących śniadanie przy jednym stole... Będą
rozmawiali o sprzedaży konia i wozu. Zwróć uwagę
na kupującego, zapamiętaj sobie wszystko, co będzie
mówił i śledź go po wyjściu z szynku.

Jolicoeur popędził natychmiast, ciesząc się, iż
przed ministrem policyi będzie mógł zdać egzamin ze
swego sprytu i gorliwości.

Nie minęła jeszcze godzina, a agent już był z po-
wrotem.

— Z pod „Złotego Bąka“? — zapytał zdumiony
tym pośpiechem Fouché. — A więc śniadania nie
było?

— Proszę obywatela ministra o pozwolenie opo-
wiedzenia całej sprawy.

— Słucham.

— Byłem tam zbytecznym.

— A to dlaczego?

— Przyszedłszy do szynku, siadłem przy stole
sąsiednim z tym, przy którym jadło śniadanie tych
czterech ludzi.

— Ah! Więc było ich czterech?!

— Tak, sprzedający nazwiskiem Lambelle, mieszaniec Normandczyka z Pikardyjczykiem.

— Dalej, dalej — naglił Fouché.

— Tuż przy nim siedział tłustawy człowieczek, gadatliwy jak sroka, a zaproszony przez Lambella.

Fouché poznał po tym opisie natychmiast swego golibrode.

— Dalej siedział kupujący, jakiś Petit-François.

— I on mówił o wozie?

— Rozmawiali tylko o tem. Ten Petit-François prosił, aby mu wskazano adres powroźnika, któryby mu zrobił daszek płócienny nad jego wozem. Lambelle przyrzekł, iż się o to postara... Zaczęli mówić o czemś innem. Petit-François zapytał, czyby mu Lambelle nie odstąpił swej wozowni na jakiś czas za osobnem wynagrodzeniem. Zgodził się na odnajęcie tylko połowy, gdyż druga jest zajęta pod zboże, a przenosić go nie chce. Interes się rozbił wskutek tego, gdyż Petit-François chciał wynająć wozownię w całości, aby i klucz znajdował się w jego rękach. Mówił, iż podczas pobytu w Paryżu nocuje zawsze przy swoim wozie, aby nie płacić za pokój w hotelu.

— Lambelle w końcu się zgodził?

— Nie, odstąpił od interesu, gdy ten gaduła mu powiedział, iż w Paryżu nie braknie wozowni, w którychby Petit-François mógł sypiać, jeżeli mu się tak podoba.

— Na tem skończyła się rozmowa o wozie?

— Nie jeszcze... Kupujący zapytał potem, gdzieby mógł dostać próżnych beczek najzupełniej suchych. Powiedział, iż po sprzedaniu sukna chce kupić mączki cukrowej, a do tego potrzebne mu są beczki, koniecznie suche.

Wszystkie te szczegóły nie wydawały się Fouchému ważnymi.

— Kiedyż mi nareszcie powiesz, co cię zniewoliło

do tak szybkiego powrotu? — zapytał zniecierpliwiony.

— Zaraz to powiem... Powiedziałem, że ich było czterech, prawda?

— Tak, pomówmy o tym czwartym teraz!

— Widziałem tylko jego plecy... a jakie plecy!... Takie wielkie, jak plac w Saint-Denis... Z początku stawił sobie tylko dlatego, aby jeść i pić. Słuchałem bardzo uważnie, obywatelu ministrze!... Petit-François nachylił się do swego sąsiada, szepcząc mu coś do ucha. Ten czwarty odwrócił się, a spojrząwszy mnie, zacisnął pięść i rzekł do mnie ze złością:

— Słuchajno, kochanku, my ciekawskich nie znosimy! Jeżeli nie chcesz, aby ci połamano żebra, to idź sobie pić do drugiego pokoju... Daję ci tę dobrą radę!

Nie chciałem, aby mi to jeszcze raz powtórzył i wyniosłem się czemprędzej.

— Jakto? Śmiałeś odchodzić wtedy, gdy ja ci rozkazałem śledzić kupca, który kupił wóz?!

Agent uśmiechnął się pod wąsem.

Fouché aż się zapienił z gniewu.

— Jeszcze się śmiejesz!? — wrzasnął.

— Nie ma obawy o tego kupca, obywatelu ministrze! Czwartym gościem był... Patapon!

— Patapon? — zapytał zdumiony Fouché. — Możesz odejść.

Minister zaczął chodzić po gabinecie i zastanawiał się.

— Dzisiaj rano Patapon śledził człowieka z zegarkiem — myślał — a teraz przyczepił się do tego kupca wozu... Może ci obaj zamieszani są w jedną sprawę?

IX.

Czy Bolleau miał słuszość, opowiadając, iż tylko wskutek kaprysu Gracini przedstawienie „Saula“ odkładano już kilka razy z dnia na dzień?

W chwili, gdy w szynku na ulicy Temple czterech ludzi oblewało kupno wozu, znajdowała się Gracini w swoim budoarze w towarzystwie markiza de Coignier.

— W imię miłości naszej, Nino — mówił do niej czule — zrób to dla mnie!

— Ależ kochany Raulu, trzeba przecie być rozsądnym... Już czwarty raz zrywam przedstawienie „Saula“... Teraz naznaczony jest na pierwszego Nivosea, a ty żądasz, abym znowu udała chorą.

— Tak, proszę cię o to.

— Przynajmniej trzeba położyć kres mojej chorobie... Pozwolisz mi śpiewać trzeciego?

— Nie — odparł Raul.

— W takim razie, tyranie jakiś, wyznacz sam dzień.

Markiz zamyślił się na chwilę.

— Szóstego — odparł.

— Zgoda! — zaśmiała się wesoło Gracini.

— Jesteś czarującą! — zawołał Raul.

W porywie wdzięczności pochwycił obiema rękami głowę śpiewaczki i zaczął ją obsypywać pocałunkami.

— Tak, tak — rzekła Gracini, udając, iż się opiera — jestem czarującą, to prawda, ale jestem także bardzo ciekawa. Długoż jeszcze będziesz ukrywał przedemną, dlaczego zmuszasz mnie do drwienia sobie z teatru i publiczności, która czeka z upragnieniem swego „Saula“?

— Powiedziałem ci już, Nino.

— Powiedziałeś, iż zapobiegnę w ten sposób strasznej katastrofie, iż uratuję twój honor od hańby...

że wreszcie uratuję twego przyjaciela najlepszego od haniebnej śmierci.

— Czyż nie wystarczają ci, najdroższa, te wyjaśnienia?

— I on to nazywa wyjaśnieniem!... Posłuchaj, Raulu — dodała, przytulając się do niego — jeżeli ci się pytać będę, czy będziesz tak srogim i nie odpowiesz na moje pytania?... Siadaj naprzeciw mnie... ot tak... teraz spojrz mi prosto w oczy... dobrze... Odpowiedzieliśmy spisek?... Prawda? — zapytała z powagą.

— Nie odpowiedział ani słowa.

— Dobrze — mówiła dalej — kto milczy, ten się przyznaje. Wynika z tego, iż gdy nie będę śpiewała do szóstego Nivosea, unikniemy niebezpieczeństwa?

— Nie, Nino, mówiłem ci tylko, iż uratujesz mnie od hańby.

— A nie od niebezpieczeństwa?

— Nie, przeciwnie! Niebezpieczeństwo, które drzemie w tej chwili, zbudzi się wtedy z całą siłą, gdy straszny ten wróg, związany, przez nas, zerwie swe pęta szóstego Nivosea i będzie się starał pomścić się na nas w najokrutniejszy sposób.

— A ta tajemnicza katastrofa, która ciebie tak przeraża?

— Jeżeli nie nastąpi do tego czasu, gdy nasz wróg odzyska swobodę działania, niema się już czego obawiać, gdyż on sam będzie umiał jej zapobiedz.

— W takim razie chyba występujesz w obronie swego wroga? — zapytała zdumiona Gracini.

— Nie, Nino — odparł ze smutkiem Raul. — Chodzi mi tylko o mój honor, któremu grozi niebezpieczeństwo. Bywają takie potworne przedsięwzięcia, które okrywają hańbą stronnictwa, rządzące je.. Nino, błagam cię, zrób to, o co cię proszę, nie staraj.

się dowiadywać... pozostaw mi możność kochania cię... na zawsze... Jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie nieszczęściu, któremu chcę zapobiedz, przysięgam ci, odbiorę sobie życie!

— Nie mów tak, Raulu, przyrzekam wszystko! — zawołała przerażona śpiewaczka i pochwyciła Raula obiema rękami, całując go namiętnie i serdecznie w czoło, włosy, usta, oczy...

— A potem, widzisz, Nino, niebezpieczeństwa, które mi grozi w dniu szóstym Nivosea, mogę uniknąć, gdyż wtedy zniknie ostatnia nasza nadzieja, a prowadzenie walki dalej byłoby poprostu szaleństwem... Będzie to najzupełniejsza klęska, ale przynajmniej niczyje przekleństwo nie padnie na sprawę, której ja służę.

— I wtedy uciekniesz?... Prawda? — zapytała Gracini, której serce waliło, jak młotem.

— Tak, ze względu na ciebie nie będę prowadził bezowocnej walki.

— I pojedziesz? — powtórzyła Gracini.

— Pojadę wszędzie, gdzie zechcesz.

Gracini zerwała się i zawołała z radością, kładąc w dłonie:

— Prędeż! Prędeż! Papieru, atramentu, pióra! Wszystko, co potrzeba, aby wymyśleć niebezpieczną chorobę... na papierze.

— Co chcesz zrobić?

— Co? „Saul“ wyznaczony jest na pierwszego, to jest za sześć dni, potem jeszcze sześć, mamy więc razem jedenaście... będę wtedy bardzo niebezpiecznie chora, a teraz chcę zawiadomić dyrekcyę, iż ta choroba się zaczęła... Patrz, jak ja mizernie wyglądam, prawda? — zapytała ze śmiechem, przybliżając twarz do twarzy markiza.

Coignier najpierw ucałował ją, a potem rzekł, potrząsając głową:

— Mizerny wygląd? A czy tego samego zdania będzie lekarz, którego ci naszła z teatru?

— Doktor Colain? On? Nie znasz go? Zwaryował na punkcie muzyki! Już teraz słyszę, jak mówi do mnie: „Siadaj pani do fortepianu i zaśpiewaj dla mnie swe najlepsze pieśni według mego wyboru, a napiszę, iż obcięłaś pani sobie głowę, nalewając wino do kieliszka“. Zobaczysz, co to za oryginał... a przytem doskonały lekarz... przyznaję to tem chętniej, iż go nigdy nie potrzebuje.

W czasie tego siadła przy biurku i zabrała się do pisania.

Ale prawda — dodała — jeżeli sama nie potrzebuję Colaina, to przecież w każdym razie mogę go się poradzić.

— A to po co?

— Chodzi tu o moją biedną Fanchettę. Stała się teraz jakaś podrażniona, posmutniała. Przez ostatnie dwa miesiące wędnie poprostu w oczach.

Coignier wiedział, jaka choroba podcina zdrowie służącej. Najmniejsza wiadomość o ukochanym byłaby dla niej zbawienniejszą, niż wszystkie leki doktora Colaina.

Jeden jedyny Raul mógłby ją być zawiadomić o zbiegu, ale powstrzymał się od tego z litości, wiedząc o tem doskonale, że Pierrot zapomniał zupełnie o swojej Fanchecie. A potem . . . pocóż służąca ma wiedzieć, że on zna barona de Saint-Régent?

Gracini napisała tymczasem kilka wierszy i zaczęła składać list.

— No — rzekła — ależ to się będą wściekali! Ten „Saul“ nie ma jakoś szczęścia. A wierzaj mi, Raulu, iż muzyka jest zupełnie dobrą, może jej słuchać cały Paryż z przyjemnością... Wszystkie miejsca są już rozkupione, dlatego też przypuszczam, że zaraz Colaina odkomenderują do mnie.

— A ty będziesz go się radziła, co począć z Fanchettą — odparł wesoło Raul.

Gracini skrzywiła się.

— Naturalnie! Colain jest bardzo uczony! — rzekła — ale obawiam się, iż cała jego umiejętność na nic się nie przyda.

— A cóż brakuje Fanchecie?

— Zdaje mi się, iż jest zakochana.

— Ależ to bardzo przyjemna choroba, Nino. Znam jednego zakochanego, który jest zachwycony tą chorobą — zauważył markiz.

— Tak, to przyjemna choroba... takie zakochanie się, ale moja biedna Fanchetta kocha się gdzieś w przestrzeni. Przedmiot jej miłości gdzieś się zapodział. I jaki jeszcze przedmiot! Naprawdę, nigdybym nie była pomyślała, aby taka przystojna dziewczyna, jak Fanchetta, mogła się zakochać w takiej karykaturze człowieka, jak ten stary Topinard.

— Masz tobie! — zawołał Raul z wybuchem śmiechu.

— Najwidoczniej tak jest, gdyż Fanchetta straciła wesołość od chwili, w której Topinard zniknął pewnej nocy.

Mogło się zdawać, że tak było w istocie, że Topinard zawojował serce dziewczyny. Po jego zniknięciu służąca popadła w melancholię i zaczęła mizernieć. Ze dwadzieścia razy dziennie wspominała o starym i zachodziła do jego komórki, którą opuścił w wilię dnia, w którym powinien się być pojawić jego następcą... Czekano dotąd na niego.

Trzeba się było koniecznie dowiedzieć, co tak martwiło Fanchettę, czy zniknięcie starego, czy też nieprzybycie jego następcy?

Pod tym względem służąca była bardzo skryta, a Gracini miała zupełne prawo sądzić, iż wszystkiemu winien był stary Topinard.

Topinard zniknął dlatego, iż Limoilans po por-

waniu pierwszego konsula uważał za stosowne opuścić schronisko, w którym tak długo się ukrywał. Przypuszczał, iż zaraz następnego dnia policya zajmie się domem, w którym pochwycono znakomitego generała jak zwykłą muchę, i zwróci uwagę na jego mieszkania.

Limoilans na tym punkcie pomylił się. Ambicya zmusiła Bonapartego do zamilczenia o swej przygodzie. Nie pojawił się też w domu żaden policyant.

Myśląc o sobie, hrabia zapomniał o drugich, a raczej ani mu się śniło pamiętać o biednej Fanchecie.

Czyż nie mówił na kilka godzin przed zniknięciem, że następnego dnia jego miejsce zajmie obywatel Pierrot?

Prawda, że całą tę historję wymyślił tylko dlatego, aby służącą zniewolić do wygadania się i dowiedzieć się od niej napewno, czy tego wieczora przyjedzie do jej pani Bonaparte. Fanchetta nie podejrzewała niczego, a ze słów starego zapamiętała tylko, że nazajutrz ma się zjawić Pierrot.

Minęły już dwa miesiące od tego dnia, a Pierrot nie przybywał.

— I wyobraź sobie, Fanchetta zakochana w Topinardzie! — powtórzyła Gracini.

Raul mógłby był wyjaśnić, kto panował w sercu Fanchetty i podać szczegóły o wiarołomnym baronie. Ponieważ jednak ukrywał się ze swoją znajomością z nim, przeto i teraz odpowiedział krótko:

— Cóż robić, Nino, miłość jest ślepą!

Zalawie wymówił te słowa, dało się słyszeć lekkie zapukanie do drzwi i na progu buduaru stanęła Fanchetta.

Istotnie biedaczka bardzo się zmieniła... zbladła, schudła, oczy z płaczu miała czerwone, a przelewała łzy ukradkiem przez całe dwa miesiące. Czekala

i nie mogła się doczekać przybycia swego ukochanego.

— Cochois przyszedł — rzekła, podając śpiewacze arkusz papieru.

Cochois był woźnym teatralnym, który artystom roznosił zawiadomienia dyrekcyi.

— On zanieś mój list do teatru! — zawołała Gracini. — Fanchetto, daj mu kieliszek wina, niech poczeka, aż zapieczętuje list. Przyjdź po niego za chwilę.

— Posłuchaj, Nino — rzekł markiz po wyjściu służącej.

— Co takiego, mój drogi?

— Spojrzałaś na biuletyn, zanim wyprawisz list — rzekł Raul, wskazując na papier, przyniesiony przez Fanchette.

— Po co? Już naprzód wiem, iż mam śpiewać w „Horacyuszach“, dopóki nie będzie wystawiony. „Saul“, to jest do 1. Nivosea.

— A „Horacyusze“ nie przynoszą dochodów?

— Padli, jak dłudzy. Nie dają ani jednego sous. Na trzecim przedstawieniu całe pierwsze piętro łóż było puste. Oto dlaczego tak się śpieszą z wystawieniem „Saula“, liczą bowiem na ściągnięcie publiczności.

— Rozumiem.

— Pewna osoba — ciągnęła dalej Gracini — uwieńczona wawrzynami, o której zapominają zakochani, powiedziała: „Moja noga nie postanie w teatrze, dopóki będą grali „Horacyuszów“. Będę czekała na pierwsze przedstawienie „Saula“. Naturalnie, inni biorą z niego przykład i dlatego śpiewam przed pustymi ławkami.

Coignier, który słuchał tego opowiadania z pewnym niepokojem, uspokoił się pod koniec.

— W takim razie choroba twoja jest na razie zbyt uczna.

— Ależ mnie sam prosiłeś!

— Nie, moja droga, mylisz się. Prosiłem tylko, abyś nie śpiewała w „Saulu“ do 6. Nivosea.. Co się tyczy „Horacyuszów“, to postaraj się oczarowywać puste krzesła jak można najdłużej.

— Dobrze, będę śpiewała dla krzesel.

— Co się tyczy „Saula“, wystarczy, gdy zachorujesz w sam dzień przedstawienia rano, aby tylko publiczność mogła się wcześniej dowiedzieć o odwołaniu.

— I trzeba chodzić na próby?

— Nawet jest to koniecznością.

— Dlaczego?

— Aby twej roli nie oddano jakiej innej śpiewaczce.

— Pod tym względem jestem zupełnie spokojna. Naczelnik teatru chodzi na palcach przed tym, który mnie przydzielił do opery. Będą się bali podrażnić go taką sztuczką.

— Ile jednak potrzeba czasu, aby inna mogła się wyuczyć twej partii?

— Jeżeli ci jednak mówię, że...

• — Tak, ale przypuśćmy rzecz niespodzianą.

— Co najmniej dziesięć dni... a i to będzie jeszcze wielkiem ryzykiem.

— Wobec tego, moja najdroższa, musisz chodzić na próby i okazywać wielką gorliwość, aby 1-go Nivosea, gdy zachorujesz, nikt nie pomyślał, że jest to twój kaprys.

— Odłożą przedstawienie do 3-go Nivosea.

— I będziesz znowu chora aż do 6-go.

— A po szóstym, jak powiadasz, uratuje honor?

— Zapobiegiesz straszmemu nieszczęściu.

Gracini pokazała markizowi złożony i zapieczetowany list, który trzymała w ręku.

• — Więc to postanowione?

— Tak.

— Zachoruję 1-go Nivosea i spowoduję odłożenie „Saula“ do 6-go.

— Nie namyślisz się inaczej?

— W żadnym wypadku.

— Dobrze.

— Ale przysięgasz, że wyświadczam ci przez to wielką przysługę?

— Taką, że nie mógłbym za nią zapłacić całym mojem życiem.

— A więc szóstego Nivosea, jak powiadasz, runą ostatnie nadzieje twego stronnictwa i przeciąganie walki byłoby szaleństwem. Przysięgniesz mi, że w tym dniu opuścisz Francję... ze mną... jeśli ją opuścisz?

— Przysięgam iść za tobą na kraj świata! — zawołał Raul z taką szczerością w głosie i tonie, że pokonał śpiewaczkę.

Gracini zawinęła listem nad głową i rzekła uszczęśliwiona:

— A więc wszystko postanowione!... Raz, dwa... Może się namyślisz?

— Nie, przysięgam raz jeszcze!

— Trzy!!!

I list zginął w czeluściach kominka.

Gracini rzuciła się w objęcia Raula.

— Niech stę stanie wola twoja, mój nienawistny tyranie! — zawołała.

W tej chwili dał się słyszeć lekki kaszel, a zakochani odskoczyli od siebie.

To Fanchetta dawała znać o swojej obecności.

— Cochois czeka na odpowiedź — rzekła.

— Powiedz mu, niech sobie idzie. Odpowiedzi nie będzie. Za godzinę będę sama w teatrze.

Istotnie w godzinę potem Gracini udała się na próbę.

Zaraz po niej wyszedł i markiz de Coignier.

— Uratuję barona wbrew jego woli! — mówił do siebie, przyspieszając kroku.

X.

Coignier wyszedł na bulwar, przeszedł Nowy most i po kilku zakrętach zatrzymał się przed domem o bardzo skromnym wyglądzie, znajdującym się przy ulicy Pruvaire.

— To tutaj — rzekł do siebie.

Wszedł do wąskiej i ciemnej sieni, na końcu której po omacku znalazł pierwszy stopień schodów, zabłoconych i oślizgłych, zaopatrzonych w sznur do trzymania się, zamiast w poręcz.

Gdy się znalazł na pierwszym piętrze, potknął się o jakąś kobietę, która właśnie wychodziła z jakichś drzwi i miała zamiar schodzić na dół.

— Kogo pan szuka? — zapytała.

— Czy tutaj mieszka obywatel Souaillieux?

— Takiego tutaj niema — odparła kobieta bez wahania.

Markiz musiał jednak posiadać bardzo dokładne wiadomości, gdyż przyjrawszy się bliżej kobiecie, rzekł:

— Widziałem drogę do Nantes.

— Ah, dobrze! — odparła kobieta zmienionym tonem. — Idź pan o piętro wyżej, drzwi na lewo.

— Jest w domu?... Sam?...

— Sam, czeka na śniadanie, które mu właśnie niosę — odparła kobieta, wskazując na koszyk, który trzymała w rękę.

Raul poszedł na górę i zapukał trzy razy do wskazanych mu drzwi.

Drzwi się otworzyły, a na progu ukazał się baron de Saint-Régent.

Ale nie był to już ten wesoły, żywy, dyszący

młodością, życiem, zabawą baron, którego znał Raul. Teraz zaledwie poznał swego przyjaciela, tak ogromnie zmienił się w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

Postarzał się przynajmniej o lat piętnaście. Włosy miał zwichrzone, policzki blade i zapadłe, czoło pokryte było zmarszczkami, usta mu drżały, oczy świeciły się jakimś gorączkowym blaskiem.

Na widok markiza baron zachnął się, a potem rzucił mu się na szyję. Natychmiast jednak odtrącił go od siebie i zawołał z jakąś dziką wściekłością:

— Idź precz! Idź precz! Po coś tu przyszedł! Ja cię nie prosiłem! Ja ciebie nie wzywałem!

— Przyszedłem pomówić z tobą, mój biedny przyjacielu — odparł Raul.

Usłyszawszy to, Sanit-Régent roześmiał się szyderczym i złowieszczym śmiechem.

— Pomówić ze mną? — powtórzył. — A czy można mówić z obłąkanym?

Uchwycił się za głowę obiema rękami i mówił dalej tonem, w którym czuć było straszne cierpienie:

— Ona zrobiła mnie przecież szaleńcem, ten potwór piekielny! Ona opanowała moje serce, mój rozum, moją wolę... Ona rozkazuje, a ja w niczem sprzeciwić się jej nie mogę... Jestem zaklęty, zaczarowany... czy ty to rozumiesz?... Niezadługo stanę się podłym!... Honor, energię, wszystko mi zabrała... Raulu, mój drogi, nie chcę, abyś szedł za mną tam, gdzie ona mnie prowadzi!

Popchnął markiza ku drzwiom i powtórzył jeszcze raz:

— Uchodź, Raulu, idź precz! Pozostaw mnie memu nieszczęśliwemu losowi!

Padł na fotel, przyciskając skronie dłońmi, jakby chcąc zdusić upartą myśl, która paliła mózg jego.

— Pamiętasz — zaczął znowu słabym, urywanym głosem, w którym czuć było tłumiony płacz — pamiętasz, jak drwiłem sobie z miłości, której nie znałem? Przepowiadałeś mi wtedy, iż nastanie dzień, w której ona uderzy we mnie, jak piorun? Nadszedł ten nieszczęsny, przepowiadany przez ciebie dzień, i przyniósł mi z sobą miłość, która bezceści i zabija...

Popadł w jakąś rozpacz.

— Dlaczego zupełnie nie straciłem zmysłów? Nie byłaby mnie zmusiła do tak strasznych cierpień! Przeklęta!

W tej chwili do pokoju weszła kobieta, którą markiz spotkał na schodach.

Postawiła na stole śniadanie i wyjęła z koszyczka maleńki zwitek.

— Oto pańska hubka, panie Saint-Régent — rzekła. — Pocięłam ją na wąskie paski, jak pan poleciłeś. Kładę to tutaj na kominku.

— Dziękuję pani, pani Leguilioux.

Zabierała się do wyjścia, ale przy drzwiach stanęła i rzekła:

— Ach! Zapomniałam panu powiedzieć, że Carbon przychodził dziś rano, zaraz, jak pan tylko wyszedł. Polecił mi powiedzieć panu, iż znalazł nareszcie wóz... Przyjdzie tu jeszcze wieczorem.

Po tych słowach wyszła.

Saint-Régent nie przesadzał, mówiąc, iż jest prawie obłąkanym, gdyż zaledwie tylko Leguilioux wyszła, zapomniał pod naciskiem dręczących go myśli o obecności markiza i rzucił się do kominka. Wyjąwszy z leżącego tam zwitku pasek hubki, zapalił go i położył na płytce marmurowej, wyjmując jednocześnie zegarek z kieszeni i zaczął liczyć sekundy.

Na widok tej sceny Raul przypomniał sobie, jak przed dwoma miesiącami w Turegne, on i baron,

wtedy jeszcze wesoły i bez troski, wchodząc do sypialni Maud Derbody, zastali ją przy podobnem zajęciu.

— Tak jest, człowiek gotów — pomyślał Raul — ale nie nazywa się już Chevalier, tylko de Saint-Régent.

Tymczasem hubka dopaliła się. Saint-Régent spojrział po raz ostatni na zegarek i szepnął do siebie:

— Zapóźno... zdąży już przejechać.

Wyciągał już rękę po drugi pasek hubki, gdy Raul podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

— Piotrze, jeżeli chcesz, uratuję cię? — zapytał.

Saint-Régent uśmiechnął się gorzko.

— Nie wolno iść przeciwko losowi! — rzekł, wzruszając ramionami.

— Chcesz, to cię uratuję? — powtórzył Raul więcej jeszcze stanowczym tonem.

Po tych słowach, zdawało się, iż jakaś nadzieja wstąpiła w serce nieszczęśliwego, a twarz rozjaśniła mu się trochę.

— Uratować mnie tak, aby nikt nie mógł mnie posądzać o tchórzostwo lub zdradę? — zapytał.

— Można będzie winić tylko okoliczności, które ci przeszkodzą w działaniu — odparł Coignier.

— Tak, tak, tak — powtórzył baron z radością tonącego, który nareszcie mógł uchwycić się jakiejś deski ratunku.

Ale nagle oczy mu zabłysły, a na twarzy ukazał się dawny dziki wyraz.

— A ona!? — rzekł głosem, w którym dźwięczała wściekła namiętność. — Odstąpić teraz, to znaczy wyrzec się nadziei posiadania jej!... A ja tego nie chcę... rozumiesz mnie?... Nie chcę!... Ona powinna mi zapłacić za moją duszę, którą jej zaprzedałem...

Ona będzie moją, choćby mi przyszło iść na szafot po ostatnim jej pocałunku!

I jakby się obawiał, aby nie osłabł znowu, wskazał markizowi drzwi i krzyknął gniewnie:

— Idź precz! Idź precz!

W głosie nieszczęśliwego czuć było taką stanowczość, iż Coignier doszedł do przekonania, że nastawać na niego w takiej chwili, oznacza pozbawienie się wszelkiej nadziei powodzenia.

Trzeba było chorej duszy dać czas do przyswojenia sobie tych kilku słów nadziei, które podobnie, jak rosa, spadła na wyschniętą ziemię, na chwilę odświeżyłyby jego rozgorączkowany mózg.

— Bądź zdrow, Piotrze — rzekł Raul, idąc ku drzwiom.

Postąpił dwa kroki, gdy wtem Saint-Régent z płaczem rzucił mu się na szyję.

— Zostań, zostań, Raulu! — krzyknął, zalewając się łzami. — Czuję, że to mój dobry geniusz posyła ciebie do mnie, abyś mnie uratował... Zostań... Opowiem ci, jak mnie oczarowała ta kobieta z piekła rodem.

Po tem, co Raul widział i czego się domyślał, mógł się już nie wiele więcej dowiedzieć, ale wiedząc z doświadczenia, że choremu zawsze lżej, gdy opowiada o swoich cierpieniach, rzekł szybko:

— Tak, mów Piotrze, mów tak, jak to było za naszych dawnych dobrych czasów, gdy jeden przed drugim nie mieliśmy żadnych tajemnic.

Saint-Régent już chciał rozpocząć opowiadanie, gdy drzwi się otworzyły, a w nich stanęła Leguilioux.

Na widok śniadania, które stało nietknięte na stole, zawołała przyjacielsko ganiącym tonem:

— A ja przyszłam zabrać ze stołu naczynie! Jakże można tak nieprawidłowo się odżywiać, jak pan! I nie mają tu ludzie psuć sobie żołądków.

— Nie jestem głodny — odparł baron, nie spoglądając wcale na Leguilioux, jakby rozgniewany jej niespodzianym powrotem.

— Trzeba się przymusić, trzeba, a może się apetyt zjawi — odparła kobieta, która niemal czekała na to, aby baron podniósł głowę i spojrzał na nią.

Zaczęła przestępować z nogi na nogę i chrząkać.

Pochłonięty myślą, iż miał opowiadać o swoich przejściach markizowi, Saint-Régent nie podnosił głowy i uporczywie patrzył w podłogę.

Leguilioux zaczęła jeszcze chwilę.

— Już pójdę — rzekła. — Może mi pan da jakie polecenie? — zapytała w nadziei, iż to pytanie zniewoli przecież barona do podniesienia głowy.

— Nie — odparł baron, nie podnosząc głowy.

— Niczego panu nie potrzeba? Stanowczo niczego? Może panu potrzeba jeszcze hubki? — zaczęła nastawać Leguilioux z niepojętą uporczywością.

Baron milczał uparcie, sądząc, iż to najlepszy środek pozbycia się dokuczliwej niewiasty.

Poczekala jeszcze chwilę, aż wreszcie wyszła, wzruszając ramionami, jakby powiedzieć chciała.

— Zrobiłam wszystko, co mogłam.

— Co to za jedna? — zapytał Coignier, który się temu nastawianiu przypatrywał z ciekawością.

— Poczciwości kobieta, tylko bardzo gadatliwa — odparł Saint-Régent. — Jej mąż jest kuryerem na poczcie, a ona ma do wynajęcia umeblowane pokoje. I mąż i żona oddani są naszemu stronnictwu, a już nieraz dawali dowody swej gorliwości. Zamieszkałem tutaj z polecenia hrabiego.

— Wydaje mi się, iż ta kobieta chciała ci coś powiedzieć.

— Powiedzieć?... Bądź spokojny, gdyby miała coś powiedzieć, nie ominęłaby sposobności pomienienia językiem.

— Jeżeli nie powiedzieć, to w każdym razie dać ci jakiś znak — mówił Coignier.

— Znak? W jakim celu?

— Alboż ja wiem?... Może chciała cię ostrzedz przedemną... poradzić ci postępowanie ostrożne... Słowem, zdaje mi się, iż szkoda, że nie spojrzaleś na nią.

— Wyprowadziła mnie z cierpliwości... To mój zwykły środek pozbywania się jej... Inaczej nie powstrzymałbym jej gadulstwa.

— A ja, mimo tego, obstaję przytem, że chciała ci dać jakiś znak.

— Dlaczego właśnie znak?

— Pragnęła widocznie dać ci do zrozumienia coś takiego, co nie powinno było być usłyszanem.

— Usłyszane?... Przez ciebie?

— Prawdopodobnie...

W tej chwili w głowie Raula powstało podejrzenie.

— Albo może przez kogoś drugiego — dodał szybko. — Czyż nie mówiłeś przed chwilą, że ona odnajmuje pokoje?... Być może, iż chciała cię uprzedzić, że naszą rozmowę mogą usłyszeć sąsiedzi, a niewiadomo...

Jedna myśl sprowadza drugą, tak też stało się i z Raulem. Urwał nagle i nie dokończył rozpoczętego zdania.

— Co? — zapytał baron.

— Przypuszczam — rzekł Raul,niżając głos — iż jeśli Leguilloux chciała zamiast słów użyć znaku, to właśnie dlatego — że ktoś podsłuchuje pod drzwiami.

— Nie — rzekł Saint-Régent.

— Dlaczego nie?

— Twoje przypuszczenie jest błędem. Gdy Limoilans przyprowadził mnie tutaj, przewidział podobne niebezpieczeństwo. Aby mnie uchronić przed ciekawością innych lokatorów, wynajął obydwie sąsiednie pokoje. Wobec tego nikt nas nie może podsłuchać i możemy rozmawiać spokojnie.

Nie troszcząc się dalej o swoją gospodynię, baron zapytał ciekawie:

— Powiedz mi najpierw, jakim sposobem udało ci się odszukać mnie?

— Pytałem się najpierw hrabiego, ale to nie doprowadziło do niczego, zapewniał mnie uroczyście, iż nie wie, gdzie się ukrywasz. Zwróciłem się następnie do Jouayaux, a ten wzruszony mojem zaniepokojeniem się, podał mi twój adres, mimo surowego zakazu hrabiego, który obawiał się, iż przekonam cię, abyś nie kończył dzieła, rozpoczętego przez niego. Jouayaux, jak i ja, jest zdania, iż dzieło to należy do rzędu tych, które wyciskają piętno hańby na tych, którzy biorą w niem udział.

Saint-Régent ze smutkiem wstrząsnął głową.

— Ah! — rzekł półgłosem. — Limoilans zabrał się sprytnie do rzeczy, aby ze mnie uczynić narzędzie swego piekielnego planu. Gdy mnie posłał po odpowiedź do Turegne do tej kobiety... To była pułapka! Gdy w Paryżu przyprowadził mnie i zostawił w domu, gdzie spotkałem znowu Maud... znowu pułapka!... Gotów byłem poświęcić życie dla powodzenia naszego stronnictwa, Limoilans powiedział do tej kobiety: „Urządź pani tak, aby postradał i honor“. Wtedy, trzymając mnie w swych rękach, tak rozpałała moją fantazyjną namiętność, iż pewnego razu, gdym szalał z powodu tej przeklętej miłości, zgodziłem się na wszystko, czego żądać będzie odemnie... Zabrałem się do wykonania strasznego, krwawego czynu, który niszcząc tyle niewinnych ofiar, okryje nazwisko moje

wieczną hańbą. Biada mi! — zawołał, zakrywając twarz rękami.

— Jakaś piekielna maszyna czekać będzie na przejazd pierwszego konsula? — zapytał Coignier.

— Domyśliłeś się? — rzekł Saint-Régent, podnosząc nareszcie głowę.

Coignier ze smutnym uśmiechem wskazał na leżącą na kominku hubkę.

— Czyż to nie wystarcza? — odparł. — Czyż teraz w moich oczach nie powtarzałeś tego doświadczenia, którego obydwaj byliśmy świadkami u Maud Derbody?... A potem...

Coignier chciał widocznie jeszcze coś przytoczyć na potwierdzenie swego domysłu, ale ostrożność każała mu powstrzymać się na razie od tego.

Po chwili milczenia, podczas którego Raul zastanawiał się nad tem, jakby dokończyć to „potem“, dodał:

— A potem, czyż Leguilioux nie powiedziała przed chwilą, że Carbon nabył wóz? Zgadłem?

Saint-Régent skinął twierdząco głową.

— Gdzie na Bonapartego czekać będzie ta maszyna piekielna? — zapytał markiz.

— Na rogu ulicy Malty i Saint-Nicaise — z trudem odpowiedział baron.

— A ponieważ — mówił wzburzony Raul — nieodzownem było dla was wybrać taką chwilę, gdy Bonaparte będzie musiał tamtędy przejeżdżać, wyznaczycieście w celu dokonania tego strasznego czynu ten wieczór, w którym Bonaparte pojedzie na pierwsze przedstawienie „Saula“, gdyż do teatru innej drogi nie ma.

Saint-Régent spojrział bystro na przyjaciela, ale nim mógł wyrazić swoje zdumienie, ten już mówił dalej:

— Czyż nie mówiłem ci, Piotrze, iż przybyłem, aby cię uratować?... Widocznie więc musiałem wiedzieć o wszystkim.

Usłyszawszy po raz drugi, iż markiz nie traci nadziei uratowania go, baron pokiwał głową z niedowierzaniem.

— Odpowiedz mi otwarcie — nalegał Raul — jakiego rodzaju jest ta piekielna maszyna?

— Beczki z prochem na wozie pośród kamieni i starego żelaza. Wóz będzie stał na rogu ulicy Saint-Nicaise i...

Baron nie mógł dokończyć.

— Ty zabrałeś się do spełnienia tego haniebnego czynu i przy pomocy hubki takiej długości, aby wybuch nastąpił w stosownej chwili.

— Tak.

— Jakże wyliczyłeś długość hubki?

— Trzy razy byłem przy wyjeździe Bonapartego z Tuileryów. W chwili, gdy jego karetka wyjeżdżała z pawilonu Godzin, zaczynałem liczyć moje kroki, idąc po placu za parkanem z desek. Za każdym razem naliczyłem sześćdziesiąt dwa kroków, gdy Bonaparte skręcał w ulicę Saint-Nicaise.

— A potem sprawdziłeś, ile czasu potrzeba, aby przejść tę przestrzeń?

— Tak, sto siedmnaście sekund.

— Pozostało ci więc tylko przekonać się, jakiej długości hubki trzeba użyć, aby się paliła przez ten czas?

— Jeszcze dziś rano przy ośmnastostopniowym mrozie sprawdzałem na placu Karuzeli, ile czasu potrzeba na zrobienie tych sześćdziesięciu dwóch kroków.

Po ukończeniu tych pytań, Coignier przeszedł na inny temat.

— Teraz powiedz mi, co właściwie spowodowało was do wybrania dnia zamachu wieczoru pierwszego przedstawienia „Saula“? — zapytał.

— Przyczyna bardzo prosta. Bonaparte nie opuszcza nigdy pierwszych przedstawień opery, w których

śpiewa Gracini. Wybrać dzień takiego przedstawienia to znaczy określić najdokładniej czas, w którym pierwszy konsul pojedzie przez ulicę Saint-Nicaise... „Saul“ wyznaczony jest na 1. Nivosea, dlatego i zamach musi być wykonany tego dnia.

— Jesteś pewny, że nie będzie żadnych zmian, że nie wybiorą innego dnia?

— Byłoby to bardzo źle. Naturalnie Bonaparte przejeżdża i w innej porze dnia przez ulicę Saint-Nicaise, ale te przejazdy są niespodziewane, tak, iż wcześniej o nich dowiedzieć się nie można. Przecież przez cały dzień nie można stać z wozem na rogu ulicy...

— Naturalnie, wzbudziłoby to podejrzenie policji — wtrącił markiz.

— Oh! Policja pana prefekta Dubois! — odparł baron tonem pogardliwym.

— Zapominasz, iż po za prefektem stoi minister policji, Fouché.

— To prawda, ale ma on przecież związane ręce przez hrabiego, nie ma go się czego obawiać aż do 6. Nivosea, a „Saul“ wyznaczony jest na pierwszego, i my...

Coignier przerwał baronowi ruchem ręki. Nazwisko hrabiego wzbudziło w nim wstręt i odrazę, którym go napawał ten człowiek, pchający jego przyjaciela do hańbiącego czynu.

— Nie — rzekł wielce niezadowolony i gniewny — wola jednego człowieka nie może ściągać pogardy na całe stronnictwo... Limoilans nie posiada prawa ściągnięcia przekleństw narodu na głowy ludzi, którzy dobrowolnie stali się jego pomocnikami. Przyrzekliśmy, iż służyć będziemy sprawie monarchii, ale nie ambicyi przewodnika, łaknącego zaszczytów i tryumfów. Posłuszeństwo, jak wszystko inne, posiada także swoje granice... Plan hrabiego jest jednym z tych po

twornych bezceństw, których wykonania nie może dopuścić żaden człowiek z honorem, a przysięgam, iż plan ten nie dojdzie do skutku!

— Jakże temu zapobiegiesz?

— Pierwszego Nivosea nie będzie przedstawienia „Saula“, które ma spowodować wybuch prochu!

— Będzie to tylko odroczenie. Poczekamy do trzeciego.

— „Saul“ nie pójdzie ani trzeciego, ani piątego, tak samo, jak pierwszego.

— Poczekamy jeszcze parę dni!

— Prawda, ale szóstego kończy się beczynność Fouchého, dzięki której mogliśmy działać bezkarnie.

— Zmuszą go do dalszej beczynności, nie oddając mu papierów, które mu przyrzeczono zwrócić... Limoilans nie dotrzyma słowa.

— Tak sądzisz? — zapytał z uśmiechem Raul. — Hrabia tych papierów już nie posiada. Obawiając się zasadzki ze strony Fouchého, oddał te dokumenty w ręce trzeciej osoby, która, jako człowiek honoru, zwróci je Fouchému w oznaczonym dniu i o oznaczonej godzinie, a tą osobą, Piotrze, jestem ja! W ten sposób nie staniemy się podłymi mordercami! Przeciwno Fouchému będziemy musieli prowadzić rozpaczliwą walkę, pełną niebezpieczeństw, ale w niej nie będzie mowy o tej piekielnej maszynie, o której Fouché już wie, jestem o tem przekonany.

— Dotychczas byliśmy tak ostrożni, że wątpię, aby można było wzbudzić jego podejrzenia.

— Ehe! Jest zanadto rozsądnym, a prócz tego posiada za wielu sprytnych agentów, oddanych mu na śmierć i życie... Jestem przekonany, iż już od pierwszego dnia zaczęli nas śledzić, a było to dla niego tem łatwiejszem, że my, mając nadzieję załatwienia naszych rachunków z Rzeczpospolitą, zapomnieliśmy o wielu środkach ostrożności... Wierzaj mi, iż

Fouché zdolny jest do odgadnięcia tego, czego nie mógł widzieć prefekt Dubois. Do 6. Nivosea pozostawi nas w spokoju, a potem za zamach, jako wykonany w Paryżu, odpowiadać będzie Dubois, jego wróg. Otrzymawszy w tym dniu możność prześladowania nas, weźmie się do roboty z całą energią — i znowu z nienawiści do prefekta Dubois, aby dowieść Bonapartemu, na jakie niebezpieczeństwa naraża go nieudolność prefekta. Rzecz w tem, aby przeciągnąć sprawę po za 6. Nivosea, to znaczy, aby w tym dniu Bonaparte nie przejeżdżał przez ulicę Saint-Nicaise na przedstawienie „Saula“.

— Tak, a wtedy precz z maszyną piekielną! Będziemy mieli dosyć do czynienia z samym Fouchém, który pocznie nas wyłapywać z szlachetnym zamiarem rozstrzeliwania nas, skoro tylko dostaniemy się w jego łapy. No, ba! Ale kto chce grać, ten nie powinien obawiać się przegranej... Rozstrzelanie nie pozbawi honoru, podczas gdy maszyny...

I w zapale, widząc się uratowanym od spełnienia strasznego obowiązku, Saint-Régent rzucił się w objęcia swego przyjaciela.

— Raulu! — zawołał. — Miałeś słuszność, mówiąc, iż przychodzisz uratować mnie.

Był tak wesoły, tak szczęśliwy, moralna jego przemiana wydawała się tak zupełną, że Coignier ośmielił się zadać jedno drażliwe pytanie:

— A... ona?

— Ona?... — powtórzył, stając się znowu ponurym.

Wahał się przez chwilę, ale nareszcie zapanował nad sobą i odpowiedział tonem stanowczym:

— Nie obawiaj się niczego więcej, Raulu. Zniweczyłeś stanowczo zaklęcia tej czarownicy: dla mnie ona już nie istnieje!

— Tak, ale gdy ją znowu zobaczysz, popadniesz w to samo koło zaklęcia.

— Nie, byłem już tak blisko hańby, że teraz, gdy poczuje, iż siły mnie opuszczają, będę umiał wyswobodzić się z więzów Maud. Znalazłem już na to środek.

— Jaki?

— Rozwalę sobie łeb choćby o ścianę!

Po tej odpowiedzi Raul wyciągnął do barona rękę i rzekł:

— W tej chwili chciałem ci dać tę radę.

— Poznaję cię! — zawołał baron, śmiejąc się.

Nagle uderzył się w czoło.

— Zaczekaj! — rzekł. — Zapomniałem ci się zapytać, dlaczego jesteś taki pewny, iż „Saul“ nie pójdzie przed siódmym Nivosea?

— Dlatego, iż Gracini przyrzekła mi, iż śpiewać nie będzie. A wiesz, iż biedna Fanchetta zachorowała z rozpaczy, iż ją porzuciłeś?

— Ah, czyż ta miłość nie była dla mnie zgubną? — zapytał niewdzięczny Pierrot z uśmiechem.

— Zajdę do ciebie dziś wieczorem — rzekł Coignier na pożegnanie. — Jeżeli nadejdzie Carbon, to zatrzymaj go, dopóki ja się nie zjawię.

— Dobrze — odparł Saint-Régent, ściskając mu serdecznie obie ręce.

XI.

Na dole przy schodach Coignier spotkał się z panią Leguilioux, która najwidoczniej czekała na niego.

— A więc wizyta się skończyła? — zapytała. — Musieliście panowie dużo sobie naopowiadać! Idę o zakład, iż mówiliście o najrozmaitszych rzeczach... o rzeczach, o których mogą rozmawiać tylko przyjaciele.

Słowa te były wypowiedziane tak dziwnym tonem, że Coignier natychmiast połapał się, iż kobieta ma coś na języku, jakiś sekret, z którym koniecznie chce się wygadać.

Przystanął ! spojrzął jej prosto w oczy.

Leguilioux wytrzymała ten badawczy wzrok z całym spokojem.

— Powiedz mi pani otwarcie, gdy pani przed chwilą przychodziłaś na górę pod pozorem zabrania naczynia, chciałaś pani albo coś powiedzieć, albo też zawiadomić o czemś mego przyjaciela przy pomocy znaków, prawda?

— Domyśliłeś się pan?... Mój lokator byłby bardzo rozsądnym, gdyby chciał naśladować pana.

— I cóż to takiego było?

— Chciałam mu poradzić, aby był ostrożniejszym w mówieniu.

— Dlaczego?

— Dlatego, iż hrabia Limoilans był w sąsiednim pokoju i podsłuchiwał. Przyszedł tuż za panem. Dowiedziawszy się, iż Saint-Régent ma gościa, kazał otworzyć przyległy pokój... Teraz już do pana należy osądzić, czy nie naopowiadaliście sobie wielu zbytecznych rzeczy... Chciałam panów uprzedzić... ale teraz niema już o czem mówić... żegnaj pana... Umykam!

I Leguilioux pobiegła po schodach na górę z pośpiechem, który dowodził, iż nie na żarty obawiała się hrabiego.

Coignier chciał wrócić do barona, ale się rozmyślił.

— Nie — rzekł do siebie w duchu — Limoilans teraz już nie jest w stanie zgubić Piotra.

I poszedł, najzupełniej przekonany o swem słusznym przypuszczeniu.

Przekonanie byłoby wyglądało inaczej, gdyby był słyszał, jak Limoilans, siedząc jeszcze w pokoju przy-

ległym i podsłuchując rozmowy dwóch przyjaciół, mówił do siebie z złym uśmiechem na ustach:

— Ah, chłopczyku! Ty chcesz w umówiony dzień posłać do Fouchégo papiery, które ci dałem do przechowania... Posyłaj je sobie, jeżeli ci się tak podoba!... A ja ci przysięgam, że do 6-go Nivosea Gracini będzie śpiewała i Saint-Régent dokona swego dzieła.

.

Gdy Coignier, stosownie do swego przyrzeczenia, przybył wieczorem do barona, gdzie spodziewał się zastać Carbona, znalazł drzwi pokoju zamknięte.

Zdziwiony nieobecnością Piotra, który powinien był zaczekać na niego, zeszedł na dół i zapukał do mieszkania małżonków Leguilioux.

— Ah, to pan! — rzekła sucho gospodyni umeblowanych pokojów, ujrawszy przed sobą markiza.

— Saint-Régent wyszedł? — zapytał markiz, udając, iż nie spostrzegł tego dziwnego zachowania się.

— Wyszedł? — powtórzyła Leguilioux tym samym oschłym tonem. — Już się nawet zupełnie ztąd wyniósł!

Boczyła się na Raula, ponieważ była przekonana, iż z jego winy straciła lokatora.

— Wyjechał może?! — zawołał Raul takim bolesnym tonem, że pocziwa kobieta nie wytrzymała i zmiękła.

— Wejdz pan — rzekła, usuwając się, aby Raul mógł wejść — czasami niedobrze jest rozmawiać na schodach.

Markiz wszedł do pokoju, a Leguilioux starannie zamknęła za nim drzwi.

— O czym to pan rozmawiał dziś rano z moim lokatorem? — zaczęła, potrząsając głową — że aż

pan Limoilans zmusił go do tak pospiesznego wyjazdu?... Zresztą mnie to nie obchodzi... każdy może mieć swoje interesy, o których się nie mówi pierwszemu lepszemu... dlatego też ja... Ale na Boga! Jaki pan błąd! Może panu dać kieliszek nałewki?

Raul istotnie pobladł. Widział ze zgrozą, że wszystkie jego wysiłki były daremne, że Saint-Régent zginął, dostawszy się znowu pod wpływ hrabiego.

— Czy wyjechał zaraz po mojem odejściu? — zapytał, starając się ukryć swoje wzruszenie. — Limoilans mu towarzyszył?

— W godzinę po panu wyszli we trójkę razem.

— We trójkę? — powtórzył Raul. — Ach, tak, teraz rozumiem, tym trzecim był Carbon.

— Nie, nie! — zawołała Leguilioux. — To była kobieta, która przysłała w pięć minut po pańskim wyjściu. Udała się prosto na górę, widocznie znała dobrze drogę; pewnie dał jej adres Limoilans, albo może sam baron.

— Kobieta, mówisz pani? — zapytał Raul z niepokojem.

— I nawet bardzo piękna. Trzeba było widzieć, jakimi oczyma patrzył na nią pański przyjaciel! Co ze sobą mówili, tego panu powiedzieć nie umiem, gdyż rozmawiali jakimś obcym językiem, zdaje się po angielsku. Słyszałam, jak mówili, gdy Limoilans przyszedł tu oddać mi klucz... Wtedy przyszło mi do głowy zapytać się barona, czy nie da mi jakiego polecenia, gdyż przypomniałam sobie, że pan miał tu przyjść wieczorem.

— I cóż pani odpowiedział? — zapytał żywo Raul, mając nadzieję, iż odpowiedź barona da mu możliwość odszukania go znowu.

Leguilioux zawahała się na chwilę.

— No i cóż? Nic pani nie odpowiedział? — nalegał Raul.

— Tak, tak, powiedział coś, ale nie sądzę, aby to się mogło odnosić do pana.

— Powtórz mi pani jego słowa, a zobaczę, czy one się odnoszą do mnie, czy nie.

— Skoro już pan koniecznie chce wiedzieć, to powiedział do mnie z całą wściekłością: „Jeżeli przyjdzie, powiedz mu pani, że jest łotrem i że przy pierwszym naszym spotkaniu dam mu w twarz!“ — Widzisz pan więc, że to w żadnym razie nie może się odnosić do pana.

Ostatnie wątpliwości markiza rozwiały się. Maud Derbody i Limoilans znowu pochwycili barona w swą władzę i przyjaźń jego dla markiza zmienili w nienawiść.

Co mu powiedzieli? Najwidoczniej przy pomocy oszczerstwa dopięli swego celu.

Coignier ciągle jeszcze łamał sobie głowę nad tem pytaniem, gdy nagle Leguilliox dodała naiwnie:

— Gdybyś pan był nawet odbił mu tę piękność, mojem zdaniem nie mógłby się więcej wściekać.

Słowa te wzbudziły w duszy markiza widocznie jakieś przykre wspomnienie, gdyż twarz jego zmieniła się nagle do tego stopnia, iż nie uszło to oka poczciwej kobiety.

— O tak! Pan jesteś chory! — zawołała. — Musisz się pan koniecznie napić mojej nalewki. Zaraz naleję panu kieliszek.

Nagle zatrzymała się i zaczęła nadśłuchiwać, dając markizowi znak ręką, aby milczał.

— Pst! Pst! — szepnęła. — Ktoś idzie... Stróż mnie uprzedza.

— Jaki stróż? — zapytał Raul.

— Pst! Pst! — powtórzyła Leguilliox, jeszcze więcej zniżając głos. — Stróż to stopień na pierwszych schodach, który skrzypi pod nogami. Słyszysz pan,

teraz idzie ktoś po ganku pierwszego piętra. Bez stróża przeszedłby niepostrzeżenie, gdyż stąpa bardzo ostrożnie.

Rzeczywiście trzeba się było dobrze wsłuchiwać, aby złowić kroki człowieka, który szedł teraz po schodach.

— Ah! Puka teraz do drzwi pokoju, w którym mieszkał pański przyjaciel.

— Tak, a puka w umówiony sposób trzy razy... Może to Carbon? Miał tu przyjść dziś wieczorem — zauważył markiz.

— Nie, to nie Carbon, ten by się tak nie skradał... Schodzi na dół... Gdy zapuka, otworzyć mu? — zapytała Leguilioux.

— Naturalnie.

— Jeżeli pan nie chce, aby pana widziano, schowaj się pan tam za szafę... Ja stanę na progu i nie dam temu człowiekowi wejść, aby pana nie zauważył.

Markiz na wszelki wypadek schował się zaraz za szafę.

W tej chwili dało się słyszeć pukanie do drzwi.

— Idę! Idę! — zawołała z głębi pokoju, dokąd odeszła, aby nieznajomy nie mógł podejrzewać, że podsłuchiwała pod drzwiami.

Wziąwszy świecę, otworzyła drzwi, i jak to przyrzekła markizowi, stanęła na progu, zagradzając sobą wejście do pokoju.

— Czy Souaillieux wyszedł? — zapytał nieznajomy.

— Oho! — pomyślał Raul — jakiś znajomy głos. Gdzie ja go słyszałem?

— Souaillieux? — powtórzyła Leguilioux. — W całym domu niema nikogo z takim nazwiskiem.

Nieznajomy widocznie spodziewał się takiej odpowiedzi, gdyż dodał natychmiast:

— Widziałem drogę do Nantes.

Przed chwilą pukał na górze w umówiony sposób, nazwał barona jego nowem, fałszywem nazwiskiem, pod którem był zapisany w księdze lokatorów, a teraz powtórzył umówiony frazes.

Widocznie był to ktoś ze swoich.

Leguilioux chciała już odpowiedzieć, gdy nagle spostrzegła, iż Coignier ze swego ukrycia przyłożył palec do ust. Markiz poznał wreszcie właściciela tego znajomego mu głosu.

— Ah! Pan widziałeś drogę do Nantes?! — zawołała Leguilioux. — Winszuję panu! Ale cò mnie to obchodzi? Czyż można niepokoić ludzi tylko dlatego, aby im opowiadać podobne głupstwa?

— Przyszedłem od Carbona — nastawał nieznamy, zdziwiony takim przyjęciem.

— Od Carbona? Nie znam takiego. Prawdopodobnie jakiś hulaka z pańskiego gatunku, który wskazał panu drogę do jakiejś ładnej dziewczyny... Wiesz pan, że pomyliłeś się w adresie. Żegnam! Spokojnej nocy!

I Leguilioux, zatrzasnąwszy drzwi przed nosem nieznanego, podeszła do Raula, krzycząc tak głośno, aby ją było można słyszeć jeszcze na schodach:

— Boże, jacy to bywają niegodziwi ludzie! To wprost niesłychane!

Mówiąc to, dawała znaki Raulowi, aby milczał i nie ruszał się, przekonana, iż nieznamy stoi jeszcze przy drzwiach.

Minęło kilka minut grobowego milczenia. Na schodach nic nie było słyhać.

Nareszcie Leguilioux po ledwie dosłyszalnym szeleście poznała, iż nieznamy odchodzi. Ale i teraz uważała za stosowne mówić jak najciszej.

— Dlaczego kazałeś mi pan milczeć, przecież wymówił dobre hasło? — zapytała szeptem.

— Olbrzym, z wielkim nosem, usta od ucha do ucha? Tak? Prawda? — zapytał Raul, pragnąc się przekonać, czy się nie omylił.

— Najzupełniej tak — odparła Leguilioux — ale to nie wyjaśnia mi, dlaczego...

— Prosiłem panią, abyś się miała na ostrożności, gdyż był to najsprytniejszy agent Fouchégo.

— A gałgan! — szepnęła Leguilioux, drgnąwszy. — No, jeżeli Fouché wsuwa swój wstrętny nos do naszej gry, to nie stracimy nic, gdy lepiej będziemy skrywali nasze karty.

— Muszę śledzić tego człowieka — rzekł Raul, idąc ku drzwiom.

— Cicho! Cicho! — rzekła Leguilioux, zatrzymując go.

— Ależ zniknie mi z oczu, gdy mnie pani będzie zatrzymywała — odparł Raul.

— Bądź pan spokojny, nie zaszedł jeszcze daleko... Stróż jeszcze nie zaskrzypiał. Ten łotr jest dotąd na schodach. Czekaj, czy ktoś nie pójdzie na górę uprzedzić pańskiego przyjaciela. Widocznie sądzi, iż baron jest w domu.

Zamilkli oboje.

— Ale z kąd on się mógł dowiedzieć hasła? — zapytała po chwili ze zdumieniem kobieta. — Skąd się dowiedział prawdziwego nazwiska Carbona, skoro ten nazywa się teraz Petit-François?... A jeszcze zbój zapewniał, iż przychodzi od niego!

Na to wszystko odpowiedział Raul zniecierpliwionym ruchem... Pilno mu było udać się w ślad za królem szpiegów.

— Jestem przekonany, iż zmuszasz mnie pani do tracenia czasu — rzekł.

— Powoli! Powoli! Mówię panu, poczekaj pan, dopóki stróż nie da znać, że policyjant zeszedł ze schodów.

Nareszcie po kwadransie oczekiwania, który wydawał się markizowi wiecznością, z dołu doszedł ich odgłos lekkiego skrzypnięcia.

— Poszedł — rzekła Leguilioux — teraz możesz pan iść za nim.

Coignier popędził na schody.

Zszedłszy na dół i doszedłszy do końca kurytara, wysunął ostrożnie głowę.

Patapon, król szpiegów, szedł w niewielkiej odległości, odchodząc widocznie z niechęcią i żalem.

W odległości dwudziestu kilku kroków od domu odwrócił się, aby zobaczyć, czy kto za nim nie idzie.

Było jednak już zapóźno.

Markiz w trzech susach przebiegł w poprzek ulicy i teraz spokojnie szedł po drugiej stronie z miną człowieka, który nic lepszego nie ma do roboty, jak włóczyć się po nocy.

W owym czasie, gdy miasto było oświetlone rzadko poustawianymi lampami olejnymi, ulica Pruvaire była pogrążona w półmroku.

Markiz nasunął na czoło kapelusz i podniósł do góry kołnierz paltota, to też Patapon nie mógł go poznać w ciemności.

Patapon, przeczekawszy chwilę, ruszył znowu w drogę, skręcił w ulicę św. Honoryusza, a doszedłszy do ulicy Tonelle, wszedł do znajdującego się na rogu szyneczku.

Przez niedomknięte czerwone firanki, któremi handlarze wina przyozdabiali swoje okna, Raul zobaczył w szyneczku człowieka, który, położywszy głowę na stole, spał ciężkim snem pijanego.

— Tak też przypuszczałem! Patapon spoił Carbona, a ten mu się ze wszystkim wygadał — szepnął do siebie Coignier, poznawszy śpiącego.

Markiz poszedł dalej w ulicę i stanął w ciemnym kącie pod wrotami, z kąda mógł się przypatrywać, co się dzieje w szyneczku.

Gospodarz, stojąc za szynkwasem, śmiał się, słuchając Patapona, który mu coś opowiadał, popijając małymi łykami wódkę ze stojącego przed nim kieliszka.

— Jakoś nie budzi Carbona — pomyślał Raul.

Wypiwszy resztę, Patapon postawił kieliszek na szynkwasie i podawszy gospodarzowi swoją wielką łapę, wyszedł ze szynku.

— Ah! Pozostawił tam Carbona! Może sam także jest pijany? — pomyślał Raul.

Patapon nie zrobił i dziesięciu kroków, gdy gospodarz wystąpił na ulicę i zawołał za nim:

— Posłuchaj pan! A jeśli nie będzie chciał wyjść dobrowolnie, można go będzie wyprowadzić, co?

— Każ go wyrzucić na ulicę! — odpowiedział z daleka Patapon.

— To nie będzie takie trudne — odparł szynkarz i wszedł z powrotem do szynku.

Patapon zrobił jeszcze kilka kroków i tak samo, jak markiz, przyczaił się w kącie bramy.

W dwie minuty potem szynkarz i jego dwaj pomocnicy wyrzucili na ulicę Carbona, opierającego się ze wszystkich sił i bełkoczącego:

— Gdzie mój towarzysz?... Co się z nim stało?... Oddajcie mi go!

— Powiadam przecie, że już poszedł... Pijany, coprawda, jak szewc, ale jeszcze na tyle silny w nogach, że mógł się dostać do swego łóżka. Zrób pan to samo, przyjacielu, pora już zamykać szynk. Idźcie spać! Dobranoc! — dokończył szynkarz, darząc pijanego ostatnim kułakiem.

Pozostawiony samemu sobie, Carbon zatoczył się i nim odzyskał równowagę, zrobił, chwiejąc się, długie koło. Zbliżył się w ten sposób do wrót, pod

któremi ukrył się markiz. Zwyczajem pijanego zaczął sam ze sobą głośno rozmawiać.

— Brrrr! A to szczypie! — mruczał, poczuwszy chłód. — Istotnie, dobrzeby było położyć się spać... Ale gdzie?... Do siostry? Nie! Nie można jej kompromitować... Do Angielki?... Tam zabroniono chodzić... Do pokojów umeblowanych na ulicę Aguesseaux? Nie można. Limoilans wyrzucił mnie ztamtąd, bo mu potrzebny był mój pokój, a zresztą nie bardzo ufam temu cyrulikowi... Do Leguilioux? Zapóźno, ona teraz już śpi, jak suseł. Nie otworzy. Gdzież u dyabła się podzieję?

W tej chwili w jego oszołomionym winem mózgu błysnęła widocznie jakaś nowa myśl.

— Naturalnie! — zawołał wesoło. — Tam mi będzie doskonale! Na słomie... i miękko i ciepło... prześpię się do rana, dopóki nie przyjdzie Limoilans oglądać żelaza i reszty amunicji... No, w drogę!

Markiz nie uronił ani słowa z paplaniny Carbona. Dwa szczegóły uderzyły go głównie w tym monologu.

Po pierwsze w ulicy Aguesseaux, w domu, którego parter zajmował cyrulik, znajdowały się pokoje umeblowane; Limoilans umieszczał w nich tych, których chciał mieć pod ręką na każde zawołanie — a po drugie, iż wódz rojalistów ma przyjść rano tam, gdzie idzie teraz ten pijak.

— Pójdziemy za nim — pomyślał markiz.

Na szczęście przypomniał sobie, iż Patapon także śledzi Carbona i bezwarunkowo musiałby go zobaczyć, gdyby wyszedł ze swego ukrycia.

Pozostał więc na miejscu, śledząc wzrokiem pijanego, który zataczając się co krok, posunął się w ulicę Tonelle.

— Hm... hm... Patapon chce się dowiedzieć, gdzie przepędzi noc ten, którego on tak gruntownie spoił —

rzekł markiz do siebie, spostrzegłszy, iż Patapon przepuścił Carbona naprzód i udał się w ślad za nim.

Wtedy i Raul z kolei puścił się w drogę, śledząc króla szpiegów.

Carbon przeszedł przez rynek, na którym już się zaczynało budzić życie targowe, następnie przez plac św. Eustachego i skręcił w ulicę Montorgueille.

Szedł powoli, maleńkimi kroczkami, zatrzymując się od czasu do czasu i rozmawiając głośno ze sobą samym.

— Co on takiego opowiada? — pytał się siebie Raul, któremu odległość nie pozwalała zrozumieć słów pijanego.

Patapon z tego monologu nie opuścił zapewne ani słowa, gdyż zrozumiawszy, iż chłód spotęgował jeszcze opijanie Carbona, następował mu prawie na pięty.

Tymczasem Carbon przeszedł całą ulicę Petit-Carreau i wszedłszy na przedmieście Poissonière, skręcił w ulicę Paradis.

Doszedłszy do rogu, Coignier skręcił także, ale nagle odskoczył, gdyż o mało nie natknął się na Patapona, który, stojąc blisko rogu, patrzył, jak Carbon pukał z całych sił do drzwi jakiegoś maleńkiego domku.

Na ten hałas otworzyło się wreszcie okno, a w niem ukazała się jakaś głowa w szlafmocy.

— Co tam? Co wam potrzeba? — brzmiało zapytanie.

— Ja, Petit-François... Wiecie, ten kupiec, który wynajął u was wozownię na konia i wóz... Przyszedłem nocować, jak to było umówione.

Głowa zniknęła, a w chwilę potem otworzyły się drzwi i Carbon zniknął za niemi.

— Doskonale! Już mi więcej nie potrzeba! — mruknął wesoło Patapon.

Gdyby w tej chwili zamiast iść dalej, nawrócił, spotkałby się oko w oko z markizem, który także słyszał odpowiedź Carbona.

XII.

Rano 2. Nivosea cyrulik Bolleau o zwykłej porze wodził brzytwą po policzkach ministra policyi, nie otwierając ust, aczkolwiek język świerzbiał go okrutnie.

Fouché domyślił się, iż trzeba golibrodę pociągnąć za język, a zacznie zaraz śpiewać.

— No i cóż nowego, Bolleau? — zapytał.

Paryski Figaro zrobił figlarną minę i odparł pogardliwym tonem :

— Wczoraj otrzymałem dwa talary bez wszelkiego trudu, a jutro mam nadzieję otrzymać drugie dwa, które mnie będą kosztowały tyle pracy, co i pierwsze... Słowem wczoraj, pomimo, iż były rozlepione afisze, że „Saul“ pójdzie wieczorem tego dnia, zrobiłem zakład z wdową Jourdan, moją gospodynią, że opery nie będzie. W dwie godziny potem już wygrałem zakład, gdyż zawiadomiono, że wskutek słabości Gracini nowa opera odłożona jest do 3-go Nivosea.

Urwał na chwilę, aby złapać oddech, a potem zaczął mówić jakimś proroczym tonem, trzymając dwoma palcami nos ministra :

— Czy śpiewaczka przynosi nieszczęście „Saulowi“, czy też opera ta przynosi nieszczęście śpiewaczce? Tego nie wiem, ale jestem najmocniej przekonany, że „Saula“ jeszcze długo nie ujrzymy na scenie. Dlatego założyłem się z gospodynią i na 3. Nivosea, i nie wątpię bynajmniej, że te dwa talary wdowy Jourdan znajdą się w mojej kieszeni.

— A użycie ich na ugoszczenie przyjaciela, co? — zauważył Fouché.

Bolleau aż skoczył po tych słowach i o mało nie zajechał brzytwą w nos ministra.

— Ach, prawda! Dobrze, że mi pan o tem przypomniał, obywatelu ministrze! -- zawołał. — Czy pan wie, kogo spotkałem przed chwilą?

— Mówiliście mi następnego dnia po tem śniadaniu, iż spotkaliście tam pewnego człowieka, który był tym samym potworem, a którego widzieliście na rogu ulicy Saint-Nicaise, patrzącego na tego dziwaka, mierzącego kroki z zegarkiem w rękę przy ośmnastostopniowym mrozie.

— Oh, teraz nie o nim mowa.

— A o kimże? — zapytał Fouché, przeczuwając, iż dowie się czegoś zajmującego dla siebie.

— Właśnie o tym drugim, o tym dziwaku, który liczył te sławne kroki.

— Naprawdę?

— Dzisiaj rano spotkałem się z nim nos w nos.

— I znowu na placu Karuzeli?

— Ale gdzie tam!... A to był ciekawy wypadek! Spotkałem go na ulicy Ageussaux w tym domu, w którym mieszkam... Zamieszkał w umeblowanym pokoju, wynajętym od wdowy Jourdan... Od niej też dowiedziałem się, że nazywa się Souaillieux i jest tancmistrzem... Tancmistrz!... dlatego też najwidoczniej liczył kroki... Bardzo przystojny młodzieniec... A jakie damy do niego chodzą, sądząc po tej, którą sam widziałem... Palce lizać!

I jakby na potwierdzenie ostatnich słów, goli broda pocałował końce palców i dmuchnął po nich, jakby chciał zdmuchnąć pocałunek do sufitu.

W tej chwili, gdyby Bolleau nie był śledził za biegiem swego pocałunku ku górze, byłby zobaczył, jak do pokoju wsunął się po cichu urzędnik i szepnął coś na ucho ministrowi.

— Do jutra, Bolleau! — rzekł sucho minister.

Golibroda zrozumiał ton tego głosu i w jednej chwili pobierał swoje narzędzia.

— Wyjdźcie przez te drzwi — rzekł do niego minister, któremu widocznie zapowiedziano jakąś wizytę.

Nie chciał, aby Bolleau spotkał się z zapowiedzianym gościem.

Golibroda zniknął.

I rzeczywiście, jakim byłoby jego zdumienie, gdyby był wiedział, że tuż po nim wszedł do gabinetu Fouchégo ten olbrzym, ten potwór, który tak wiele jadł i milczał na śniadaniu pod „Złotym bąkiem“, ten osioł, który na mrozie przypatrywał się, jak tanecmistrz Souaillieux mierzył kroki na placu.

Był to Patapon, który nareszcie po dwóch miesiącach nieobecności pojawiał się u swego naczelnika.

— Ah, to ty! — rzekł surowo minister. — Cóż mi nareszcie powiesz? Co porabiałeś w tym czasie, gdy cię nigdzie nie można było znaleźć?

Patapon już otworzył usta, aby odpowiedzieć, ale Fouché nie pozwolił mu wymówić ani słowa i mówił dalej bardzo zagniewany:

— Może mi znowu powiesz, że przygotowywałeś odpłatę za Langers? A ta odpłata trochę za długo każe na siebie czekać! Kiedyż nareszcie zgładzisz te klęski, które skompromitowały gruntownie twoją sławę króla szpiegów?!

Tym razem Patapon miał czas na danie odpowiedzi, to też skorzystał z niego i odparł z uśmiechem:

— Wspaniała sprawa!

I obliznął się z miną łakomca, na którego czeka doskonała wyzerka.

— Jest za co odrąbać głowy dwom ludziom — dodał.

— Cóż to takiego?

— Spisek polityczny... Wysłanie pierwszego konsula w powietrze... Maszyna piekielna... Wóz z prochem, kamieniami i żelazem czekać będzie Bonapartego na drodze.

— Które stronnictwo to urządza?

— Rojaliści.

• Po tem słowie przyszedł Fouchému mimowoli na myśl dzień 6. Nivosea, data, kiedy miał otrzymać z powrotem swoje papiery od rojalistów.

— Gdzie i kiedy? — zapytał z tajnym strachem.

— Na rogu ulicy Saint-Nicaise... Jutro... gdy pierwszy konsul pojedzie na pierwsze przedstawienie opery „Saul“.

Fouché drgnął. Przed upływem czterech dni nie mógł odzyskać swobody działania, a pod koniec tej swobody musiał pozwolić na wykonanie piekielnego planu; byłby mógł uratować Bonapartego i okazawszy mu taką ważną usługę, oświadczyć mu wprost, co go zmusiło do takiej zależności od szuanów. Ale papiery, które rozwściekieni niepowodzeniem rojaliści bez wątpienia oddaliby Bonapartemu, skompromitowałyby nietylko samego jego, a prócz tego wiedział, jak mało liczyć można na ludzką wdzięczność. Być może, iż w tej chwili Bonaparte nie byłby go ukarał za zdradę, ale napewno pozbawiłby go jego stanowiska. Dlatego myśl uratowania pierwszego konsula za jakąkolwiek cenę nie długo zajmowała Fouchégo, a na jej miejsce wstąpiła nadzieja.

— Gdyby Gracini mogła zachorować jeszcze na kilka dni? — pomyślał.

Zamyślił się.

— I sądzisz — rzekł do Patapona — iż tę całą sprawę obmyśliło dwóch ludzi?

— Znam tylko dwóch najważniejszych. Przez nich można się dostać i do reszty. Jeden kupił wóz i przyprowadzi go na róg ulicy Saint-Nicaise, drugi spowoduje wybuch.

— Cóż to za jedni?

— Jeden z nich jest drugorzędnym spiskowcem, nazwiskiem Carbon... Był w szajkach szuanów i nazywał się wtedy Petit-François... Energiczny i odważny chłopiec, ale na nieszczęście dla niego, lubi popić, a gdy sobie podpije, zaczyna się wygadywać ze wszystkim, co tylko ma na sercu. Zaprzyjaźniłem się z nim i za każdym razem wypytywałem się go, gdy sobie tylko podpił. Gdy wytrzeźwiał, już nic nie pamiętał, dlatego też nie podejrzewa, iż wygadał mi wszystkie swoje tajemnice. — Schwytać go bardzo łatwo. Nocuje w wozowni, którą sobie wynajął dla konia i wozu.

— A drugi? — zapytał Fouché, napozór spokojny, ale przeklinający w duszy nadmierną gorliwość swego króla szpiegów, przyczem pomyślał: — Żeby ten cymbał był przyszedł do mnie z tą wiadomością o cztery dni później!

— Drugi... tego nie tak łatwo będzie można znaleźć — odparł z pewnem wahaniem Patapon. — Mieszkał dawniej na ulicy Prouvairé i wyprowadził się właśnie ztamtąd w chwili, gdy od Carbona dowiedziałem się jego adresu. To były oficer marynarki królewskiej, baron de Saint-Régent, a teraz ukrywa się pod nazwiskiem Souaillieux.

Nazwisko to przypomniało natychmiast Fouchému gadaninę golibrody o rzekomym tancmistrzu, który zamieszkał w tym samym domu, a to położyło kres strachowi, który go męczył od kilku minut.

Objaśniając szczegółowo swoje odkrycia, Patapon miał najwidoczniej o nich wysokie pojęcie i czekał na gorące pochwały swego sprytu.

Jakiemże było jego zdumienie, gdy Fouché w odpowiedzi na jego opowiadanie, roześmiał się pogardliwie i rzekł do niego szyderczo:

— I to wszystko odkrywałeś przez dwa miesiące, mój biedny Pataponie... Stanowczo się zaniedbujesz, mój kochany... i to nawet bardzo się zaniedbujesz!

— Z czego to obywatel minister wnosi? — zapytał agent z goryczą.

— Z tego, iż opowiadasz mi o rzeczach, o których już oddawna wiem — odpowiedział Fouché bez wyrzutu sumienia.

Po co grał tę komedię?

Oto do jego serca zakradła się obawa w czasie, gdy Patapon opowiadał o swoim odkryciu spisku. Oczywiście szpicel byłby bardzo zdumiony, gdyby był wiedział, że jego naczelnik nie może działać natychmiast po otrzymaniu takich ważnych wiadomości i nie może obsypać go pochwałami i nagrodami.

Dlatego Fouché mógł się obawiać, iż Patapon, pragnąc wyciągnąć jakieś korzyści z swego odkrycia, napełnić sobie kieszeń i utwierdzić swoją sławę, jako króla szpiegów, pójdzie i opowie to wszystkemu prefektowi Dubois, który naturalnie nie omieszkałby skorzystać z takiej sposobności odznaczenia się wobec Bonapartego.

Tak więc dla Fouchého było nieodzownem zbić cokolwiek agenta z pantaląku i przekonać go, że niczego tak ważnego nie odkrył.

Aby dopiąć tego, skorzystał z paplaniny swego golibrody, Bolleau.

— Posłuchaj więc, mój kochany — rzekł tonem łagodnego wyrzutu. — Sądzisz, iż to wszystko jest nowem i możesz przez to złagodzić swą klęskę w Langers? No, nie zazdroścę ci!... Zamiast tego, aby się przyoblekać w jakąś opończę tajemniczości i zniknąć na całe dwa miesiące, wolałbyś być przyjść do mnie

po rozkazy, jak to powinienesz być uczynić. Uchroniłoby cię to od daremnej straty czasu... Doskonałe są te twoje nowiny!... A może w dodatku odkryłeś, iż ziemia kręci się dokoła słońca?

Spodziewać się nagrody i zamiast niej, otrzymać naganę... co za rozzarowanie. Słowa ministra były dla Patapona zimnym tuszem.

— Jakto? Obywatel minister wiedział o wszystkim? — zapytał z wielkiem zakłopotaniem.

— O wszystkim, mój kochany... Ot naprzykład, gdybyś był przyszedł do mnie po radę, uwolniłbym cię od trudu śledzenia barona de Saint-Régent, gdy ten liczył kroki na placu Karuzeli.

Patapon wytrzeszczył oczy.

— Tak, tak — mówił dalej dobrodusznie Fouché. — Gdybyś był przyszedł do mnie po radę i pomoc, byłbym ci wskazał kilka ważnych szczegółów, których widocznie sam nie podejrzewasz... stanowczo nie podejrzewasz. Chcesz dowodów?... Idę o zakład, że nie wiesz, kim jest ta piękna kobieta, która przychodziła w odwiedziny do barona de Saint-Régent na jego nowem mieszkaniu.

— Piękna kobieta? Nowe mieszkanie? — powtórzył Patapon, widząc z wielkiem zdumieniem, iż Fouché więcej od niego wie, tam, gdzie on chciał zaślęsnąć i olśnić swemi wiadomościami.

— Ah, prawda, istotnie — rzekł Fouché — zapomniałem, iż nie wiesz, co się stało z Souaillieux, gdy się wyniósł z ulicy Prouvaire. Przespaceruj się po ulicy Aguessaux i odszukaj tam dom wdowy Jourdan, która utrzymuje pokoje umeblowane. Będę się bardzo dziwił, jeżeli tam nie znajdziesz twego barona.

Wszystko to było powiedziane tak dobrotliwie, bez wszelkiego gniewu, ale zawsze to przemawiał naczelnik, który pragnął dowieść swemu podwładnemu,

iż jest niczem więcej, jak tylko uczniem, a chce uchodzić za mistrza.

Oddanie się Patapona ministrowi polegało głównie na podziwie, a ten teraz znacznie wzrósł, gdy usłyszał od niego nowy adres zaginionego barona.

— On jest stanowczo silniejszym odemnie — przyznał się otwarcie w duchu.

Tymczasem Fouché mówił dalej:

— No, a ta piękna kobieta, która przychodziła do barona de Saint-Régent... Pomówmy o niej trochę.

Z zakłopotanej miny agenta Fouché odgadł, iż Patapon nic więcej od niego nie wie, ale przyszło mu na myśl, iż napierając w tym kierunku, przecież czegoś dowiedzieć się może.

— No, poszukajno dobrze — ciągnął dalej. — Czyż nie mówiłem ci ze dwadzieścia razy, iż w każdej sprawie należy sobie przedewszystkiem zadać pytanie: „Gdzie jest kobieta?“ Poszukaj, mój kochany. Czy widzisz jaką kobietę w tej sprawie?

Patapon zaczął szukać w pamięci.

— Co się tyczy kobiet — zaczął skromnie — widzę tutaj tylko jedną... To Angielka, Maud Derbody. W piwnicy jej domu Carbon chował beczki z prochem.

— Ehe! To jeszcze nic! Dalej! — rzekł Fouché łagodnie, jakby istotnie spodziewał się usłyszeć to nazwisko.

Ta zachęta odświeżyła pamięć króla szpiegów.

— Zaczekaj pan, obywatelu ministrze! — zawołał.

— Mów, mów! — rzekł Fouché, widząc z zadowoleniem, iż Patapon wyciąga dla niego kasztany z pieca.

— Przypomina mi się, iż raz wieczorem pijany Carbon mówił mi, że ta Angielka wodzi za nos ba-

rona, który wskutek tego stracił najzupełniej głowę.

— No, a cóż ja ci mówiłem? „Gdzie jest kobieta?“ Otóż znaleziono ją! — zauważył minister, który dawał lekcję swemu podwładnemu.

Następnie, ponieważ sam pragnął dowiedzieć się czegoś o tej kobiecie, o której słyszał po raz pierwszy w życiu, dodał:

— Zresztą pokażę ci zaraz to, o czem jeszcze nie pomyślałeś.

Po tych słowach Fouché zadzwonił i kazał urzędnikowi, który się zjawił natychmiast, aby z księgi wiadomości o cudzoziemcach przyniósł notatki, odnoszące się do Angielki Maud Derbody.

— Do diabła! — rzekł do siebie w duchu Patapon. — Istotnie nie pomyślałem o zaglądnięciu do ksiąg.

Fouché grał na ryzyko, nie wiedząc sam, czy w notatkach policyjnych znajduje się jaka uwaga o Maud Derbody, ale szczęście mu sprzyjało, gdyż po upływie kilku minut wysłany urzędnik powrócił z pliką aktów pod pachą.

— Posłuchaj — rzekł Fouché do agenta po wyjściu urzędnika.

I zaczął czytać głośno:

„Derbody (Maud). Angielka, zatrzymana w niewoli, jak i wszyscy jej ziomkowie, znajdujący się we Francji w czasie wypowiedzenia wojny Anglii. Określonego miejsca pobytu nie wyznaczono. Mieszka przez zimę w Paryżu, latem w majątku ziemskim w Turegne, który nabyła. Bardzo piękna i bogata. Chodzą wieści, iż była kochanką Williama Pitta, ministra angielskiego“.

— Oho! — rzekł Fouché, przeczytawszy ostatnie zdanie, które mu się wydawało bardzo ważnem, gdyż minister Pitt był najzagorzalszym wrogiem Francuzów.

Patapon nie podzielał tego zdania. Był sprytnym i przebiegłym szpiclem, ale niczem więcej. Czucie, spryt, instynkt, domyślność — wszystko to nie przewyższało nadzwyczajności, to też w tej notatce o Maud Derbody nie dostrzegł tego, co umysł ministra pojał w jednej chwili.

— No, po tej notatce posunąłem się cokolwiek naprzód — rzekł Patapon naiwnie, kiwając głową.

Tym razem łaskawy i przyjazny ton ministra zmienił się w surowy i zagniewany.

— Każdy, prócz takiego durnia, jak ty, zrozumiałby, iż Anglia zapłaciła za proch do maszyny piekielnej! — rzekł sucho.

I rzeczywiście miał słusność.

Pitt, minister angielski, był zapamiętałym wrogiem Francji i od r. 1793 nieustannie walczył z nią i wszędzie starał się pobudzać przeciwko niej wrogów wszelkiego rodzaju. Mimo wszelkich jego wysiłków koalicja państw na stałym lądzie została rozbitą wskutek zwycięstw armii francuskiej.

W owym czasie, prócz wrogów zewnętrznych, miał do walczenia z niebezpieczeństwami wewnątrz kraju. W samej Wielkiej Brytanii były rozruchy, Irlandya podniosła otwarty bunt, marynarze buntowali się, a pożyczki, zaciągnięte w celu podtrzymania wojny, ciężkiem brzemieniem spoczywały na finansach królestwa.

Aby móżdż uporać się z wewnętrznymi zamieszkami, był dla Pitta potrzebny pokój na zewnątrz. Prosić o ten pokój — było upokarzającym dla dumnego ministra. — Czyż nie lepiej było zniszczyć człowieka, którego zwycięstwa obróciły w niwecz jego próby i zamysły wzniesienia nienawiści do Francji?

Pitt najwidoczniej liczył na zamordowanie Bonapartego, gdyż raz do deputacyi, która przysłała prosić o zawarcie pokoju, odpowiedział między innymi:

— Czyż można prowadzić rokowania z rządem, który jeżeli nie dziś, to jutro może wylecieć w powietrze?

Wylecieć w powietrze!!!

A w spisku maszyny piekielnej czyż nie brała udziału kobieta, pracująca z ukrycia i kierująca spiskowcami, kobieta, która była kochanką tego, który jak najgoręcej pragnął pozbycia się Bonapartego?

— Sądząc, iż pracują dla siebie, rojaliści prowadzą grę Pitta, a ta Angielka jest jego agentem — pomyślał Fouché przeczytawszy notatkę o Maud Derby.

Dla biednego Patapona było to wszystko jakimś chińskim językiem. Nagana za jego niedomyślność była ostatnim ciosem, zadany jego przekonaniu, iż urósł przynajmniej o sto stóp, wykrywając spis rojalistów.

— Co za człowiek! — pomyślał. — Wszystko wie, wszystko widzi!

Od tej chwili Fouché stał się dla niego prawie Bogiem.

Wyleczył się z chęci pracowania samoistnie.

— Proszę obywatela ministra o wskazówki — zaczął pokornie. — Odtąd działać będę tylko według polecenia obywatela ministra.

Polecenia! Fouché dałby bardzo wiele za możliwość dawania poleceń, a pierwszą jego czynnością byłoby aresztowanie tej całej szajki rojalistów. Ale te niebezpieczne rękopisy znajdowały się jeszcze w obcych rękach!

— Oh! Gdybym był starszym o cztery dni! — myślał z wściekłością.

Ale czyż nie można było wygrać tych czterech dni? Wystarczyłoby, aby choroba Gracini przeciągnęła się jeszcze i zniewoliła teatr do odłożenia przedstawienia „Saula“.

— Mojego polecenia? — zapytał. — Idź do obywatelki Gracini i w moim imieniu zapytaj się o jej zdrowie.

Spodziewać się energicznych rozkazów w celu zapobieżenia strasznej katastrofie i zamiast tego iść dowiadywać się o zdrowie chorej śpiewaczki — to przechodziło już pojęcie króla szpiegów. Na twarzy jego wymalowało się takie zdumienie, iż Fouché uważał za stosowne dać mu pewnego rodzaju wyjaśnienie:

— Ach, głupcze! Zapominasz, iż od zdrowia Gracini zależy, czy dadzą „Saula“, na którego czekają rojaliści, aby wykonać swój zamach... Być może, iż to będzie jutro, wtedy zaskoczemy ich w stosownej chwili.

— Tak, to prawda — przyznał Patapon i natychmiast udał się do śpiewaczki.

W drodze Patapon, który jeszcze nie mógł się opamiętać z powodu otrzymanej dotkliwej nauczki, zachwycał się rozumem swego zwierzchnika.

— Co za człowiek! — mówił do siebie. — Wszystko wie, wszystkiego się domyśla... Sądziłem, iż go zadziwię, a on więcej wie odemnie. Wskazał mi nowy adres barona, którego straciłem z oczu!... A jak on to słusznie powiedział: „gdzie kobieta?“... I wydobył zaraz Angielkę... Gdzie kobieta? To ona!

W tej chwili Patapon urwał, otworzył usta i stanął. Ostatnia myśl naprowadziła go widocznie na inną.

— Gdzie kobieta? Gdzie kobieta? — powtarzał. — Tak, ale ja widzę dwie kobiety w tej sprawie!...

Przypomniał sobie, że człowiek, którego śledził na placu Karuzeli, człowiek, którego pijany Carbon nazwał baronem de Saint-Régent, był tym samym, który tego samego dnia, gdy śledził swego rzekomego głuchego z Langers, naprowadził go na fałszywy ślad.

Gdy wyszedł wtedy z budy człowieka-fenomena, prowadził pod rękę kobietę, a tą kobietą była Fanchetta.

W uszach Patapona jeszcze dźwięczał pocałunek, którym żegnała się czuła para przed domem śpiewaczki.

Król szpiegów dostał napadu wściekłości, przypomniawszy sobie to ściganie, które dla niego tak fatalnie się skończyło.

Fanchetta знаła więc barona, a Patapon, zadając sobie pytanie: „gdzie kobieta ta?“, miał pełne prawo powiedzenia sobie, iż w tej sprawie widzi dwie kobiety.

W głowie policyanta kołem utkwiała myśl, że Fanchetta musi być zamieszana w spisku, w którym jej kochanek nakładał głowę.

— Trzeba się zabrać do tej dziewczyny — postanowił sobie, zbliżając się do domu Gracini.

Przyjęła go tam Fanchetta, a on w najwyszukiwanych wyrażeniach zawiadomił ją, iż obywatel minister policyi jest w rozpaczce z powodu choroby znakomitej śpiewaczki; choroba ta pozbawiła ministra przyjemności słuchania śpiewu tej niezrównanej artystki i teraz posyła z zapytaniem o stan jej zdrowia.

— Pani ciągle jeszcze słaba — odparła Fanchetta, robiąc bardzo kwaśną minę na widok Patapona.

— Oh, słaba, słaba... ale nie na tyle, aby nie była w stanie śpiewać — zauważył agent.

— Pani nie będzie mogła śpiewać przed upływem tygodnia.

Skończywszy w ten sposób z danem mu poleceniem, Patapon przeszedł do swojej sprawy.

— Ty także, piękna Fanchetto, byłaś zapewne chora? — zapytał. — Taka jesteś blada i taka miżerna. Co się z tobą stało?

— Jeżeli ktoś się pana o to pytać będzie, to odpowiedz mu pan, iż o niczem nie wiesz — odparła służąca, pragnąca jak najprędzej pozbyć się tego długiego potwora, którego widok był dla niej nieznośnym.

Patapon nie ustępował jednak.

— Albo może obywatel Pierrot zrobił ci jaką nieprzyjemną scenę? — badał dalej.

Służąca zatrzęsła się z gniewu wobec takiego niedyskretnego pytania.

— Słuchajcieno, wy stare próchno! — zawołała. — A wam co do moich spraw?!

Ale w oczach Fanchetty zabłyśły łzy i to nie uszło wzrokowi Patapona.

— Zerwana znajomość — pomyślał. — Czyż zapomniałaś — dodał głośno na chybił trafił — że gdy spotkaliśmy się na ulicy, prosiłaś mnie, abym odszukał twego ukochanego, który zginął gdzieś bez wieści?

Fanchetta drgnęła i chciała coś odpowiedzieć, ale agent nie pozwolił jej dojść do słowa.

— Wtedy — mówił — ciesząc się z przypadku, iż mogę ci okazać przysługę, zabrałem się do poszukiwań i miałem powodzenie.

— Co?! — zawołała Fanchetta, rumieniąc się.

Wzruszenie służącej oczarowało agenta.

— Doskonale — pomyślał — ona go jeszcze kocha! Gdy tylko rozpalę jej zazdrość, może mi się stać pomocną.

— Pan wiesz gdzie jest Pierrot? — zawołała z radością Fanchetta, zarumieniwszy się jak kwiecie maku.

Nie przyszło jej nawet na myśl, zapytać się samej siebie, jak mógł ten Patapon znaleźć Pierrota, którego nie znał i ani razu nie widział na oczy.

— Tak, odszukałem terazniejsze jego pomieszkowanie, a nie wiem tylko, dlaczego mieszka tam pod nazwiskiem Souaillieux — odparł Patapon.

— Pierrot czy Souaillieux, co to znaczy? Mów pan, mów prędzej! — prosiła z niecierpliwością Fanchetta.

Agent zrobił jakąś niezdecydowaną minę.

— Ehe! — rzekł, kiwając głową. — Co to znaczy? To ważniejsze, niż sądzisz. Prawdopodobnie twój ukochany zmienił nazwisko nie bez powodu, a zacnie

się niepokoić, gdy się dowie, że o jego mieszkaniu zawiadomił cię agent policyjny.

— Nie powiem mu o panu ani słowa!

— Przyniesiesz mi to?

— Przysięgam!

Było to powiedziane takim tonem, iż o szczerości jego nie było można ani na chwilę wątpić.

— No, mogę być spokojnym — pomyślał Patapon. — Saint-Régent nie dowie się, z kąd mu cegła na łeb spadnie... Teraz trzeba tę małą trochę podjudzić.

— Gdzie mieszka? — nagliła Fanchetta.

— Pierrot mieszka... — zaczął głośno Patapon, ale nagle urwał, wstrząsając ze smutkiem głową.

— Mów pan! Mów pan! — błagała Fanchetta.

— Nie, lepiej będzie, gdy ci nic nie powiem — rzekł. — Teraz rozumiem, dlaczego zmienił nazwisko... Dlatego, abyś nie wpadła na jego ślad...

— Zaklinam pana, mów pan!

— Nie... po co ci mam sprawiać przykrość... Należysz przecie do tych kobiet, które zazdrość zabija...

Przy słowie „zazdrość“, Fanchetta nagle podniosła głowę. Oczy jej, przed chwilą jeszcze błagalne i pełne łez, były teraz suche, a palił się w nich gniew.

— Ah! Więc mam rywalkę! — rzekła przytłumionym głosem.

Widząc taki wynik, Patapon w myśli przyklaskiwał swemu sprytowi.

— Zmienia się w tygrysicę — pomyślał.

— Mam rywalkę, prawda? — powtórzyła Fanchetta, blednąc i zaciskając zęby.

— Bóg mi świadkiem, że nie chciałem ci nic powiedzieć... Ale skoro się już domyśliłaś, to ci odpowiem otwarcie: tak!

— Młoda?

— Lat dwadzieścia pięć do trzydziestu.

— Ładna?

Król szpiegów uważał za wskazane obrócić nóż w ranie, którą zadał w sercu biednej dziewczyny.

— O, tak — odparł z zachwytem. — Prawdziwa piękność.

— Jeszcze raz przysięgam panu, Patapon, że nie powiem nikomu, iż od pana dowiedziałam się adresu Pierrota. Teraz mów pan...

Fanchetta starała się nadać swemu głosowi spokojne brzmienie, ale agent widział, jaka szalona i wściekła zazdrość ukrywała się pod tym spokojem.

— Teraz jest już gotowa — pomyślał.

Bez dalszego wahania się, korzystając z wiadomości, udzielonej mu przez Fouchégo, odparł:

— Szukaj w ulicy Aguesseaux pokoje umeblowane, utrzymywane przez wdowę Jourdan... Tam znajdziesz Pierrota pod nazwiskiem Souailliaux.

Rzekłszy to, odwrócił się i poszedł, spiesząc do ministra, aby mu opowiedzieć o wyniku swych odwiedzin w domu Gracini.

Nieobecność jego nie trwała może godziny, ale czas ten wydawał się Fouchému wiecznością, połączoną z niepokojem.

— Nie widziałem Gracini, leży w łóżku — raportował Patapon — ale rozmawiałem z jej służącą i ona powiedziała mi, że pani jej nie może prędeż śpiewać, jak za tydzień.

— Uff! — westchnął z uczuciem ulgi minister, przypuszczając, iż będzie wolny do tego czasu.

— Idź teraz — rzekł do Patapona — piñuj tego Carbona, razem z jego wozem. Ale nie pokazuj mu się na oczy, gdyż może to być dla ciebie niebezpiecznym.

Chętność Patapona zniewoliła go do pochwalenia się przed ministrem.

— Oh! — rzekł pogardliwym tonem — Carbon jest zanadto głupi! Po co zrywać przyjaźń z nim, skoro mi oddać może wielką przysługę?

— Ależ, uważaj, durniu, że w miarę zbliżania się terminu, spiskowcy zaczną się gromadzić, aby działać wspólnie, a bardzo łatwo znaleźć się mogą między nimi ludzie, którzy ciebie znają... Wtedy może być z tobą źle... Strzeż się!

— Ba! Widywaliśmy już nie takich! — odparł ze śmiechem Patapon.

Wyszedł, a Fouché pozostał sam.

— Uff! Uff! — powtórzył minister. — Mam przed sobą cały tydzień czasu, mogę się jeszcze wywinąć!

Wyszedłszy od ministra, który mu kazał być ostrożnym w śledzeniu Carbona, Patapon skierował się na ulicę Paradis-Poissonière, gdzie Carbon wynajął wozownię.

— Co pocznie Fanchetta, która, sama o tem nie wiedząc, stanie się moim szpiegiem? — mówił do siebie. — Pójdę się o tem dowiedzieć jutro... albo pojutrze... Mam dość czasu przed sobą. Choroba Gracini zmusi dyrekcję do odłożenia przedstawienia „Saula“ przynajmniej na tydzień.

XIII.

Była już noc, gdy Patapon wszedł do wozowni, wynajętej przez Carbona.

Przy skąpym świetle latarki szuan dłubał coś koło wozu, starając się naciągnąć na wierzch pokrycie z płótna.

W kącie na słomie leżała licha siwa szkapa, wychekująca zdaje się tylko tego, aby ją czempredzej odprowadzono do oprawcy.

Carbon był starym majtkiem, który pod dowództwem barona de Saint-Régent służył w marynarce

królewskiej. Gdy nie był pijany, był zimnym i zamkniętym w sobie człowiekiem.

— Ah, to wy! — zawołał krótko, widząc wchodzącego z wesołym uśmiechem Patapona.

Za pierwszym razem, gdy się spotkali w szynku, agent podał, iż jest robotnikiem bez zajęcia, który przejadał, a raczej przepijał kilkaset franków, otrzymanych w spadku. Powiedział, że zabierze się do roboty, skoro tylko przepije wszystko do ostatniego grosza.

Wszedłszy do wozowni, Patapon dostrzegł butelkę z winem i kieliszek, postawione na beczce, stojącej dnem do góry.

Widocznem było, iż Carbon, majstrując koło wozu, nie zapominał o odwilżaniu sobie gardła, gdyż butelka była do trzech czwartych pusta.

Wierny swej roli pijaka, agent natychmiast udał się do butelki i trzymając ją pod światło, zaczął się przypatrywać jej zawartości.

— Do dyabła! — zauważył. — Przyszedłem w sam czas. Wypijemy sobie sami... To ostatki, ożenię się w tym roku... Za wasze zdrowie Petit-François!

I Patapon wychylił kieliszek, do którego wlał resztki z butelki.

Carbon śledził wzrokiem jego ostatni łyk, znikający w gardzieli kumpana.

— Na zdrowie! — rzekł swym głuchym i powolnym głosem, zabierając się znowu do roboty.

— Coś mi się wydaje, Petit-François, iż przygotowujecie się do podróży — rzekł Patapon, podchodząc do wozu, aby zajrzeć w jego głąb, prawie już pokryty płótnem żaglowem.

— Jutro jadę do Lavallo — odparł Carbon.

— Z pustymi rękami? — zapytał agent, przekonawszy się, iż w wozie niema nic.

— Nie, powiozę beczki z patoką... To tam dobrze popłaca.

Patapon rozejrzał się po wozowni, szukając tego towaru.

Carbon spostrzegł to.

— Eh, zabiorę sobie po drodze — rzekł. — Będę przejeżdżał obok kupca.

Patapon westchnął głucho.

— Nie uważacie, że tu strasznie duszno w tej wozowni? — zapytał.

— No to sobie idźcie odetchnąć świeżem powietrzem na mrozie, jeżeli wam się nie podoba... ja tam wolę zawsze siedzieć w ciepłe... O mało nie zamarłem tej nocy, gdyście mnie zostawili w szyneczku.

— Zostawiłem? Ja? Wcale nie! Starłem się was rozbudzić na wszelki możliwy sposób, ale nie chcieliście się ruszyć za żadną cenę... Zdawało wam się, iż śpicie na waszej furze, jadąc do Lavallo... Przekonałem się, iż niema co z wami gadać i poszedłem do domu spać, zapłaciwszy za wino, uważacie?

— Tak, to prawda. Innemi słowy na mnie dzisiaj kolej ugoszczenia was. Niechaj tylko przygotuję uprząż, a zaprowadzę was do sąsiedniego szynku, w którym dziś rano spróbowałem takiego wina, że aż ślina lezie do gęby na samo wspomnienie.

— Doskonale — pomyślał Patapon. — Za godzinę będziesz pijany, jak ostatni z szewców, i będziesz paplał, jak wrzaskliwa sroka.

— Więc wy tego wieczora poszliście wprost do domu? — zapytał Carbon, oglądając starannie lejce, chomonto i sprzączki.

— Prosto do domu — odparł Patapon, uważając za zbyteczne dodawać, iż chodził do Leguilioux w poszukiwaniu za baronem, o którego adresie dowiedział się od swego pijanego towarzysza.

I Patapon znowu ciężko westchnął.

— Stanowczo ciężko tutaj oddychać — rzekł, o-cierając swą szeroką łapą czoło, rzekomo pokryte kroplami potu.

— Jeszcze z pięć minut, a pójdziemy pociągnąć wina — oświadczył Carbon, prowadząc dalej bez pośpiechu swoje oględziny. — Posłuchajcie-no, przyjacielu! — dodał.

— Co? — zapytał Patapon, siadając na próżnej beczce, gdyż poczuł się nagle zmęczonym.

— Jakim sposobem znaleźliście mnie? Nie przypominam sobie, abym wam kiedy mówił o tej wozowni.

— Mylicie się, Petit-François. Powiedzieliście mi to między dwiema szklankami wina. Prawda, że wtedy mieliście już porządnie w czubie.

— Do licha! Jak to wino rozwiązuje język! Ani się opatrzysz, a wygadasz się z takimi rzeczami, o których nie chciałbyś powiedzieć nikomu — zauważył, spokojnie jak poprzednio szuan.

— A ty bratku zaraz zaczniesz śpiewać, skoro zaczniesz ciągnąć wino — pomyślał agent.

Westchnął jeszcze silniej, niż poprzednio i przetarł ręką czoło.

— Dostanę tu jeszcze bólu głowy — rzekł. — Zdaje mi się, iż mam ołów we łbie.

— No, skończyłem — odezwał się Carbon. — Teraz możemy iść.

Złożył uprząż, zdjął ze ściany latarkę, otworzył ją i przygotowując się do gaszenia światła, rzekł:

— No, przyjacielu, wychodźcie.

Patapon chciał powstać, ale w głowie mu się zakręciło i nogi odmówiły posłuszeństwa.

— O, oooo! A ze mną co się dzieje!? — zawołał, padając z powrotem na beczkę.

Owładnęło nim jakieś dziwne oszołomienie, niepokonaną senność wbrew jego woli przymykała mu oczy.

Carbon, trzymając w rękach latarkę, podszedł do agenta i spokojnie, nie dziwiąc się niczemu, patrzył,

jak ten nadludzkim niemal wysiłkiem starał się zapamiętać nad sobą.

Spokój szuana był dla Patapona pewnego rodzaju promykiem światła w ciemnościach!!

Przypomniał sobie wino, które przed chwilą wypił, i nabrał przekonania, że wpadł w pułapkę.

— Jakże głupio wpadłem! — szepnął, mogąc za ledwie poruszać językiem. — Do wina najwidoczniej dolano czegoś... A przecież Fouché mi mówił, abym się strzegł!

— Trzeba być sprawiedliwym — odparł na to Carbon z niewzruszonym spokojem. — Przecież zawsze jeden i ten sam nie może pozostawać durniem! Tak, tak, mistrzu Pataponie!

— Zginąłem! — pomyślał król szpiegów, usłyszawszy swoje nazwisko.

Nim stracił zupełnie przytomność, Patapon usłyszał, jak sąsiedni zegar wieżowy wybił godzinę siódmą.

.

Gdy się ocknął, świeca paliła się jeszcze w latarni, powieszony na ścianie wozowni. Leżał na wozie, na co nie miał prawa skarżyć się, gdyż dla snu poziome położenie jest zawsze korzystnym, ale okolicznością mniej przyjemną było, iż był jak najstaranniej związany, a w ustach miał zwiniętą chustkę, która przeszkadzała mu wołać o pomoc.

— Do stu tysięcy dyabłów! — pomyślał — a to mnie urządził!... Wiele godzin też mogłem przespać?...

Jakby w odpowiedzi na to pytanie zegar na wieży wybił sześć.

— Przespałem jedenaście godzin! — wyobrażał sobie. — Zaraz będzie dzień.

Aczkolwiek położenie jego było prawie bez wyjścia, to przecież pocieszał się nadzieją, iż będzie lepiej.

Powiedział sobie, że gdyby ci, w których ręce się dostał, chcieli ostatecznie go się pozbyć, daliby mu trucizny, ale nie środek usypiający.

— Przecież się jeszcze wykręcę! — pomyślał.

I zaczął nadśłuchiwać.

Dwóch ludzi rozmawiało w wozowni, nie starając się nawet zniżyć głosu. Widocznem było, że sądzili, iż Patapon śpi, albo też przypuszczali, iż im szkodzić nie będzie mógł.

— Włóż na wóz beczki! — mówił ktoś rozkazującym tonem.

— Po co? Przecież one są puste! — odpowiedział drugi głos, po którym agent poznał Carbona. — To są te, które pan uznał za złe i nie szczerne.

— Nie można pozostawiać tutaj żadnych śladów. W drodze zmienimy te beczki na inne... No, dalej, prędzej!

Carbon usłuchał i zaczął układać beczki dokoła jeńca, który się poruszył, dając tem samem znać, iż się obudził.

— Ah! Zbudziliśmy się! — rzekł urągliwie Carbon. — Jakże się tam macie?... Odpoczęliście sobie, co się zowie!... Dwadzieścia trzy godzin!... Taki sen może każdemu wyjść na zdrowie.

— Dwadzieścia trzy godzin! — pomyślał Patapon zdumiony. — Więc dziś mamy 3. Nivosea, nierano, ale wieczór... Spałem dwadzieścia trzy godzin!...

W tej chwili z po za ramion Carbona ukazała się twarz hrabiego de Limoilans.

— No, mój kochany — rzekł do agenta suchym i zjadliwym tonem — oszczędzaliśmy ciebie dwa razy, a ty nie poprzestałeś na tem... Teraz gra skończona... trzeba zapłacić.

Odszedł od wozu, a Patapon usłyszał, jak rzekł do Carbona:

— Zaprzęgaj prędzej!... Czas w drogę, gdyż inaczej się spóźnimy.

— Spóźnimy się? — pomyślał Patapon. — Może jadą na ulicę Saint - Nicaise, „Saul“ wyznaczony jest na 3-go Nivosea . . . Zresztą nie, to nie może być... Gracini przed upływem tygodnia nie będzie śpiewała.

— Nie zapomnij naładować także tego — dodał Limoilans.

Przy tych słowach wskazał na jakiś przedmiot, który Patapon chciał koniecznie zobaczyć, ale wskutek swego położenia na dnie wozu nie mógł w żaden sposób zaspokoić swojej ciekawości.

— Niech pan będzie spokojny, panie hrabio — odpowiedział Carbon. — Naładuję nietylko to, ale wszystkie, które tylko znajdę na drodze.

— Pójdę teraz po barona. Będziemy czekali na ciebie na rogu ulicy Saint-Dénis... Uważaj, spiesz się.

— Za dziesięć minut będę gotów — odpowiedział szuan.

Limoilans wyszedł z wozowni.

Carbon podszedł znowu do wozu i wsunąwszy głowę pod nakrycie, postawił latarkę w nogach agenta.

— Widzicie, jaki jestem uprzejmy? — zapytał. — Mógłbym je rzucać wprost do wozu, a ja przecież noszę je w rękach.

Biedny król szpiegów gryzł z wściekłością chustkę, wtłoczoną mu w usta, która nie pozwoliła odezwać mu się ani słowem.

Wyjaśniło się przecież, o czym właściwie mówił Carbon: kilka kamieni z łoskotem uderzyło o dno wozu, a jeden z nich podtoczył się aż pod twarz agenta.

— Cierpliwości! Cierpliwości! — rzekł Carbon. —
Ułożę je lepiej, niech tylko zniosę wszystkie!

Kilkanaście razy powracał z ciężkimi kamieniami
i rzucał je do wozu.

— No, teraz już wszystko w porządku — rzekł.
— Wygodnie wam? Nie wpadł tam pod was jaki ka-
mień?... Ach, gdybyście widzieli, jak wy ślicznie wy-
glądacie wśród tych kamieni! Jak kiełbaska parowa, ob-
łożona kapustą! Zaczekajcie, zaprzęgnę tylko konia i
zaraz pojedziemy.

Szuan posiadał ten dobry rys charakteru, iż nie
gniewał się, gdy mu nie odpowiadano.

Podprowadził konia w dyszle i, narzucając uprząż
na niego, zaczął mówić:

— Chciałem wam dać na pocieszenie kieliszeczek,
ale cóż... Jak wam z gęby wyjmę tę zatyczkę, to za-
czniecie wrzeszczeć gorzej, niż lada osioł dardanelski!
Ehe! gołąbku!... A przecie objechaliście mnie... Nawet
nie podejrzewałem, co z was za ptaszek. Co was zgubi-
ło, to ta myśl łożenia do Leguilioux. Ona powie-
działa o was hrabiemu... a to sprytny człowiek!... On
to przecie wymyślił tę sztuczkę z butelką. Złapaliście
się odrazu... Dalibóg, aż śmiech porywa, jak piliście
to ziele, sądząc, iż wypijacie mój ostatni łyk!

I Carbon istotnie zakończył swoje słowa śmie-
chem, który jakoś złowrogo brzmiał w uszach Pata-
pona.

Położenie agenta stawało się coraz gorszem, mimo
to jednak miał powody sądzić, iż jeszcze nie zginął.

Po pierwsze sądził, iż choroba obywatelki Gracini
nie pozwoli jej śpiewać tego wieczora, a po drugie,
iż gdyby go chciano wyprawić na drugi świat, to dano
by mu trucizny.

— Chcą mnie tylko nastraszyć — pomyślał Pa-
tapon.

— Tak, tak, sprytny człowiek z tego hrabiego —

mówił dalej Carbon, zaprzęgając konia. — To jego pomysł, aby was wsadzić do woza... A ja cobym zrobił?... Byłbym wam dał porządnie po łbie, abyście się już nie obudzili więcej, albo też byłbym wam dał trucizny, co miałyby ten sam skutek... Ale to mało jeszcze zabić człowieka, trzeba się przecież także pozbyć trupa. Powiecie może, iż można go zakopać?... Tak, tak, ale po tym, który zakopuje, może się zjawić ten, który odkopuje... a ten może naprawdę narobić nieprzyjemności... Limoilans myślał i wymyślił rzecz naprawdę oryginalną... Zawieziemy was na wozie, gdy nadejdzie czas. Paff! i spadniecie na ziemię, jak deszcz lub rosa lub proszek do tępienia takich szcurów, jak wy.

Patapon zadrżał ze zgrozy.

— Ba! — pomyślał po chwili. — Gracini nie będzie śpiewała dzisiejszego wieczoru, to moja ostatnia nadzieja.

Tymczasem Carbon otworzył wrota wozowni i trzasnął biczem.

— No! Bibi! Jazda! — zawołał.

— Szczęśliwej drogi, Petit-François! — rzekł odzwierny.

— Szczęśliwej drogi! — wrzasnęło kilka kumoszek, które w tej chwili wchodziły na podwórze.

Patapon, usłyszawszy ludzkie głosy, chciał krzyknąć, ale udało mu się tylko wydać z siebie głuchy jęk który jednak zaginął w ogłuszającym turkocie kół po bruku.

Po kilku minutach jazdy wóz zatrzymał się, a Patapon usłyszał, jak ktoś mówił:

— Podnieś z tyłu płótno i zabieraj beczki.

Podniesiono w tej chwili płótno z tyłu wozu, a w utworzony w ten sposób otwór wślizgnął się jakiś człowiek.

— Jak się pan miewa, panie Patapon? — zapytał z urągowiskiem, zoczywszy leżącego na spodzie

wozu agenta, na którego o mały włos nie nadepnął w ciemności.

— Chciałeś pan koniecznie zaszczycić nas swoją obecnością?

Głosu tego Patapon nie znał wcale.

Tymczasem puste beczki wyjmowano, a na ich miejsce wstawiono nowe.

Patapon po wstrząśnieniu wozu domyślił się, iż musiały być nie puste i dosyć ciężkie.

— Ależ ważą — zauważył ktoś stojący na wozie, a układający pierwszą beczkę.

— Proch i stare żelaziwo — odezwał się głos hrabiego.

Człowiek w wozie ustawiał beczki dokoła króla szpiegów, przywiązanego do wozu, jak cielę do koryta, aby się jeść nauczyło.

— Skończone nareszcie! — zawołał.

— Jakoś nam się wiedzie! — dodał Carbon. — Ot znaleźliśmy po drodze!

I Patapon usłyszał, jak dokoła niego sypano kamienie, dodając je do pierwszej już rzuconych.

Widocznie kamienie nie padły tam, gdzie były powinny, gdyż układający rzekł:

— Zostawcież miejsce dla przewodu!

Po chwili ten sam głos odezwał się.

— Hej, Polignac, dajno mi świder!

Patapon nie mógł się ruszyć i myślał:

— Polignac, Jouayaux... trzeba sobie zapamiętać te nazwiska; gdy się wywinę, może się na coś przydadzą.

— Spiesz się pan, Saint-Régent, spiesz się — dał się słyszeć głos hrabiego.

— To Pierrot Fanchetty! — pomyślał Patapon.

— Ot i wszystko gotowe! — rzekł po chwili Saint-Régent, wychodząc z wozu.

— Szczęśliwej drogi, Patapon! — rzekł, kopnąwszy nogą agenta na pożegnanie.

I w tej chwili dokoła wozu dało się słyszeć sześć do siedm głosów:

— Szczęśliwej drogi, Patapon!

W niektórych wypadkach śmiałość jest lepszą od rozumu. Ładowano wóz na ludnej ulicy Saint-Denis, a nikomu nie przyszło na myśl zobaczyć, co porabia ta grupa ludzi.

— Rozejdźcie się panowie — rzekł Limoilans.

Wóz ruszył.

— Pataponie, źle z tobą, do dyabła! — powtarzał sobie w duchu agent, leżący między dwiema beczkami z prochem.

Pewność siebie i wiara w swą szczęśliwą gwiazdę zaczęły w nim słabnąć.

Carbon szedł koło wozu i ironicznie pomrukiwał od czasu do czasu:

— Schowaj nos!

I kamienie leciały do wozu w miarę tego, jak je szuan zbierał po drodze. Nareszcie wóz zatrzymał się.

XIV.

Gdy Leguilioux zawiadomiła markiza de Coignier, iż hrabia słyszał całą jego rozmowę z baronem, młody człowiek popełnił ten wielki błąd, że nie wrócił zaraz do swego przyjaciela.

Natychmiast po odejściu Raula hrabia wszedł do barona. Wyczytał w jego oczach radość niewolnika, któremu za chwilę miano wrócić wolność.

— Tu ktoś był u pana przed chwilą? — zapytał. — Powiedziała mi o tem Leguilioux.

— Był markiz de Coignier.

Limoilans lubił wykonywać szybkie i brutalne napady, gdyż jego zdaniem silny i niespodziany cios był najpewniejszym. I teraz zaczął rąbać prosto z mostu.

— Coignier jest wesołym, dobrym chłopcem, ale trzpiot z niego wielki... Lubi się chwalić swemi zwy-

ciężtwa. Czy powiedział panu, że stał się kochankiem Maud Derbody?

Baron drgnął i zbladł jak ściana. Limoilans udał, iż nie widzi jego wzruszenia i mówił dalej niedbale:

— Już teraz nie pamiętam dobrze szczegółów... To było w zamku w Turegne. Następowali mu na pięty, a ona dała mu u siebie schronienie w sypialni. Zapomniałem już, jak to było... Jak się pan z nim zobaczy, to go się pan zapytaj.

Baron poczuł w sercu straszny ból zazdrości, ale przyjaźń dla Raula wzbudziła w nim pewne wątpliwości.

— Ale przecież był wtedy zakochany w Gracini.

— Doskonała przyczyna! — rzekł ze śmiechem hrabia. — A czyż nie jest on zdolny do prowadzenia jednocześnie dwóch miłostek, a co najzabawniejsze być podwójnie zazdrosnym?

— Zazdrosnym? — powtórzył Saint-Régent.

— Tak, zazdrosnym, arcy-zazdrosnym. Spróbuj pan przyczepić się do której z jego kochanek, a zobaczysz pan, iż na wszelkie sposoby będzie się starał przeszkadzać panu, naturalnie niepostrzeżenie, gdyż jest bardzo sprytny.

W duszy barona powstało niezadowolenie na wspomnienie sceny, którą pod pozorem przyjaźni odegrał przed nim Raul, aby go odwieść od przedsięwzięcia, którego nagrodą mogła być miłość Maud.

Po nieuczciwym przyjacielu pomyślał o wiarołomnej kobiecie, która w tej chwili może śmieje się z niego wraz ze swoim kochankiem.

— I jesteś pan tego pewny, że Maud go kocha? — zapytał, drżąc z gniewu.

Limoilans poczuł, że struna już jest zbyt mocno napięta i dodał szybko:

— Kocha? O nie! Zdaje się, iż markiz w tym wypadku dopuścił się gwałtu. Przynajmniej Maud, przyznając mi się do tego na poły, mówiła mi o tem jako o wielkiem nieszczęściu, jakie ją spotkało.

Po tych słowach gniew barona przeciwko Angielce natychmiast się uśmierzył, ale tem silniej wzburzyła się jego nienawiść przeciwko Raulowi.

Czyż nie należało mu pomścić się jednocześnie za obrazę, uczynioną Maud, i ukarać oszustwo fałszywego przyjaciela?

Postanowienie powziął w jednej chwili.

— Dokąd pan idzie? — zapytał Limoilans, widząc, że baron idzie ku drzwiom.

— Idę do Gracini dać w jej obecności policzek markizowi de Coignier — odparł baron drżącym z wściekłości głosem.

Wszystkie plany hrabiego rozwiałyby się przecież w puch, gdyby się udało zejść przyjacielom ponownie. Po przekonaniu się o łgarstwie hrabiego Saint-Régent wysunąłby się raz na zawsze z pod jego wpływu. O powstrzymaniu barona w tej chwili nawet mowy być nie mogło, w tym wypadku władza naczelnika była bezsilną. — Sam los przyszedł hrabiemu z pomocą.

Saint-Régent już chwycił za klamkę, gdy nagle drzwi się otworzyły, a na progu stała Maud Derbody.

— Sam dyabeł chyba przysłał ją tutaj! — pomyślał Limoilans.

Na widok tej kobiety, która ośwładnęła jego sercem i rozumem, Saint-Régent odstąpił na dwa kroki, jakby dobry jego geniusz chciał go wyrwać jeszcze z nad brzegu przepaści, w którą się staczał.

W tej chwili jednak gniew, namiętność i zazdrość ośwładnęły nieszczęśliwym na nowo. Rzucił się ku Angielce i chwyciwszy ją za rękę, zawołał brutalnie:

— Czy to prawda... że byłaś kochanką markiza de Coignier?

Maud Derbody przeczytała odpowiedź w oczach hrabiego.

— Tak — odparła — jeżeli znaczy być kochanką wtedy, gdy człowiek nadużywa zaufania tej, która powierzyła się jego honorowi.

— Brawo! — pomyślał Limoilans. — Posiada doskonałą pamięć i nie zapomina lekcyj!

Między nim a Angielką wszystko już było umówione naprzód, gdy przygotowywali oboje pułapkę na barona. Wszystko było przewidziane, nawet następstwa gadatliwości Raula. — Ale markiz nie powiedział nic i tajemnica, którą ukrywał, została wykorzystana przez hrabiego dla jego własnej korzyści.

Sądząc, iż baron dowiedział się o tem od Raula, Angielka opowiedziała przygotowaną już na ten wypadek bajkę. — Kobieta ta była doskonałą aktorką.

Zwiesiła głowę, zakryła twarz rękami i zaczęła mówić jakimś zdławionym głosem:

— Jeszcze nie nauczyłam się kochać pana, Piotrze, a potem, gdy przyszła miłość, nie śmiałam przyznać się panu do tego, o czem się pan teraz pragnie dowiedzieć. Ten człowiek, którego, jak panu wiadomo, ukryłam przed prześladowaniem jego wrogów, skorzystał ze sposobności, która mnie oddała w jego moc...

I Maud zaczęła płakać rzewnymi łzami, a płacz nie pozwolił jej mówić dalej.

— Łotr! — ryknął baron z wściekłością.

Jakżeby osłabł był gniew barona, gdyby był wiedział, co się właściwie stało w zamku po wyjściu Baludarea i Jorryego, którzy przyszli zawiadomić Angielkę o śmierci Chevaliera.

Markizem owładnęło jakieś oszołomienie, które pokonałoby nawet świętego, gdyby się był znalazł w podobnem położeniu.

Potem wśród upojenia Maud zaproponowała Raulowi, aby zastąpił Chevaliera w strasznym czynie, który zamyślała wykonać. Rozsądek już powrócił markizowi, to też nie chciał przyjąć roli Chevaliera, której potem podjął się baron.

Z tego niepowodzenia syrena wyniosła tę naukę, że nie należy miłości stawiać między oszołomieniem uczuć, a propozycją popełnienia zbrodni.

Dlatego też, zawładnąwszy baronem, ustanowiła swoją miłość jako nagrodę, płatną nazajutrz po dokonaniu czynu.

Dlaczego Coignier zamilczał przed swoim przyjacielem o tej nocnej przygodzie?

Było to przecież jego obowiązkiem wobec kobiety. Musiał także ratować swego przyjaciela od poniżenia, któreby go spotkało, gdyby się był dowiedział, iż płaci za grzechy swego poprzednika.

Oto taką była przeszłość, którą Maud w swem opowiadaniu zmieniła w scenę gwałtu, gdzie Raul odgrywał rolę Tarkwiniusza.

— O łotr! — powtórzył Saint-Régent. — I wy mnie zabraniać pomścić się na nim?

Z kolei Maud wezwała wzrokiem na pomoc hrabiego.

— Nie, nie! My nie zabramy — rzekł pospiesznie. — Ale nie chcemy, aby ten oszust wyprowadził pana znowu w pole. Gdy się znajdzie z panem sam na sam, może pana przekonać, abyś się wyrzekł Maud.

— Zdrajca już tego dokonał! — pomyślał Saint-Régent, który znowu się znalazł w mocy Angielki.

— Tak, pomścisz się na nim, baronie — mówił dalej Limoilans, — ale dopiero wtedy, gdy nadejdzie do tego czas.

— I kiedyż to będzie?

— Gdy stawiony przed panem i Maud będzie zmuszony przyznać, iż popełnił wiarołomstwo.

Hrabia pozostawił baronowi chwilę czasu do namysłu, a potem zapytał:

— Czy pozwolisz mi pan wybrać czas, w którym go oddam pańskiej zemście?

— Rób pan, co chcesz! — odrzekł baron, pobudzony czułym wzrokiem Maud, która zdawała się błagać go, aby się poddał.

— Pisz pan więc — rzekł Limoilans, wskazując na stół.

Baron siadł i wziął pióro do ręki.

Limoilans zaczął dyktować:

„Kochany Raulu! Jestem ciągle jeszcze w mocy hrabiego i Maud. Uwolnij mnie od tych dwóch złych duchów i daj mi sposobność pozbycia się ich...”

Baron zatrzymał się.

— Czyż mogę tak pisać do człowieka, którego nęce ukarać? — zapytał.

— A czyż ma on podejrzewać, że pan wie o wszystkim? — odparł hrabia.

Baron zawahał się jeszcze, ale podniósłszy głowę, ujrzał Maud, która ze smutkiem spuściła głowę; widocznie cierpiała wskutek tego, iż tak wobec niej rozmawiają o człowieku, który ją obraził. Nienawiść barona do Raula wybuchnęła z nową siłą.

— Pisz pan dalej — rzekł hrabia.

Podyktował jeszcze kilka wierszy, a gdy list był gotów, wziął go do siebie, mówiąc:

— Nie zapomnij pan, iż pozwoliłeś mi wybrać czas, w którym ten list stawi zdrajcę przed oblicze pańskie.

W dwadzieścia minut potem baron opuszczał dom pani Leguilioux, aby się ukryć we wskazanem mu mieszkaniu przy ulicy Aguessaux.

Raul, dotrzymując przyrzeczenia, przyszedł wieczorem i swego przyjaciela już nie zastał.

Wkrótce po jego odejściu zjawił się i Limoilans.

— Co powiedział markiz de Coignier, gdy się dowiedział o wyprowadzeniu się barona? — zapytał.

— Nie miał wiele czasu na rozmowę — odparła Leguilioux, — mieliśmy tu bardzo ciekawy wypadek.

Opowiedziała mu o pojawieniu się Patapona i o tem, że dowiedział się hasła.

— Oho! Trzeba będzie powściągnąć ciekawość tego pana! — pomyślał hrabia.

Umówiwszy się z Carbonem, który był niemało zdziwiony tem, iż jego nowy przyjaciel jest słynnym

szpiegiem, hrabia zastawił wiadomą pułapkę z butelką, a Patapon dał się złapać.

XV.

Rano 3-go Nivosea, to jest w cztery dni po zniknięciu barona z ulicy Proudavaire, w budoarze Gracini toczyła się następująca rozmowa:

— A więc stanowczo nie chcesz mi powiedzieć, dlaczego jesteś taki smutny?

— Nie jestem wcale smutny, moja droga.

— Nie, nie, Raulu, coś przedemną ukrywasz. Być może, iż mój tyran żałuje, że zabronił mi śpiewać do 7-go Nivosea i teraz chciałby posłuchać „Saula“?

— Nie, Nino, nie! Pozostawaj dalej chorą, błagam cię. Dziś znowu widziałem na afiszu twoje nazwisko.

— Jak to? Czyż w teatrze nie otrzymali świadectwa, które mi wystawił dr. Collain, za co mu musiałam zaśpiewać aż trzy arye?

— Tak, ale administracya najwidoczniej liczy na ciebie. To też zamiast tego, aby ci dać wprost tydzień czasu na wypoczynek, nie daje więcej, niż dwa dni, mając nadzieję, iż przyjdiesz do siebie.

— Biedny „Saul“! — zawołała wesoło Gracini.

Kochankowie jeszcze się śmiali, gdy u bramy domu dał się słyszeć stuk młotka.

— Pewnie dr. Collain przyszedł dać mi dalszych dwa dni urlopu.

Doszedł ich głuchy stuk zamykanej bramy, ale doktora nie było widać.

— Aha! Wiesz co mi zrobiła Fanchetta? — zawołała żywo śpiewaczka.

— Cóż takiego?

— Wyszła wczoraj wieczorem z domu, nie powiedziawszy ani słowa, i do tej pory jeszcze jej niema.

— Od wczoraj?

— Tak. Mówiłam ci, iż Fouché przysyłał dowiadywać się o moje zdrowie. Zdziwiło mnie to bardzo,

— Tak, moja najdroższa, przysięgam! — zawołał markiz, podnosząc prawą rękę do góry.

— Dlaczego się śmiejesz? — zapytała go po chwili Gracini.

— Bo mi się wydaje śmiesznem, iż scena ta właśnie wywołaną została przez jakieś psie figle Fanchetty, a raczej przez ten stuk w bramie, który nibyto miał być zapowiedzią wizyty doktora, a przyprowadził ci na pamięć Fanchettę.

— A jednak nie wiemy, co to było? — zauważyła Gracini.

Jakby w odpowiedzi na jej słowa weszła do buduaru kucharka, przyjęta niedawno do pomocy Fanchecie.

— Jakiś chłop przyniósł list — rzekła — a powiedział, iż przychodzi z daleka.

— Czeka?

— Nie, prosił, aby pani była łaskawa wręczyć ten list temu, do kogo jest adresowany.

— Dobrze, możesz odejść.

Po wyjściu kucharki Gracini zerwała pieczętkę i otworzyła list.

— To do ciebie, Raulu. Napisano tutaj: „Wręczyć markizowi de Coignier“.

Coignier na pierwszy rzut oka poznał męski charakter pisma.

— Nino, — rzekł — przeczytaj mi ten list.

Jeszcze żywo stała mu w pamięci scena zazdrości, którą mu przed chwilą wyprawiała Gracini.

Artystka otworzyła list i przedewszystkiem spojrzała na podpis.

— Podpisane Pierrot — rzekła.

— Oh! — zawołał Raul z radością. — To od tego przyjaciela, o którym ci mówiłem, Nino... Od tego, o którym ci mówiłem, iż chcę go wyratować z wielkiego niebezpieczeństwa... Straciłem jego ślad, a to było przyczyną smutku, który ciebie tak zaniepokoił... Czytaj, czytaj prędeży, moja droga!

Nina zaczęła czytać :

„Kochany Raulu! Jestem jeszcze ciągle w mocy hrabiego i Maud. Uwolnij mnie od tych dwóch złych duchów i daj mi sposobność pozbycia się ich... Dziś wieczorem wyrwę się od nich i pojedę do Melun, gdzie będę czekał na ciebie w hotelu pod „wielkim jeleniem“... Nie wystarczy mi pieniędzy, abym się mógł udać do Anglii, gdyż wiadomo ci przecież, że bardzo biednym jest twój przyjaciel

Pierrot.“

W miarę odczytywania tego listu markiz stawał się coraz niespokojniejszym. Czy Gracini pozwoli mu pojechać tylko na podstawie tego listu, nie żądając wyjaśnień, których on dać nie mógł? Czy to nie wzbudzi na nowo jej zazdrości, która na razie drzemie tylko w jej sercu?

Artystka, wierząc święcie w honor markiza, wierzyła też z całym przekonaniem w jego przysięgę.

Nie dopytując się o nic i nie wahając się ani chwili, zapytała :

— Raulu, może w tej chwili nie masz przy sobie pieniędzy, chcesz, to ci dam.

— Nie, dziękuję ci, Nino.

— Jedźże więc zaraz.

— Jesteś prawdziwym aniołem, moja najdroższa Nino! — zawołał z zachwytem markiz, całując ją z całą serdecznością.

W dziesięć minut potem markiz znajdował się już w siodle, a w trzy godziny przepędził dziesięć mil do Melun.

Była już prawie godzina 4 popołudniu, gdy zeskoczył z konia przed hotelem pod „wielkim jeleniem“.

— Niema tu kogo, ktoby oczekiwał na jakiegoś gościa z Paryża? — zapytał gospodarza.

— Czy pan jesteś markizem de Coignier? — zapytał szynkarz, obrzucając przybyłego jakimś badawczym wzrokiem.

— Tak.

— Mam dla pana list jeszcze od wczoraj wieczorem. Oto on.

— To z pewnością Saint-Régent pisze do mnie, może mu coś przeszkodziło w drodze — pomyślał Raul, otwierając list.

Przeczytał i zachnął się.

List zawierał tylko następujące słowa:

„Gracini będzie śpiewała dzisiaj wieczorem...

Limoilans“.

— Wpadłem w pułapkę! — pomyślał Raul. — Ale może jeszcze zdążę z powrotem do Niny.

Wysypał gospodarzowi złoto, przygotowane dla barona i rzekł:

— Wszystko należeć będzie do ciebie, jeżeli mi się postarasz o świeżego konia!

— Jest tu koń tego pana, który przywiózł ten list — odparł szynkarz, chowając pieniądze. — Miałem dziś tego konia wyprawić do Paryża. Doskonały koń, a zresztą wypoczywał przez całą dobę.

Markiz pomknął z powrotem do Paryża, kłując ostrogami konia do krwi, a o godzinie wpół do 7-mej znajdował się już przed domem artystki.

— Czyżby już pojechała? — zapytał się sam siebie z drzeniem, spostrzegłszy, iż wszystkie okna pograżone są w ciemnościach.

W tej chwili na nieboskłonie zabłysło jakieś jaskrawe światło, przyczem dał się słyszeć straszny huk.

XVI.

Podstępność hrabiego zniweczyła wszystkie dobre zamiary markiza. Usunąwszy go z Paryża, hrabia skorzystał z czaśu, aby zastawić pułapkę na artystkę.

Nie minęły jeszcze dwie godziny od wyjazdu Raula, gdy jego nieobecność zaczęła się śpiewaczce wydawać trochę za długą. Muzyka, śpiew, czytanie, haftowanie — oto sposoby, do których się uciekała, aby zabić

czas, aż nareszcie podniosła firanki u okna i stanęła w niem. Zaczęła się przyglądać szaremu niebu.

— Ach, Cochois idzie zapytać się, czy trzeba odwołać operę! — zawołała, ujrzawszy podchodzącego do bramy służącego teatralnego.

Istotnie Cochois zastukał młotkiem do bramy i już mu otwierano, gdy przed domem stanęła karetka. Wysunęła z niej głowę jakaś kobieta i zamieniwszy kilka słów z kucharką, przypatrywała się, jak woźny teatralny wchodzi do bramy.

Gracini, wiedzona jakimś instynktem, opuściła firanki, ale przez wąską szczelinę śledziła przebieg sceny, rozgrywającej się przed domem.

Z początku przypuszczała, iż ta kobieta omyliła się w adresie, lub też wypytywała się o kogoś z sąsiedztwa, gdy nagle spostrzegła, iż do rąk kucharki dostał się list wraz z lujdorem.

Gracini zaniepokojona odeszła od okna i wyszła naprzeciwko kucharki.

Spotkała się z nią w przedpokoju.

— Cochois przyszedł — rzekła kucharka. — Dyrektor teatru się pyta, czy pani może dzisiaj śpiewać, czy nie.

Gracini czekała, co powie dalej.

— A co więcej? — zapytała Gracini, widząc, iż kucharka milczy.

— Co więcej? — zapytała kucharka, udając, iż nie wie, o co chodzi.

— Zdaje mi się, iż to nie Cochois dał ci lujdora, którego w tej chwili trzymasz w ręku?

Kucharka spostrzegła, iż dalsze udawanie na nic się nie przyda.

— Ach, byłabym zapomniała! — rzekła.

— Bardzo krótka u ciebie pamięć, moja droga — zauważyła artystka. — Chodź ze mną.

Weszła do sypialni, a wydobywszy 10 lujdorów z szufladki, położyła je na stole.

— Jeżeli jeden lujdor pozbawił cię pamięci — rzekła, wskazując na złoto — to dziesięć z pewnością ci ją przywróci... Teraz mów.

Dlaczego Gracini tak gwałtownie chciała się dowiedzieć prawdy?

Do jej serca zakradło się podejrzenie. Nie rozumując dlaczego, ale instynktownie przeczuła, że kobieta była jej wrogiem.

— No, mówże! — nalegała. — Co ci powiedziała ta pani?

— Et, plotła głupstwa, z których nic nie rozumiałam — odparła kucharka, nie spuszczać oczu z lujdorów. — Po pierwsze powiedziała, iż chce się rozmówić z markizem de Coignier. Powiedziałam jej naturalnie, iż pomyliła się w adresie, że u nas w domu żaden markiz nie mieszka.

Kucharka mówiła prawdę, gdyż w stosunku do niej zachowywano wszelką ostrożność, a Raul mógł jako włoski artysta przychodzić do śpiewaczki w charakterze ziomka.

— Mów dalej — rzekła Gracini.

— Wtedy dodała: „Ależ tutaj mieszka Gracini?“ i dała mi lujdora.

— I list?

— List — przyznała się nareszcie kucharka, wyjmując go z kieszeni fartuszka.

Podczas gdy zasmoloną ręką zgarniała złoto, Gracini rozpieczętowała list, który zawierał tylko następujące słowa:

„Wyjdź rozmówić się ze mną, gdyż inaczej odszukam cię u twej złodziejki kochanków.“

— Poproś tę panią, aby tutaj przyszła! — rzekła Gracini, blada, z zaiskrzonymi oczyma.

W chwilę potem Maud Derbody weszła do mieszkania, wprowadzona przez służącą.

— Co odpowiedzieć woźnemu? — zapytała Gracinię służąca.

Śpiewaczka wskazała jej w milczeniu drzwi, a wzrokiem pożerała swoją rywalkę.

— Chciałaś się pani rozmówić z markizem de Coignier? — zapytała powoli Włoszka.

— Tak — odparła Maud, wysoko podnosząc głowę z wielką pewnością siebie.

— Z markizem de Coignier... pani kochankiem? — zapytała Gracini, wskazując na otwarty list.

— Tak — powtórzyła Maud z całym spokojem.

Biedna Gracini cierpiała niewypowiedzianie, stając się zachować zimną krew wobec Angielki. Męka zazdrości szarpała jej sercem.

— Pani dawnym kochankiem? — rzekła, czepiając się tej ostatniej nadziei.

— Moim kochankiem od września, gdy pan de Coignier spędził u mnie kilka dni w Turegne — oświadczyła Derby.

Gracini przypomniała sobie, iż Raul wyjeżdżał i o tej podróży zachował dotychczas głębokie milczenie.

— Z Turegne przyjechałam z nim razem do Paryża — mówiła dalej Maud. — Jeżeli de Coignier słucha tu gdzie za drzwiami, to proszę, niech zaprzeczy moim słowom.

— Markiza de Coignier tutaj niema... W tej chwili znajduje się zdała od Paryża — rzekła śpiewaczka, która mimowoli czuła się obrażoną przypuszczeniem rywalki, iż Raul był zdolnym do ukrywania się.

Maud była doskonałą aktorką. Dowiedziawszy się, iż Raula niema w Paryżu, uradowała się niezmiernie i, jakby zapominając o wszystkim, zawołała:

— Wyjechał!... Aby czekać na mnie w Melun!... A więc kocha mnie jeszcze!

Gracini mówiła prawdę, iż jest Włoszką ze wszystkimi jej namiętnościami, które rozpała we krwi gorące słońce południa. Po ostatnich słowach rywalki wybuchnęła nagle długo tłumionym gniewem, szalonym, brutalnym, okrutnym gniewem.

Rzuciła się do Maud i pochwycawszy ją za rękę, krzyknęła urywanym z wściekłości głosem:

— Powtórz, powtórz mi to jeszcze raz w oczy, że Raul pojechał, aby się z tobą spotkać w Melun!

Po stronie Angielki była przewaga: umiała panować nad sobą i zachowywać zimną krew. Przygotowawszy się zawczasu na taką scenę, mogła pewnie i spokojnie dręczyć nieszczęśliwe stworzenie, któremu zaślepienie w zazdrości przeszkadzało myśleć spokojnie.

— Daj pani pokój tym wybuchom, godnym przekupki na targu — rzekła pogardliwie. — Uchyl pani czoła przed wyborem Raula... Jego wyjazd do Melun dowodzi, że usłuchał ostatniego wezwania, które wysłałam do niego dziś rano, gdyż już mi się sprzykrzyło czekać na ten dzień, w którym on, nasyciwszy się panią, dałby mi znać, iż umyka!

Gniew Gracini ustał w jednej chwili, a nastąpiło uczucie głębokiego wstępu do wiarołomnego kochanka, który jeszcze przed dwiema godzinami składał jej takie fałszywe przysięgi.

— W jaki sposób miał panią zawiadomić, iż mnie porzuca? — zapytała, zalewając się łzami.

— W dniu, w którym miał panią porzucić, miał udać się do swego przyjaciela do Melun, rzekomo na jego wezwanie.

Po wyrzeczeniu tego ohydneho kłamstwa, współniczka hrabiego wyszła, a Włoszka padła na krzesło rozgoryczona z strasznym bólem w sercu i w duszy. Płakała nieszczęśliwa, płakała nad grobem swych nadziei, tak okrutnie zniszczonych, gdy drzwi znowu się otworzyły, a w nich stanął Cochois.

Stracił wreszcie cierpliwość i sądząc, że kucharka mylnie powtórzyła jego słowa, przyszedł sam po odpowiedź.

— Zdjąć afisz? — zapytał bez wstępu.

Gracini skoczyła.

Już nie płakała. Gorączka, która nią owładnęła, osuszyła jej łzy.

— Nie potrzeba — rzekła. — Dziś będę śpiewała.

XVII.

Co się stało z Fanchettą?

Aczkolwiek Patapon wskazał jej schronisko barona w ulicy Aguesseaux, ale zapomniał powiedzieć jej hasła, bez czego nie mogła dostać się do tego, którego szukała.

Gdy przyszła biedaczka do domu wdowy Jourdan, tak samo jak Leguilioux oddanej sprawie rojalistów, powiedziano jej, że tu nie mieszka żaden Souayeux.

Fanchetta nie straciła jednak odwagi i zaczęła odbywać wartę dokoła domu. Weszła do niepozornej kawiarni, znajdującej się o kilka kroków od domu. Nie czekała długo. Nie minęło i 10 minut, gdy przed domem wdowy Jourdan zatrzymała się karetą, a z niej wyszli Maud Derbody i baron de Saint-Régent.

W miarę tego, jak zbliżała się chwila czynu, Angielka coraz rzadziej pozostawiała nieszczęśliwego samym. Teraz przyjechał z ulicy Saint-Nicaise, gdzie raz jeszcze zbadał miejscowość, aby nie pozostawiać nic na los szczęścia.

Na widok Angielki Fanchetta zrozumiała, że z jej strony byłoby szaleństwem współzawodniczyć z taką pięknoscią.

— Pierrot jest dla mnie stracony — przyznała się przed sobą otwarcie.

Ale w tej chwili ogarnęła ją wściekłość nie przeciwko niewiernemu kochankowi, ale przeciwko tej, która go jej zabrała.

Wyszła z kawiarni i poczęła szukać sklepu nożowniczego w pobliżu.

Kupiła długi nóż i wróciła przed dom wdowy Jourdan, ale karety Angielki już przed nim nie było.

— Ona powróci! — pomyślała Fanchetta, pieszcząc się nożem, który schowała do kieszeni sukni.

Do północy Fanchetta kręciła się dokoła domu, czekając na powrót Maud.

Nareszcie postanowiła przenocować w najbliższym hoteliku. O świcie była już znowu na swoim stanowisku przed domem wdowy Jourdan, nie odczuwając ani zimna, ani zmęczenia.

Prawdopodobnie między współnikami było już wszystko dokładnie omówione, gdyż Angielka nie pokazywała się wcale.

Nareszcie około czwartej, już o zmroku, z domu wyszedł człowiek w niebieskiej bluzie robotnika. Pomimo tego przebrania się, Fanchetta poznała natychmiast swego niewiernego kochanka i zaczęła go śledzić.

Mogła była podejść do niego. Ale po co? Była aż nadto przekonana, że o niej zupełnie zapomniał.

Ale na widok ukochanego człowieka nienawiść do rywalki wybuchnęła z tem większą siłą, tem więcej nieubłagana.

— Z pewnością idzie do niej! — pomyślała, nie zastanawiając się nad tem, iż niebieska bluza nie jest wcale odpowiednią na schadzke miłosną.

Na rogu ulicy Saint-Denis baron przyłączył się do grupy ludzi, stojących przed jakimś domem, do którego też wszyscy weszli.

Trochę zdziwiona takim obrotem rzeczy, Fanchetta stanęła w oddaleniu stu kroków i zaczęła czekać.

W pięć minut potem zajechał przed dom wóz z płóciennym daszkiem, zaprzężony w małego siwego konika. Nastąpiła wymiana beczek, wóz pojechał dalej, a otaczający go ludzie rozeszli się.

Fanchetta puściła się znowu w ślad za baronem. Teraz już nie szedł sam, a gdyby Fanchetta mogła była zobaczyć twarz jego towarzysza, mimo swej rozpaczki, byłaby bardzo zdziwiona, gdyż poznałaby w nim staro odźwiernego, Topinarda.

Przyszedłszy na plac Karuzeli, Limoilans i Saint-Régent skęcili na lewo, kierując się ku ciemnemu i pustemu zaułkowi. Tutaj w miejscu, nieoświetlonem ani jedną latarnią, zobaczyła Fanchetta karetę pocztową, stojącą z pogaszonymi latarniami.

Po zjawieniu się hrabiego z baronem drzwiczki karety otworzyły się, a z karety wysiadła kobieta.

— To ona! — rzekła do siebie Fanchetta i, ukrywszy się za kareta, zaczęła podsłuchiwać.

— Obawiałam się, iż się pan spóźni — rzekła kobieta.

— Nie, Maud, mamy jeszcze pół godziny czasu — odparł Saint-Régent.

— A więc wszystko już umówione — odezwał się Limoilans. — Stanę pod latarnią przy hotelu Longueville, gdzie pan będziesz mógł mnie widzieć, a ja zdejmę kapelusz, skoro tylko pierwszy konsul wyruszy z Tuileryj. Będzie to dla pana sygnałem zapalenia hubki. Jeżeli obliczyłeś pan wszystko dokładnie, wybuch nastąpi podczas przejazdu karety.

Fanchetta o mało nie krzyknęła ze zgrozy, widząc, w jakim piekielnem dziele bierze udział jej ukochany.

— Ta dyablica go zgubiła! — pomyślała, drżąc cała z gniewu.

Tymczasem młody człowiek odparł pewnym głosem:

— Możesz pan liczyć na mnie, hrabio, a ja ze swej strony liczę na panią, Maud.

— Skoro tylko zapalisz pan hubkę, przychodź pan tu do mnie — odparła Maud, wskazując na kareta. — Uciekniemy razem. Jutro, Piotrze, będę twoją niewolnicą — szepnęła namiętnie, ściskając barona za rękę.

W tej chwili Fanchetta jak żmija wślizgnęła się do karety, której drzwiczki były otwarte. Przyczała się tam w kącie, a wyjąwszy nóż z kieszeni, szepnęła do siebie:

— Przyjdź-no tutaj, ty dyablico przeklęta!

— Chodźmy, chodźmy! Już czas! — rzekł Limoilans.

Gdy baron i hrabia udali się na miejsce swego strasznego czynu, Maud powróciła do karety i zanim wsiadła, rzekła po angielsku do swego stangreta:

— Skoro tylko usłyszysz huk, pędź co koń wyskoczy.

Po wydaniu tego rozkazu, który nie licował wcale z przyrzeczeniem, danem baronowi, Maud wskoczyła do karety.

Dramat, który się rozegrał w tej chwili, nie trwał ani ćwierć minuty, gdyż Fanchetta wyszła tak szybko, że stangret, zbierając lejce, pomyślał, iż to jego pani zamknęła drzwiczki.

Tymczasem baron i Limoilans szli przez plac. W ąci przed pałacem Godzin widać było ciemną masę konwoju konnych grenadyerów, otaczających karete, która czekała na pierwszego konsula.

— Mamy jeszcze czas — rzekł hrabia do barona.

Idąc przez ulicę Saint-Nicaise baron zapalił fajkę, od której miał potem zapalić przewód piekielnej maszyny.

Wóz stał już na rogu, zagradzając cokolwiek drogę. Pilnował go Carbon.

— Czy pan da wiarę — rzekł spokojnie, poznawszy barona — iż ta klacz nie chciała stać w miejscu. Musiałem dać dwanaście sous tej dziewczynce, aby ją potrzywała.

— Możesz odejść, Carbon — rzekł baron.

— Z największą przyjemnością — odparł szybko szuan.

Wsunął następnie głowę pod płótno wozu i rzekł z urąganiem:

— Jedną ci dam radę, przyjacielu Pataponie, wstrzymaj oddech, gdyż za chwilę wykonasz paradny skok.

Odszedł, nie spiesząc się wcale.

Pozostawszy sam jeden, Saint-Régent wyjął z kie-

szeni trochę drobnej monety i dał ją dziewczynce, która zostawiła konia i wesoło pobiegła przez ulicę.

Baron strząsnął popiół z fajki i z kawałkiem hubki w rękę czekał na znak umówiony.

Hrabiego można było widzieć zdala przy latarni narożnego domu.

Nagle zdjął kapelusz. Kareta pierwszego konsula ruszyła z kopyta.

Saint Régent zapalił hubkę i położył ją na brzegu wozu, pokrywszy jednym jej końcem przewód prochowy.

Urządziwszy to, chciał uciekać, gdy nagle jak z pod ziemi wyrosła przed nim kobieta.

— Pierrot! — zawołała zadyszana. — Ależ to zbrodnia... wyrzeknij się tego strasznego czynu!... Oszczędź niewinnych, których zgubisz!

— Fanchetta! — zawołał baron.

Z oddali słychać było turkot karety.

— Idź precz! — krzyknął, starając się odtrącić Fanchette, która trzymała go z całych sił.

Saint-Régent, nie myśląc ani chwili o tych, których śmierć zmiecie dokoła niego, zadrżał na myśl, iż ta młoda kobieta zginie.

— Uciekaj! Możesz się jeszcze uratować! — zawołał, chwytając ręką hubkę, która się już do połowy spaliła.

Pierwsi grenadyerzy konwoju pokazali się już na rogu ulicy Saint-Nicaise.

— Uciekaj! Uciekaj! — krzyknął jeszcze raz Saint-Régent.

Ale Fanchetta nie ruszała się z miejsca.

— Nie okrywaj się hańbą dla tej kobiety! — zawołała. — To się na nic nie przyda... Ja ją zabiłam!

Kareta i konwój skręcili w ulicę i zbliżali się jak huragan.

Fanchetta zrozumiała, iż już zapóźno wyratować kochanka od popełnienia zbrodni.

— Umrzemy więc razem! — zawołała, czepiając się wozu.

Saint-Régent skoczył ku niej i chciał ją oderwać, ale w tej chwili powalił się na ziemię, trącony pierściami konia pierwszego grenadyera.

Kareta i grenadyerzy popędzili dalej.

Saint-Régent w jednej chwili zerwał się na nogi i oszalały z gniewu, nie myśląc już o Fanchecie, pod palił przewód ręką.

Już było zapóźno, ostatni grenadyerzy skręcali właśnie w ulicę Malty.

.....
Tak się zakończył zamach przy pomocy maszyny piekielnej.

Czternaście osób straciło życie, czterdzieści trzy otrzymało rany, jeden tylko zbrodniarz, Saint-Régent, pozostał jakimś cudem cały i nieuszkodzony, aczkolwiek krew buchała mu nosem, ustami i uszami.

.....
Gdy po przedstawieniu Gracini powróciła do domu, znalazła tam list, zostawiony dla niej przez markiza de Coignier.

„Niechaj krew, przelana z twojej winy, nie spadnie nigdy na ciebie, oto ostatnie życzenie tego, którego już nigdy nie zobaczysz w swem życiu.“

Tak pisał Raul.

Prefekt Dubois miał doskonałe pole do popisu. Skorzystał z tego w całej pełni, aby się rzucić na Jakóbinów, których aresztowano na każdym kroku.

Już zestawiono listę dwustu ośmdziesięciu trzech ludzi, którzy mieli być zesłani do Cayenny, gdy narreszcie w sprawę wdał się Fouché.

Rano 6-go Nivosea do gabinetu ministra wszedł młody człowiek i podając mu mały pakiet, rzekł:

— Oto papiery, które pana krępowały, obywatelu ministrze. Hrabia Limoilans, uciekając, polecił mi oddać je panu.

Fouché ze zdumieniem spojrział na śmiałka, który się odważył wejść w paszczę tygrysa, aby dotrzymać danego słowa.

— Uciekaj pan! rzekł po cichu minister, zdjęty litością. — Na czterdzieści ośm godzin zapomnę o panu, zapomnę, że pan istnieje!

Po wyjściu Raula przypomniał sobie Fouché swego króla szpiegów.

— Co się stało z Pataponem? — pomyślał. — Przecież zawsze jak kot padał na łapy.

Niestety! Biedny król szpiegów spadł tym razem z zanadto wielkiej wysokości, to był ostatni jego skok.

W odległości piętnastu mil od Paryża, gdy stangret Angielki się zatrzymał, aby się zapytać, którą ma jechać, znalazł swoją panią bez życia, z sercem przeszytem nożem, który Fanchetta pozostawiła w ranie.

.....

Ze wszystkich osób zamieszanych w sprawę maszyny piekielnej, tylko Carbon i Saint-Régent zostali skazani na śmierć.

Wyrok ten wykonano dnia 20-go kwietnia 1801 roku.

U podnóża szafotu przed oczyma barona de Saint-Régent przemknęło się w jednej chwili całe jego życie...

Przypomniał sobie czasy swego spokojnego dzieciństwa, młodość, spędzoną na pokładzie okrętu lub w krajach, oświecanych słońcem podzwrotnikowem, życie swoje w szeregach szuanów...

Wreszcie powstały przed nim obrazy trzech kobiet: Maud, Gracini i Fanchetta. Jedna popchnęła go do zbrodni, druga mogła być mu przeszkodzić, aby się nie stał zbrodniarzem, trzecia zginęła za niego.

A gdy ręka kata spoczęła na jego ramieniu, szepnął tylko:

— Oh, kobiety!!!

KONIEC.

